

Materna: Nie żartuję bez kontraktu

16

Mieciugow boksuje się z Michalczewskim

26



Czy Gross mówi nam coś nowego

14



Afrykański trop tragedii smoleńskiej

10

PRZEKROJ

NR 3421 / 18 STYCZANIA 2011 / CENA 5 ZŁ
WWW.PRZEKROJ.PL w tym 8% VAT

Seks w polskim kinie

CAŁA PRAWDA

38



ISSN 0033-2478

SZUKAJĄC POPARCIA NIE PISZEMY...

...z jakąż satysfakcją patrzyliśmy, gdy się Magdalena Środa naigrawała w „Wyborczej” z wyrzucanego z TVP Jana Pospieszalskiego. Bo Pospieszalski ani nam brat, ani swat, aleć miło spojrzeć, jak pani profesor wykuwa dzielność etyczną, pastwiąc się nad administracyjnie pogwałconym przeciwnikiem.

...że z tym większą radością dowiemy się, o czym dyskutowała Środa z nowym palikotowym rycerzem bez skazy Piotrem Tymochowiczem, albowiem wedle zapowiedzi oboje w minioną sobotę mieli wziąć udział w jakimś wyzwoleńczym panelu.

...że wystawiona na aukcję Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy legitymacja poselska tegoż Palikota kosztowała w piątek marne osiem i pół tysiąca, a cena od paru dni w ogóle nie drgnęła. Bo sami nie wiemy, czy to dużo, czy mało za taki skarb bezcenny.

...że tylko trochę zaskakuje nas cisza wokół homilii pośła Gowina, który orzekł, że PO to „ostatnia nadzieja białych ludzi”. Gdybyż to Kaczor powiedział...

...że jak napisała do nas jakaś pani z jakiejś agencji promocji: „Dotąd znaliśmy Łódź z kadrów »Ziemi

obiecanej«, teraz poznamy Łódź współczesną w nowym filmie Cezarego Pazury »Weekend«. Akcja tego gangsterskiego filmu toczy się na ulicach miasta i w najbardziej znanych łódzkich obiektach. Jednym z nich jest hotel [przerwa na brak reklamy – MS], który zagrał po raz pierwszy w filmie. Zapraszamy do kin – na film, a do miasta Łodzi – na wycieczkę śladami bohaterów »Weekendu«. Bo debiutantowi gratulujemy, nie wątpimy, że jest to najlepsza kreacja aktorska tego dzieła.

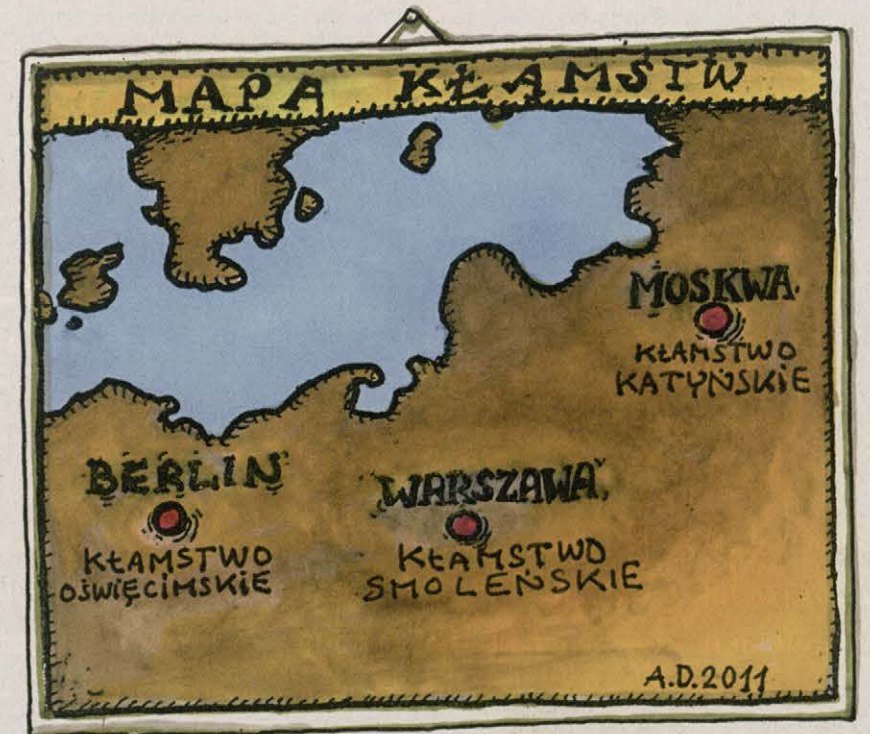
...że skoro już zwił nas w gwiazdy, nie mogliśmy przeczyc rozmowy z Alicją

Bachledą-Curuś. Rzeczona: „Ważne, by umieć w pewnym momencie spojrzeć na związek z boku i zastanowić się, czy idziemy we właściwym kierunku. Cieszę się, że na pewnym etapie nam się to udało i podjęliśmy z Colinem decyzję, by nasz związek przerodził się w ten bardziej przyjacielski, równocześnie odnosząc się z szacunkiem do uczucia, które nas łączyło”. Bo zachodzimy w głowę, jak to jest, kiedy się mówi, jakby stał nad nami adwokat.

...że jeśli o kino już chodzi, to wolelibyśmy zagrać w zupełnie innym filmie. Czekamy na oferty i poparcie.

MARCIN SENDECKI

MAREK RACZKOWSKI



LAST MINUTE KRZYSZTOF PŁYTA

Demografia: Kto w Polsce chce mieć najwięcej dzieci? Hotelarze. W ferie.



PRZEKROJ



Założył w roku 1945 w Krakowie redaktor Marian Elle
www.pah.org.pl/edycje

„Przekrój” w sieci:

– Są coraz bliżej – powiedział do niej cicho, nie odwracając się od okna. – Będziemy tu bezpieczni jeszcze tylko tej nocy. Patrzyli w mrok, wypatrując ognisk palonych przez hominidów na środku ulicy. Było ich coraz mniej, nieubłagane parła ku nim granica ciemności. Z dołu dochodziły radosne potrzaskiwania, jakiś neandertalczyk iskała zalotnie samice. Pomyśleli, że przypomina ich nieszczęsnego kompana Stasia. Tak, to był Stasiek... A raczej to, w co deewoluował. Regres postępował błyskawicznie. Najpierw cofnęli się czytelnicy tabloidów i prasy dla Jedynie Prawdziwych Polaków, Jarosławnych. Potem dopadło telewizorów. Zmiany w DNA postępowały lawinowo, przed genetycznym upadkiem chroniła tylko lektura tekstów uziwiających strukturę nerwowe mózgu, a nie degradujących. W tej epidemii soma wynikała z psyche. – Podobno padł Żoliborz – szepnęła. – Tam już park jurajski. Jakby w odpowiedzi na te słowa dobiegł ich straszny ryk z oddali. Zadrżeli. Dłoń odnalazła dłoń. – Może przebijemy się na Pragę? Tam ponoć wszystko, co żyje, już wykształca skrzela i schodzi do Wisły. Na lądzie bezpiecznie... Wiedzieli, że zbliża się koniec. Zostały im tylko trzy numery „Przekroju”. Och, gdyby mogli czytać Pismo na www.przekroj.pl! Zakalał. Proto-Stasiek skończył iskać. Wykształcał ogon.

Facebook też mógłby pomóc

Twitter – spowolnić cofanie twitter.com/przekroj_pl

Blip? A cholera wie. Grrrrrr! przekroj.blip.pl

Gdyby choć mogli pożegnać świat na redakcja@przekroj.pl

1%

KRS 0000136833

To nie PAH karmi głodne dzieci.
Robią to ludzie tacy, jak Ty.
Ludzie, dzięki którym świat staje się lepszy.

Przekaz 1% podatku PAH



W TYM TYGODNIU

- 6 Świat według „Przekroju” Katarzyny Janowskiej i Orbita „Przekroju” Jarosława Makowskiego
- 8 Tydzień z „Przekrojem”

PRZED WSZYSTKIM

- 10 Nie ustaje burza po opublikowaniu przez MAK raportu na temat przyczyn katastrofy w Smoleńsku. Łukasz Wójcik przygląda się lotnisku, na którym doszło do tragedii. Siewierny ma swoje tajemnice
- 14 Teksty zebrane w tej książce mogłyby przeorać polskie sumienie gruntowniej niż prace Jana Tomasza Grossa. Mogłyby, gdybyśmy do niej zajrzeli. Tadeusz Nyczek o antologii „Przeciw antysemityzmowi” Adama Michnika
- 16 Komik, konferansjer, piarowiec... Lista zawodów, które uprawia Krzysztof Materna, jest długa. Jackowi Tomczukowi zwycięzca „Przekrojowego” rankingu „Z czego śmieją się Polacy” opowiada o tym, jak zmienia go pole golfowe
- 20 „Wyznania polskiej sprzątaczkii” wstrząsnęły Niemcami. Rafał Kostrzyński rozmawia z ich autorką ukrywającą się pod pseudonimem Justyna Polanska
- 22 Starość to tylko stan umysłu. Dowód na to nasi reporterzy, Agnieszka Fiedorowicz i Donat Szyller, znaleźli... w dyskotekce
- 24 Krótko

ROZMOWA PRZEKROJU

- 26 Grzegorz Miecugow startuje z Dariuszem Michalczewskim. Na słowa

CYWILIZACJA OD ŚRODKA

- 30 Potrafią się bawić, nieobce jest im myślenie abstrakcyjne, manifestują wyższe uczucia. Do człowieka jest zwierzęciem bliżej, niż zwykliśmy sądzić. Tekst Olafa Szewczyka
- 34 Wiadomo – wino im starsze, tym lepsze. A co byście powiedzieli na wino sprzed sześciu tysięcy lat? Piotr Stanisławski o najnowszych, jakże smacznych, odkryciach archeologów

OD AUTORÓW



Łukasz Wójcik

Wstydziłem się, słuchając po raz trzeci tych kilku ostatnich sekund naghania z kabiny samolotu Tu-154 dolatującego do lotniska w Smoleńsku. To był mój obowiązek dziennikarski. Obowiązkiem MAK jest natomiast wszystkim ujawniać. Ale to były odarte z prywatności ostatnie chwile cudzego życia. Oni umierali sami. My słuchaliśmy ich razem. Ciągłe nie mogę zrozumieć, dlaczego Rosjanie to opublikowali? (Czytaj na s. 10).

Karolina Pasternak

Zaczęło się od niemoralnej propozycji – napiszmy o seksie w polskim kinie. Dlaczego nasi filmowcy mają na ten temat oczy szeroko zamknięte i czemu mimo to widzowie są rodzimiymi roman-sami tak fatalnie zauroczeni? Historia polskiego kina to nie dzieje grzechu. Czy zmieni to wchodzący na ekran „Och, Karol 2” z Piotrem Adam-czykiem? Odpowiedzi szukaj na s. 38.

Ola Salwa

– Cześć, mówi Gaspar Noé. To ty do mnie dzwonisz z prywatnego numeru? – usłyszałam we wtorek w komórce. – Tak. – To zadzwoń jeszcze raz, bo nigdy nie odbieram, gdy nie wiem, kto dzwoni. Zaskoczył mnie. Oczekiwałam, że będzie trudnym rozmówcą i – jak trafnie określił go Michał Oleszczyk – „intelektualnym cyrkowcem”. Tymczasem cierpliwie odpowiadał na moje pytania. Fragmenty rozmowy znajdziecie w moim tekście o reżyserze (s. 46), a cały wywiad na www.przekroj.pl.

- 36 Korzystaj prezentuje nowości z targów CES
- 37 Też pytanie!

KONIEC Z KULTURĄ

- 38 Seks w polskim kinie to produkt czekoladopodobny. „Och, Karol 2” raczej tego nie zmieni – pisze Karolina Pasternak
- 43 Będzie reprezentować Polskę na biennale sztuki w Wenecji. Kim jest Yael Bartana, poza tym, że Izraelką? Sylwetka pióra Jacka Tomczuka
- 46 Ola Salwa zaprasza do świata Gaspara Noé, reżysera skandalizującego filmu „Nieodwracalne”. Ostrzegamy, wkracząc do niego na własną odpowiedzialność
- 48 Polski teatr, wiadomo – masakra. A polski teatr masakrujący seriale telewizyjne? Megazabawa, o czym przekonuje Łukasz Drewniak
- 51 Projekt Warszawiak rozbawił Polaków. Marcin Flint pisze, kto stoi za największym polskim hitem YouTube ostatnich miesięcy
- 52 Lektura: Katarzyna Janowska rozmawia z Wojciechem Tochmanem

OTWÓRZ OCZY

- 56 Co łączy Cher, Christinę Aguilera, Lady GaGę i prawie 50-letnią Betsy Boudoir? Każda z nich, choć na inny sposób, jest artystką burleski. Ola Salwa o pracujących dziewczynach

RECENZJE

- 62 Muzyka: Herma cieszy się z koncertów Godspeed You! Black Emperor
- 63 Film: Pasternak zachwycona nowym Aronofskym
- 64 Książki: Sendeckiego Dukaj nie przekonuje...
- 65 Teatr: ...a Sieradzkiego jak najbardziej
- 66 Sztuka: Szablowski zawiedziony Liberą
- 67 Komiks: Frąckiewicz ostrzega przed „Thorgalem”

ZAWSZE W „PRZEKROJU”

- 9 Kroniki popkultury Orbitowskiego
 - 68 Rozmaitości z krzyżówką i jolką, Obyczajówką Witkowskiego, Lewomyślnie Kurkiewicza, Ładnymi rzeczami Salwy i kuchnią Gesslera
 - 72 Dziennik Jerzego Piłcha
 - 73 Stopklatka
- 3, 24, 74 Raczkowski



PRENUMERATA

PRZEZ WYDAWNICTWO – należy dokonać przelewu na konto: Wydawnictwo Przekrój Sp. z o.o., ul. Nowogrodzka 47a, 00-695 Warszawa, Alior Bank SA 80 2490 0005 0000 4600 1542 1792 i wysłać dowód wpłaty faksem: 22 525 99 88 lub e-mailem: prenumerata@przekroj.pl. Cena prenumeraty: rocznej – 202,80 zł, półrocznej – 101,40 zł. Informacji udzieli Dział Dystrybucji tel. 22 525 99 69. Prenumerata przez Ruch SA – RUCH SA prenumerata krajowa – 804 200 600, prenumerata zagraniczna – (+48) 22 532 88 16; 22 532 88 23, www.ruch.pol.pl



ADRES REDAKCJI:
ul. Nowogrodzka 47 a,
00-695 Warszawa,
tel. 22 525 99 33, faks 22 525 99 88
www.przekroj.pl
e-mail: redakcja@przekroj.pl
lub imie.nazwisko@przekroj.pl

REDAKTOR NACZELNA:
Katarzyna Janowska
ZASTĘPCA REDAKTOR NACZELNEJ:
Marek Zajac
DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
Kasper Skirgajllo-Krajewski
SEKRETARZ REDAKCJI:
Magda Gedziorowska, Piotr Wittek
SEKRETARIAT:
Karolina Łajkowska, tel. 22 525 99 33

PRZED WSZYSTKIM:
wydarzenia@przekroj.pl,
Paweł Wieczorek (szef),
Łukasz Wójcik (zastępca szefa),
Agnieszka Fiedorowicz,
Maciej Jarkowicz, Rafał Kostrzyński,
Anna Szulc, Donat Szyller,
Małgorzata Świąchowicz,
Joanna Woźniczko-Czeczott;
stale współpracuje Agata Jankowska

CYWILIZACJA OD ŚRODKA:
nauka@przekroj.pl, Piotr Stanisławski (szef),
Milena Rachid Chehab,
stale współpracują: Irena Cieślifis, Urszula Dąbrowska, Piotr Kossol, udbi

KONIEC Z KULTURĄ:
kultura@przekroj.pl, Jacek Wakar (szef),
Marcin Sendecki (zastępca szefa),
Tadeusz Nyczek, Karolina Pasternak,
Małgorzata Sadowska, Jacek Tomczuk;
stale współpracują: Kuba Dąbrowski,
Łukasz Drewniak, Sebastian Frąckiewicz,
Mariusz Herma, Anna Jastrzębska,
Ola Salwa, Jacek Sieradzki,
Jarosław Szubrycht, Bartek Wirczewski

ROZMAITOŚCI, KRZYŻÓWKI:
rozrywka@przekroj.pl, Marcin Pieszczyński,
stale współpracuje Kaliber 45

PRACOWNIA GRAFICZNA:
Władysław Buchner (wicedyr. art.),
Agnieszka Kwiatkowska,
Adam Szymański, Krzysztof Zakrzewski
FOTODYSCYJA:
foto@przekroj.pl, Marcin Kapica (szef),
Marek Szczepański; stale współpracują:
Anna Bajorek

KOREKTA:
Dorota Dul, Tatiana Hardej
PROJEKT GRAFICZNY:
Kasper Skirgajllo-Krajewski
STRONA INTERNETOWA:
Marcin Cichoński
ARCHIWUM: Dominika Bok
OBRÓBKA ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU: Andrzej Tchórzewski

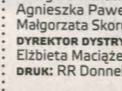


Wydawnictwo Przekrój Sp. z o.o.,
ul. Nowogrodzka 47 a,
00-695 Warszawa,
tel. 22 525 99 55, faks 22 525 99 88

WYDAWCA:
Grzegorz Hajdarowicz
PREZES WYDAWNICTWA:
Jan Godłowski
DYREKTOR WYDAWNICTWA:
Sławomir Mokrzycki
DYREKTOR DS. NOWYCH MEDIÓW:
Artur Rumiński

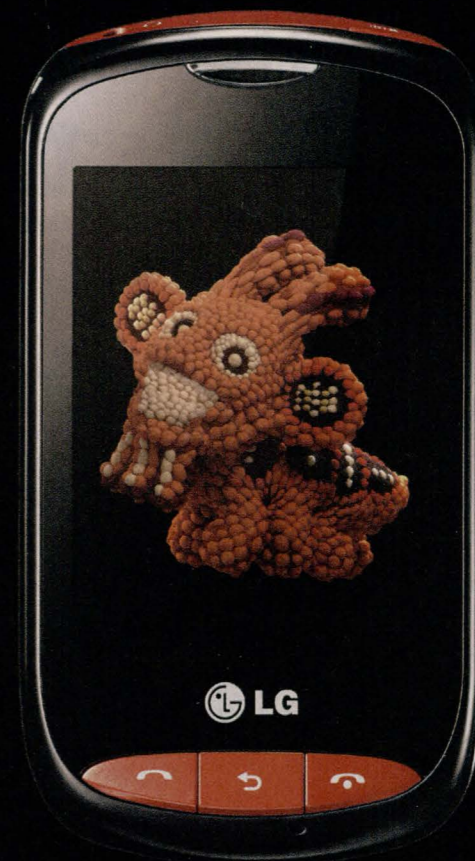
PROMOCJA I MARKETING:
promocja@przekroj.pl,
Agata Stremiecka (szef),
Jakub Maszkowski
BIURO REKLAMY:
reklama@przekroj.pl, Grzegorz Wilczek,
– dyrektor, tel. 22 525 99 17,
Grzegorz Makowski tel. 22 525 99 15,
Agnieszka Pawelec tel. 525 99 15,
Małgorzata Skorpupa tel. 22 525 99 15

DYREKTOR DYSTRYBUCJI:
Elżbieta Maciążek
DRUK: RR Donnelley



Artykułów niezamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian i skrótów w nadesłanych artykułach i listach

ożywiaj znajomości z telefonem
LG Cookie Style T310
od 1 zł w zetafon



W ofercie Zetafon:

- korzystasz z taryf dostępnych w Orange na kartę (Orange One, Orange POP, Nowe Orange Go)
- możesz swobodnie zmieniać taryfy w poszukiwaniu optymalnych dla siebie promocji
- możesz korzystać ze wszystkich usług i promocji dostępnych w wybranej taryfie
- nie płacisz rachunków – zobowiązanie wypełniasz doładowaniami
- masz wydatki pod kontrolą – możesz łatwo sprawdzić, ile środków na koncie pozostało Ci do wykorzystania

Oferta ważna do wyczerpania zapasów.

Sprawdź ofertę Zetafon w salonach Orange oraz na www.orange.pl





ŚWIAT WEDŁUG PRZEKROJU

KATARZYNA JANOWSKA
REDAKTOR NACZELNA

Żyd w sieni

Dyskusja o książce Jana Tomasza Grossa rozkręca się na całego. Ale czy jest o czym dyskutować? Czy o tym wszystkim nie wiemy już od dawna? Wiemy. Pytanie brzmi, czy coś z tą wiedzą umiemy i chcemy zrobić? Chciałam zrobić prezent przyjacielom mieszkającym w Szwecji od 1968 roku. Mają sentyment do Krakowa, a szczególnie do Kazimierza. Pani w sklepie z pamiątkami, nie wiedząc, dla kogo to będzie prezent, ale słysząc, że dla bliskich mi osób, ucieszona zdjęła ze ściany portret Żyda z pejsami, który z ogromnego worka wyciąga złote monety.

- Żyd w sieni, pieniądze w kieszeni. Niech pani da przyjacielom obrazek razem z tym przysłowiem, a na pewno będzie się im wiodło - tłumaczyła. Nie kupiłam obrazka, ale też nie przekonałam pani, że handluje najgorszym z możliwych stereotypów. Gorzej, kiedy uczulona na „Żyda w sieni” zaczęłam się za nim rozglądać, zobaczyłam go w zaprzyjaźnionej kwaciarni, u szewca wcale nie starej daty, wreszcie w domach znajomych.

Parę lat temu to nie książka „Sąsiedzi” Jana Tomasza Grossa przeorała moją świadomość, ale opowieść Anny Bikont „My z Jedwabnego”. Dziennikarka opisywała między innymi historię małżeństwa wyklętego i zastraszonego przez społeczność Jedwabnego. On był Polakiem, ona - uratowaną przez niego Żydówką. Już to skazywało ich na potępienie, bo niedobite ofiary są jak wyrzut sumienia. Ale było coś gorszego. Po wojnie pani chciała odkupić rodzinny mebel, pamiątkę po dawnym życiu, która dziwnym trafem znalazła się w domu polskich sąsiadów. Nie przypuszczała, że chcąc zapłacić za swoją własność, naraża się na groźbę śmierci. Po tym wydarzeniu już niemal do końca swoich dni wraz z mężem żyli w strachu przed sąsiadami. To wszystko działo się nie zaraz po wojnie, ale zaledwie parę lat temu.

W „Przekroju” recenzujemy antologię tekstów publicystycznych „Przeciw antysemityzmowi”, które w latach 1936-2009 ukazały się w polskiej prasie, a zebrał je w trzy tomy Adam Michnik. Antysemityzm widzieli i wytykali Polakom przez dziesięciolecia politycy, inteligenci, publicyści. Jan Tomasz Gross nie odkrywa zatem o nas, Polakach, nic nowego. Pytanie tylko, co z tego, skoro dziś, jeśli tylko na przykład ktoś odniesie sukces, to można się założyć, że w potoku różnych epitetów gdzieś usłyszy lub przeczyta o sobie, że jest Żydem. I będzie to jedna z najcięższych i ostatecznie dyskwalifikujących go obelg.



ORBITA PRZEKROJU

JAROSŁAW MAKOWSKI

Pozbyć się smoleńskiego cienia

Byłoby jasne, że w zasadzie cokolwiek w raporcie MAK zostałyby napisane, w Polsce rozpęta się burza. I rzeczywiście - jeszcze kurz po konferencji prasowej Tatiany Anodiny nie zdążył opaść, a już nasi politycy szturmem ruszyli do ferowania w rok. Nim zapoznali się z raportem, nie mówiąc już o jego przesłaniu, by zając racjonalne i przekonujące stanowisko, prezentowali przede wszystkim swoje oburzenie. To „kpiną z Polski” (Jarosław Kaczyński), „polski generał dostał medialny strzał w tył głowy tak jak cerowie 70 lat temu” (Beata Kempa), „czuje się, jakbym dostał w twa” (Eugeniusz Kłopotek), „Anodina przygotowała raport, którym powinien zająć się psycholog” (Elżbieta Jakubiak). Te stwierdzenia - nie dalekie od hysterii - pokazują, że mało kogo tak naprawdę obchodzi rzetelne ustalenie przyczyn smoleńskiej katastrofy. To nie okoliczności tragedii stają się obecnie kluczowe, ale amunicja, którą „smoleńsk” może wciąż produkować dla politycznych połajanek.

Zgoda, że pierwsze gesty i Rosjan, i Polaków po 10 kwietnia zapożyczyły inny przebieg wydarzeń. „Przeklęty Smoleńsk” w miarę poważałoby i uświadamiania sobie tragedii niósł ze sobą potencjał pojednania. Nie tylko zgody polsko-polskiej, ale także polsko-rosyjskiej. Już nie pamiętamy, ale to sam Jarosław Kaczyński wygłosił słynne orędzie do „rosyjskich przyjaciół” - dziękując im za okazane współczucie i sympatię. Smoleńsk łączył, nie dzielił. Rusofobia ustępowała miejsca rusofilii. I vice versa. Teraz, po ogłoszeniu raportu MAK Smoleńsk znów wrócił na pierwsze strony gazet. Znowu jest obecny w naszych gorączkowych dyskusjach. Tyle że ani nie budzi współczucia, ani nie łączy ludzi. Z lekarstwa Smoleńsk przemienił się w jad, który najpewniej przez najbliższe lata będzie zatruwać nasze życie zbiorowe, różnić ludzi, stanowić źródło spiskowych teorii - „smoleńskich tajemnic” i „smoleńskich kłamstw”. Jesteśmy więc i Rosjanie, i Polacy - czy to nam się podoba, czy nie - skazani na życie w „cieniu Smoleńsk”. Nie będzie to żywot ani przyjemny, ani łatwy. Chyba że zdobędziemy się na odwagę, której słusznie domaga się premier Donald Tusk - pokażemy, my sami, ale i Rosjanie, bez żadnych przemilczeń wszystkie okoliczności katastrofy samolotu Tu-154. Jeśli tak się nie stanie, Rosja, szczególnie po „sprawie Kurska” utrwali w świecie przekonanie, że w Moskwie trudne władzy fakty zamiata się pod dywan. Jeśli z kolei Rosjanie skorygują raport MAK, uwzględniając zastrzeżenia Warszawy, mogą zyskać podwójnie - podreperują swój wizerunek w oczach opinii międzynarodowej i sprawią, że relacjami polsko-rosyjskimi nie będzie rządził „cień Smoleńsk”.

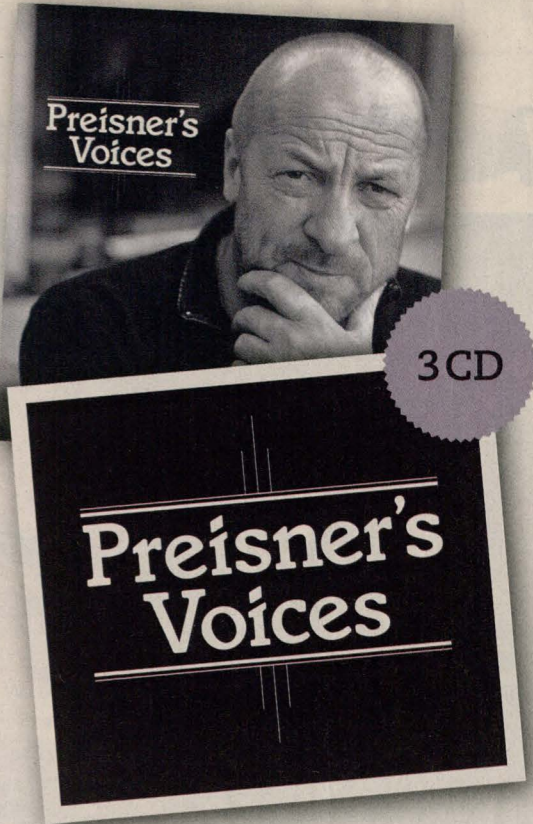
Autor jest publicystą i teologiem, szefem Instytutu Obywatelskiego

SONY MUSIC

Przedstawia

Nowy trzy płytowy album
światowej sławy kompozytora

Zbigniew Preisner Preisner's Voices



PO PROSTU ZANURZ SIĘ...

DO NOT DISTURB 4

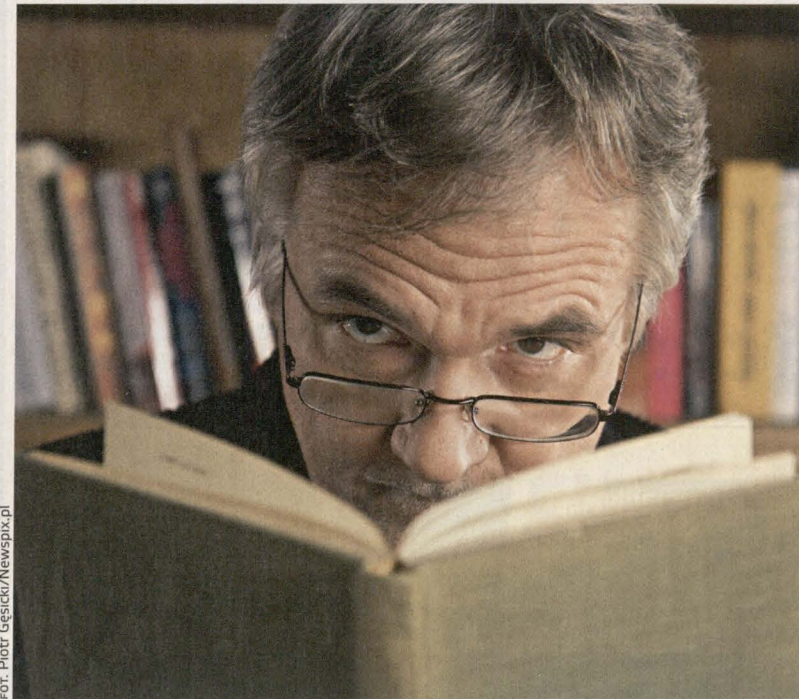
David Bowie / Grace Jones / Anja Garbarek /
Radiohead / Miike Snow / Nick Cave / Faithless /
Billie Holiday / Sweetback / Telepopmusik / Air /
The Heavy / Komeit / The Sound of Lucrecia

2CD

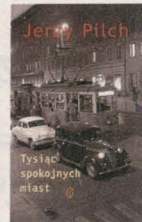
DO NOT DISTURB 4
David Bowie / Grace Jones / Anja Garbarek /
Radiohead / Miike Snow / Nick Cave / Faithless /
Billie Holiday / Sweetback / Telepopmusik / Air /
The Heavy / Komeit / The Sound of Lucrecia



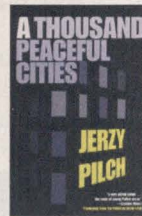
Kulturalnie polecamy



Phot. Gesicki/Newspix.pl



„TYSIĄC SPOKOJNYCH MIAST” JERZEGO PILCHA dobre po polsku i po angielsku. Czytaj „Na kanapie”



WTOREK
18 STYCZNIA

Surrealizm wytopiony

Choć surrealizm w Polsce nie zaistniał nigdy w formie gotowego programu artystycznego, polska sztuka ma w dorobku kilka wybitnych prac stworzonych w tym duchu. „Surrealistyczne tropy w fotografii polskiej po 1945 roku” to wystawa nakreślająca nowe tło dla twórczości Zdzisława Beksińskiego, Zbigniewa Dłubaka, Bronisława Schlabsa, Krzysztofa Vorbrodta czy Zofii Rydet. Prezentowane w ramach ekspozycji prace powstawały od końca lat 40. aż po lata 70. XX wieku – nie uważajcie, że sam ten fakt jest już odrobinę surrealistyczny?

Warszawa, do 4 marca, Galeria Asymetria

Niby o krzyżu...

... ale zupełnie inaczej. „Katastrofa” Artura Żmijewskiego to dokument o manifestacjach odbywających się po katastrofie smoleńskiej (zapisywanych od kwietnia do sierpnia 2010 roku). Bez ideologii, tworzenia albo manifestowania symboli Żmijewski rejestruje zdarzenia. Jedni kładą znicze, inni po nich sprzątają – taki, zdaje się mówić, jest porządek rzeczy. Po pokazie dyskusja o reakcji społeczeństwa na katastrofę smoleńską. Spotkanie z pisarzami: Grzegorzem Kwiatkowskim, Izabelą Filipiak oraz filmoznawcą Krzysztofem Kornackim poprowadzi Katarzyna Fidos z „Krytyki Politycznej”.

Gdańsk, Świetlica Krytyki Politycznej w Trójmieście, godzina 19

ŚRODA
19 STYCZNIA

Grzeczne inaczej

Jak wiadomo, grzeczne dziewczynki idą do nieba, niegrzeczne – tam, gdzie chcą. „Niegrzeczne” poszły do Krakowa. A skąd? Z Węgier (tam wcześniej gościła wystawa). Nie boją się wyrażać emocji, buntują się i złością, żonglują rolami kulturowymi, bawią popkulturowymi kodami, obalają mity przyćpione do pojęcia kobiecości. Zobaczycie prace wideo, fotografie, obrazy, rzeźby i instalacje autorstwa między innymi Lidii Krawczyk, Agnieszki Kurant, Anny Niesterowicz i Laury Paweli. Grzecznie polecamy.

Kraków, do 27 lutego, Bunkier Sztuki, więcej na www.bunkier.com.pl

CZWARTEK
20 STYCZNIA

Opera olimpijska

Gdzie dwóch się bije? W starożytnej Grecji. Swoją trzecią sezon znakomity krakowski cykl Opera Rara zainauguruje polskim prawykonaniem „L'Olimpiade” Giovanniego Battisty Pergolesiego z 1735 roku. Czym się skończy rywalizacja dwóch przyjaciół konkurujących o mistrzostwo olimpijskie, a zarazem o rękę królewskiej córy? Jeśli lubicie hollywoodzkie kino, to już wiecie, ale i tak warto się upewnić. Tym bardziej że Opera Rara zawsze ma swój niepowtarzalny smak.

Kraków, Teatr imienia Juliusza Słowackiego, godzina 20

Nowa muzyka

Aż cztery Dni Muzyki Nowej proponuje gdański Klub Żak, zaprosiwszy gości z zagranicy – islandzką wiolonczelistkę Hildur Guðnadóttir, która jesienią gościła już u nas na festiwalu Unsound, oraz amerykański duet Talibam!, a z kraju między innymi kwartet Kwadrofonię, pianistkę Małgorzatę Walentynowicz i gitarzystę Raphaela Rogińskiego. Ten ostatni nie ujawni nawet składu swojego zespołu. Ale znając go, zagra z nie byle kim i nie byle co.

Gdańsk, do 23 stycznia, Klub Żak więcej na www.klubzak.com.pl

PIĄTEK
21 STYCZNIA

Nie boli sprawdzić

Hurts mieli być objawieniem ubiegłego roku, mieli wskrzesić to, co najlepsze z lat 80. – przywrócić dobre imię estetyce *new romantic*. Niestety, dwaj młodzieńcy z Manchesteru rozczarowali nas aż do bólu swoim studyjnym debiutem. Ale ponieważ mamy dobre serca, chcemy dać im drugą szansę, bo na żywo podobno radzą sobie lepiej. A i muzyka jakby bardziej klubowa niż domowa.

Kraków, 21 stycznia, Studio Warszawa, 22 stycznia, Stodoła Gdańsk, 23 stycznia, Parlament

Zeszła z drzewa

Pamiętacie „nietypową akcję drzewną”? Po wejściu na 365 drzew i sfotografowaniu się na ich tle Cecylia Malik, tym razem już na ziemi realizuje „nietypową akcję ogródkową”. Wystawa malarstwa „Koncert w ogródku u pana Żula” jest podsumowaniem projektu poświęconego bezdomnemu sąsiadowi artystki Panu Janowi, który zbierał złom. Po jego śmierci przy chatce w której mieszkał, odbył się koncert, podczas którego siostra Cecylii Teresa zagrała na „zardzewiałych kawałkach metalu, piłach, żeliwnych okrągach i butelkach po Wiśni Ekstazy”. Dziewczyny swoją twórczą energią mogłyby z powodzeniem obdarzyć połowę globu. I właśnie za to je lubimy.

Kraków, do 16 lutego, Galeria Zderzak

SOBOTA
22 STYCZNIA

Planete Doc przez cały rok

Zanim fani Planete Doc Review doczekają się w maju swego święta, czeka ich przedsmak festiwalowych emocji. Cykl „1/100” to comiesięczne spotkania z filmami z imprezy przed ich premierami. Po projekcjach będzie można posłuchać zaproszonych gości. Na początek film dokument „Para do życia” o do bólu szczerych zwierzeniach w saunie, która dla Finów jest jej nietypowy konfesyjonał. I rozmowa z krytykiem Tomaszem Raczkim. Polecamy! Bardzo gorąco.

Warszawa, kino Atlantic, godzina 13, więcej na www.againstgravity.pl

NIEDZIELA
23 STYCZNIA

Fasolki kontra Lady Pank

Organizatorzy Katowickiego Karnawału Komedii nawiązują do średniowiecznej tradycji karnawałowego błaznistwa. W programie 10 spektakli i 6 imprez towarzyszących. Już w niedzielę przy katowickim rynku zobaczycie monodram Bartosza Porczyka „Smycz”. Wyreżyserowany przez Natalię Korczakowską wrocławski spektakl zainspirowany został jedną z piosenek zespołu Maanam oraz utworami Marka Grechuty, grupy Mysłowitz, Lady Pank i... niezastąpionych Fasolek. Tydzień później (30 stycznia) gratka dla wielbicieli Sienkiewicza (czy po rockowo-operowych „Kryzysach” jeszcze jacyś się ostali?): czterogodzina „Trylogia” w reżyserii Jana Klaty. Większość biletów jest już wyprzedana, ale próbujcie – może uda wam się jeszcze dostać na spektakle Teatru Provisorium z Lublina „Idź w noc, Margot” (na podstawie prozy Witkowskiego) czy reżyserski debiut Marii Seweryn przygotowany dla warszawskiego Och-Teatru „Zaświaty, czyli czy pies ma duszę?”.

Katowice, 21-30 stycznia, Teatr Korez, Teatr Śląski imienia Stanisława Wyspiańskiego, więcej na www.kk.katowice.pl

PONIEDZIAŁEK
24 STYCZNIA

Prawie jak Oscary

Francuzi mają swoje Cezary, Czesi – Lwy, Amerykanie – Oscary, a my mamy Orły. Każdy ma taką nagrodę, na jaką zasłużył, chciałoby się powiedzieć, ale tym razem darujemy sobie uszczypliwości, bo wśród filmów kandydujących do nagród Polskiej Akademii Filmowej jest kilka prawdziwych orłów! „Wenecja” Jana Jakuba Kolskiego, „Wszystko, co Kocham” Jacka Borcucha i „Las” Piotra Dumala to niektóre z nich. Wszystkie zobaczycie w ramach przeglądu w warszawskim kinie Luna – w poniedziałek jeden z naszych faworytów, „Jestem twój” Mariusza Grzegorzka.

Warszawa, do 31 stycznia, kino Luna, więcej na www.kinoluna.pl



Na kanapie

Zawsze cieszymy się, gdy świat docenia znakomitych polskich pisarzy. Jest nam tym bardziej miło, gdy doceniony pisarz to autor „Przekroju”. Powieść Jerzego Pilcha „Tysiąc spokojnych miast” prestiżowy magazyn „Kirkus Review” uznał za jedną z najważniejszych książek, jakie w ubiegłym roku ukazały się w USA. „Jeśli śmiech jest najlepszym lekarstwem, to szczęśliwi czytelnicy tej wspaniałej książki z pewno-

ścią cieszyć się będą doskonałym zdrowiem aż do końca swych dni” – uzasadnia pismo. Akcja „Tysiąca spokojnych miast” (pierwsze wydanie w 1997 roku) osnuta jest wokół fikcyjnego zamachu na Gomułkę. Mają dokończyć go pan Józef Trąba wraz z ojcem bohatera książki Jerzyka. Więcej nie zdradzamy, by tym, co jeszcze książki nie znają, nie psuć przyjemności. Zajmijcie miejsce na kanapie i rozsmakujcie się w Pilchu!

Znajdzie się cela dla milionera



Bo w Ameryce fiskus gwiazdzie nie przepuści

LUKASZ ORBITOWSKI

o mękach porównywalnych tylko z łamaniem kołem do kin wchodzi „Polowanie na czarownice”, film wielokrotnie przekładany, cięty niczym pasy ze skóry grzesznika i jak on wymęczony. W roli głównej Nicolas Cage, człowiek, który sam potrzebuje czarów, żeby odegnać kłopoty.

W karierze Cage’a, skądinąd gwiazdora pierwszej wielkości, wloty przeplatają się z upadkami na podobieństwo dzielnego furmana powożącego czwórką pijanych koni: pędzi za miliony, by zaraz runąć pod kopyta niskiej oglądalności. Konie te zapewne mają grzywy hollywoodzkich producentów. „Skarb narodów”, „Uczeń czarnoksiężnika” i straszliwy „Ghost Rider” sprzedały się dobrze lub świetnie, za to autorski projekt aktora („Ostatnie zlecenie”) okazał się kłęską na wszystkich polach. Jeszcze gorzej wypadła współpraca z Herzogiem: nakręcony za 25 milionów baksów remake „Złego porucznika” przyniósł niecałe 2 miliony w Stanach. Przyszłość „Polowania na czarownice” – mimo atrakcyjnego tematu, Rona Perlmana i Christophera Lee w ekipie – nie wygląda różowo. Jeśli wyniki nie będą lepsze, Cage’a czekają hiszpańskie buty, może nawet stos z wiórów niedawnej sławy. To w przenośni. W twardej rzeczywistości zaś majaczy więzienna cela, co śmiesznie zgrzywa się z nazwiskiem aktora, bo po angielsku oznacza ono klątkę.

Naszego aktora bowiem zaprzętąją ostatnio nie filmy, lecz dolary, co nadaje jego twarz słynny wyraz zasmuconego spaniela. Cage namieszał z podatkami i teraz szarpie się w nierównej walce z fiskusem. Przez lata kombinował, inwestując w luksusowe posiadłości, teraz wyprzedaje wszystko po kosztach lub taniej, by zebrać 18 milionów zielonych na rzecz zaległych opłat.

Taka kwota zgasi nawet gwiazdę, zwłaszcza że urzędnik z Ameryki sławnych i bogatych lubi traktować pryncypialnie, zjednując sobie w ten sposób sympatię statystycznego wyborcy. Wie o tym Wesley Snipes odsiadujący trzy lata za podobne kantowanie. Wylewa krokodyle łzy nad własną krzywdą i uczy jogi funfli spod celi. U Vala Kilmera też niewesoło. Aktor zalega tylko pół miliona, ale jest gwiazdorem upadłym, gra ogony w trzeciorzędnych produkcjach i budzi emocje wyłącznie za sprawą tuszy umożliwiającej mu zapewne występowanie w filmach trójwymiarowych. Na podatkach cięli Lil Wayne, Chris Tucker, gwiazda porno Janine Lindemulder (już osadzona) oraz Cameron Diaz. Ta ostatnia usprawiedliwiła się nędzą swoją i bliskich.

Żałuję, że nigdy nie spotkałem Nicolasa Cage’a, choć trafił on do nas w poszukiwaniu mistyków śląskich akurat w swoje urodziny. Sprzedałbym mu przepis na *perpetuum mobile* i most we Wrocławiu. Cage okazał się durniem nie dlatego, że przeinwestował, lecz dlatego, że uznał za słuszne wywalić księgowego umoczonego w przekręty. Ten natychmiast podzielił się wiedzą z kim trzeba. To tylko początek nieszczęść, gdyż los gwiazdy uwikłanej w szwindle jest gorszy niż los człowieka prostego. Aktywizuje hieny. Ożywają byłe żony, których każdy ma więcej niż dzieci, przyfruwają dawni wierzyciele, znajdzie się też sąsiad sprzed lat, teraz biedny i zaćpany, niechybnie za to molestowany za młodo. Krążą pospólu wokół celebryty niczym diabły kotłujące się nad gromnicą konającego grzesznika. Każdy pragnie coś urwać, świadom, że gdy fiskus skończy swoje, pozostanie zadowolony z siebie inkwizytor finansowy oraz popiół ze stosu, w którym też można grzebać.

Smoleńsk afrykański

Choć mity rodzą się z nieświadomości, Rosjanie postanowili milczeć w sprawie działania lotniska Siewiernyj. Mają powód. I niekoniecznie chodzi tu o sabotaż przy lądowaniu prezydenckiego tupolewa

LUKASZ WÓJCIK

Jeśli weźmie się pod uwagę rosyjskie ferie świąteczne, wolny Nowy Rok, to Międzypaństwowy Komitet Lotniczy (MAK) od 17 grudnia miał 11 dni roboczych na przeanalizowanie polskich uwag do przygotowanego przez niego raportu w sprawie katastrofy smoleńskiej. Ponieważ uwagi te zajęły ponad 150 stron, można wnioskować, że komitet „przerabiał” dziennie ponad 13 gęsto nafaszerowanych danymi kartek. Cokolwiek więc mówić o MAK, na pewno jest najszybszym tego typu komitetem na świecie. Całą sprawę zamknięto po dziewięciu miesiącach. Napisanie raportu o podparyskiej katastrofie pasażerskiego odrzutowca Concorde z 2000 roku zajęło Francuzom siedem lat.

Tak krótki czas, który upłynął od przesłania polskich uwag do opublikowania raportu, świadczy jednak prawdopodobnie o czymś zupełnie innym – Rosjanie zignorowali polskie zastrzeżenia, czego efektem jest jednostronny raport końcowy. Antoni Macierewicz nie mógł sobie tego lepiej wymarzyć. – Oddając sprawę w ręce Rosjan, zgadzamy się, aby to Kreml zdecydował, jak było naprawdę – grzmiał jeszcze w czerwcu.

Hipermarket z bronią

Choć trudno dziś znaleźć w Polsce eksperta, który nie obarczałby winą za katastrofę polskich pilotów, jednostronny wydźwięk raportu MAK, który w ogóle nie bierze pod uwagę działań rosyjskich kontrolerów, a także sprawności urzędów na smoleńskim lotnisku, idealnie wpisuje się w mitologię drugiego Katynia lansowaną przez środowiska skupione wokół Jarosława Kaczyńskiego. A wystarczyłyby minimum dobrej woli ze strony Rosjan, czyli dostarczenie jeszcze kilku dokumentów o starym, zapomnianym lotnisku...

– Ja nie stacjonowałem w Smoleńsku, ale wie pan, wszyscy wiedzieli, co się działo na takich



Szefowa MAK Tatiana Anodina w latach 90. była partnerką premiera Rosji Jewgienija Primałowa

lotniskach po upadku Związku Radzieckiego – mówi mi były rosyjski pilot, dziś ekspert prestiżowego moskiewskiego instytutu. – Moskwa nie chce pokazać dokumentów, bo mogłoby się okazać, że to stare, zapomniane lotnisko przez lata było jednym z kilku rosyjskich okien na Afrykę.

Bynajmniej nie chodzi o turystykę. Po 1991 roku w ciągu kilkunastu miesięcy prawie 30 procent poradzieckiego uzbrojenia poszło do demobilu. – Z początku Rosjanie nie wiedzieli, co z tym robić – opowiada „Przekrojowi” Pieter Weseman ze Sztokholmskiego Międzynarodowego Instytutu Badań nad Pokojem (SIPRI). – Pionierami byli prywatni biznesmeni pokroju Wiktora Buta, którzy za grosze kupowali od Armii Czerwonej każdy rodzaj uzbrojenia i dostarczali je klientowi w dowolny zakątek świata. A w latach 90. żaden kontynent nie mógł się równać z Afryką, jeśli chodzi o popyt na broń.

W praktyce na południe od Sahary nie było państwa, które nie toczyłoby z sąsiadami wojen albo przynajmniej nie wojowało ze swoimi obywatelami. – Na początku przyjeżdżali pośrednicy, ale w końcu Afryką zaczęli interesować się sami sprzedawcy, czyli głównie rosyjska armia – dodaje ekspert SIPRI. – W

łowie lat 90. rosyjskie samoloty transportowe regularnie kursowały do Angoli i Mozambiku. W budowie afrykańskiej siatki rosyjskich władzom pomogli byli radzieccy tłumacze, którzy często jednocześnie byli radzieckimi szpiegami doskonale orientującymi się w sytuacji politycznej Afryki. Taką ścieżkę kariery przeszedł aż do usamodzielnienia się wzmianczony Igor Sechin, obecny rosyjski wicepremier.

Złoty interes

Moskwa dość szybko zorientowała się, że handel bronią to złoty interes, i zaczęła po-

jać indywidualnych pośredników. Przełomowym momentem była jednak wojna domowa w Rwandzie i ludobójstwo, którego dopuścili się Hutu na Tutsi. – 800 tysięcy trupów zrobiło wrażenie nie tylko na światowej opinii, ale też na Moskwie – tłumaczy były rosyjski pilot. – Kreml dobrze wiedział, że spora liczba kałasznikowców sprzedawanych dosłownie na tony do Angoli trafia potem do Rwandy. Władze przestraszyły się, że Zachód oskarży je o współudział, i cały handel utajniono.

Wtedy właśnie mogła rozpocząć się kariera lotniska Siewiernyj. Oficerowie z „działu sprzedaży” rosyjskiej armii poszukiwali niewielkich lotnisk wojskowych, najlepiej położonych na uboczu. Dodatkowym atutem Smoleńsk mogły być znajdujące się na nim samoloty. Stacjonujący tam od II wojny światowej 103. Pułk Wojskowego Lotnictwa Transportowego wyposażony był głównie w duże samoloty transportowe Iljuszyn Il-76. Dokładnie takie same maszyny dominowały w tym czasie na trasach afrykańskich, więc jeden il więcej na płycie lotniska nie zwróciłby uwagi postronnych osób.

Pijana wieża

Po przejściu władzy przez Władimira Putina eksport rosyjskiej broni został uporządkowany. Jeszcze w 2000 roku nowy prezydent powołał państwową spółkę Rosobronexport. Firma została nie tylko pośrednikiem rosyjskich producentów, ale też przejęła handel demobilu. Dziś kontroluje 90 procent eksportu rosyjskiej broni, w zasadzie cały eksport do Afryki. Opozycyjne dzienniki, a w szczególności „Nowaja Gazeta”, kilkakrotnie pisały, że mimo uregulowania rynku broni pieniądze, przede wszystkim ze sprzedaży demobilu, nie trafiają z Rosobronexportu do budżetu państwa, ale do kieszeni wysokich urzędników państwowych.

Powodów, dla których Moskwa nie pali się do przekazywania dokumentacji lotniska Siewiernyj, może być więc kilka. Można oczywiście przyjąć za środowiskiem „Gazety Polskiej”, że w dokumentacji lotniska odnajdziemy dowody zbrodni. Można też zejść do poziomu szefowej MAK i zacząć się zastanawiać, czy przypadkiem cała obsada wieży nie była pijana w sztok, bo – jak powiedział nie poprosił również o pozwolenie na lądowanie. Po prostu wylądował, jak sam później powiedział, „w ostatniej chwili”.

Powód niewydania przez Rosjan dokumentacji lotniska może być w końcu zupełnie prozaiczny. – Bo mają nas po prostu gdzieś – powiedział „Przekrojowi” major Michał Fiszer, były pilot, dziś wicenaczelnny miesięcznika „Lotnictwo”. Zakładając jednak, że Rosjanie wiedzieli, jaką reakcję w Polsce wywoła tak jednostronny raport MAK, jak doskonale wpisze się on w mit o drugim Katyniu, trzeba założyć, że mieli ku temu ważne powody. Mogli na przykład obawiać się, że wyjdzie na jaw niestandardowe wykorzystanie lotniska pod Smoleńskiem i afrykańskie wojaże iljuszynów.

Takiej burzy w Polsce chyba jednak się nie spodziewali. Do przewidzenia było, że część sceny politycznej „wie swoje”, a raport MAK tylko to potwierdzi. Ale stanowczo zareagował również rząd. Jerzy Miller, minister spraw wewnętrznych i jednocześnie szef polskiego komitetu badania katastrofy smoleńskiej, zapowiedział, że w tym tygodniu ujawni zapis rozmów z wieżą, który jest w polskich rękach. Z kolei premier Tusk chce teraz negocjować wnioski raportu, mimo że światowe agencje informacyjne zrelacjonowały już publikację raportu w stylu: „Polacy winni katastrofy w Smoleńsku. Generał pod wpływem alkoholu w kabinie...”. Dopisek „Tak twierdzą Rosjanie” pojawiał się mniejszym drukiem.

– To jest przerażające, że my teraz w Polsce próbujemy szukać winy po rosyjskiej stronie – denerwuje się Tomasz Hypki, sekretarz Krajowej Rady Lotnictwa i wydawca „Skrzydlatej Polski”. – Polscy piloci popełnili całą serię karygodnych błędów. Drugi pilot miał mniejsze doświadczenie ode mnie. I co? I nic. Jak dotychczas żadnych konsekwencji. Żadnych wniosków.

Dożycie za lądowanie

Hypki wskazuje na nieco pomijany dziś casus Jaka-40, który 10 kwietnia lądował przed prezydenckim tupolewem. Pilot samolotu, na którego pokładzie znajdowali się dziennikarze, otrzymał z wieży polecenie przerwania lądowania, gdy w odległości kilometra od pasa kontrolerzy wciąż nie widzieli maszyny. Siedzący wówczas za sterami Artur Wosztł twierdził potem, że nie usłyszał polecenia. Ale jak wynika z protokołu przesłuchań, Wosztł nie poprosił również o pozwolenie na lądowanie. Po prostu wylądował, jak sam później powiedział, „w ostatniej chwili”.

– Piloci jaka powinni dostać dożywotni zakaz pilotowania – twierdzi Hypki. – To tak, jakby życie dziennikarzy na pokładzie tego samolotu miało mniejszą wagę. Wobec tych

Tego możecie jeszcze nie wiedzieć

1. Skąd się wziął Il-76 nad lotniskiem w Smoleńsku rankiem 10 kwietnia?

Strona polska wynajęła go od Rosjan, aby przewieźć kolumnę prezydenckich samochodów. Il dwukrotnie próbował wylądować. Bezsukcesywnie. Dlatego nawet gdyby prezydent wylądował, nie miałby czym dojechać do Katynia. Ale to nie koniec problemów z item. Ani polskie MSZ, które formalnie organizowało wizytę 10 kwietnia, ani Kancelaria Prezydenta, która korzystała z Il, nie były w stanie powiedzieć, która z tych instytucji wynajęła samolot, co dokładnie się znajdowało na pokładzie i w końcu dokąd odleciał (ponoć do Moskwy). W Kancelarii Prezydenta dowiedzieliśmy się, że sprawa jest skomplikowana i na odpowiedź musimy poczekać.

2. Czy obecność rosyjskiego lidera na pokładzie była obowiązkowa? Dlaczego nie poleciał z Polakami do Smoleńska?

Lider to nawigator dobrze znający lotnisko docelowe. Pomaga obcej załodze w kontaktach z wieżą. Na terytorium Rosji jego obecność jest obowiązkowa w zagranicznych samolotach lądujących na lotniskach wojskowych, czyli także na Siewiernym. Dalej prawdy są dwie: polska i rosyjska. Według tej pierwszej 36. Pułk Specjalny Lotnictwa Transportowego, w którym latają samoloty VIP-owskie, wystąpił do Rosjan z prośbą o przylanie lidera, a gdy nie było odpowiedzi, Polacy sami z niego zrezygnowali. Rosjanie z kolei twierdzą, że sami proponowali Polakom lidera, ale ci odmówili. Gdyby był na pokładzie Tu-154, dobrze zrozumiałby komendę: „pasadka dopańnitelno” (z ros. lądowanie warunkowe) – co oznacza: „oczekujcie, nie ma zgody na lądowanie”.

3. Kto z załogi Tu-154 witał prezydenta na wojskowym lotnisku Okęcie?

Nikt, choć zwyczajowo prezydenta wita kapitan maszyny. Tymczasem na Lecha Kaczyńskiego czekał generał Andrzej Błasiak, szef Sił Powietrznych. Taką informację przekazał pułkownik Edmund Klich, polski przedstawiciel przy MAK. Nie ujawnił on źródła tych informacji. Tłumaczył, że prezydenta nie powitał kapitan tupolewa Arkadiusz Protasiuk, bo wcześniej pokłócił się z generałem w sprawie lotu. Protasiuk nie chciał się zgodzić na start – nie dostał prognozy pogody, bo polska stacja meteo nie otrzymała jej od Rosjan.

4. „Pull up! Pull up!” (Poderwij! Poderwij!) – darto się przez pół minuty urządzenie TAWS. Jak mogli to przeoczyć?

Nie tyle mogli, ile chcieli. System TAWS, dziś niemal powszechnie stosowany, ostrzega przed zbliżającą się ziemią. Nie włącza się, gdy samolot zbliża się do płyty lotniska. Chyba że lotnisko nie jest „zamapowane”, czyli nie ma go w pamięci TAWS. Tak było w przypadku lotniska pod Smoleńskiem – systemowi wydawało się, że tupolew ląduje w szczerym polu. Piloci musieli to ignorować. Ciekawe jednak, że od wynalezienia systemu TAWS w latach 70. rozbiły się tylko dwa samoloty wyposażone w ten system, oba polskie. Ten drugi to wojskowa CASA, która uległa katastrofie w 2008 roku pod Mirosławcem.

→ pilotów nie wyciągnięto żadnych konsekwencji. Inni dostali sygnał, że jakby co, to im też nic nie grozi.

Konsekwencji nie wyciągnięto również w przypadku lotów z ważnymi osobistościami. Słabo relacjonowany przez media incydent z Bydgoszczy zdarzył się niecałe trzy tygodnie po katastrofie smoleńskiej. Rządowy Jak-40, który leciał z Warszawy po ministra Radosława Sikorskiego, wylądował na tamtejszym lotnisku, mimo że było ono formalnie zamknięte. Rankiem na wieży nie było jeszcze kontrolerów i samolot lądował tylko za pomocą urządzeń pokładowych, łamiąc przy okazji kilkanaście punktów regulaminu.

Jeszcze mniej uwagi przyciągnął pierwszy lot pełniący obowiązki prezydenta Bronisława Komorowskiego do Afganistanu w czerwcu 2010 roku. – Aby dolecieć na miejsce, ekipa potrzebowała sześciu przesiadek



Il-76 przez dwie dekady był podstawową maszyną rosyjskich sił transportowych. Ze względu na mocną konstrukcję doskonale nadaje się do lądowania na gruntowych lotniskach, jakich pełno w Afryce

– zdradza nam dziennikarz, który brał udział w eskapadzie, choć nie do końca – doleciał do Uzbekistanu i tam musiał zostać, bo delegacja przesiadła się do mniejszego samolotu. „Organizatorem wycieczki”, jak nazwał go nasz rozmówca, był generał Stanisław Koziej, szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego. Koziejowi i Komorowskiemu towarzyszyli szefowie MSZ i MON – w sumie czterech VIP-ów na pokładzie jednego samolotu. Sam Koziej w tym czasie przygotowywał nowe zalecenia w sprawie transportu VIP-ów, które wykluczały taką sytuację.

Zalecenia Kozieja weszły w życie 1 stycznia, czyli w ostatnim momencie. Bo teraz wśród świętego oburzenia na „ruski raport” wyciągnięcie racjonalnych wniosków z katastrofy smoleńskiej zeszło na drugi plan. Opozycja mitami wypycha czarne dziury informacyjne pozostawione przez Rosjan, a rząd udaje zaskoczenie, choć wiadomo było, że Moskwa wykorzysta okazję, by się wybielić. Dziś cała polska klasa polityczna dumnie krzyczy Ruskom w twarz: „No pasaran!”. A o nowym sprzęcie i mądrzejszym szkoleniu lotników usłyszymy przy następnej katastrofie.

Nie trzeba było robić teatru

Rosjanie wygrali raportem o katastrofie smoleńskiej wszystko, co chcieli wygrać – mówi „Przekrojowi” profesor MIROSŁAW KARWAT, członek Komitetu Nauk Politycznych Polskiej Akademii Nauk

ROZMAWIA DONAT SZYLLER

To chyba koniec ocieplenia stosunków między Polską a Rosją?

– Styl prezentacji raportu MAK i rozbieżności dokumentu z polskimi oczekiwaniami już doprowadziły do ich pęknięcia. Raport dostarcza też amunicji Jarosławowi Kaczyńskiemu, który od dawna oskarżał Tuska o pro-rosyjskość, uległość wobec sąsiada. Prezydent nazywany był Komoruskim. Wcześniej te schematy były mało wiarygodne, wyrażały głównie zawziętość. Teraz rząd jest w nieciekawej sytuacji – jego dobra wola, chęć zbliżenia z Rosją nie pomogły.

Może ta poprawa była pozorna?

– Z pewnością. Było pewne ocieplenie, przestano używać ostrych słów, wywlekać sprawy z przeszłości. Atmosfera między Polską a Rosją z pewnością się poprawiła. Ale czy była to realna poprawa stosunków? Raczej nie. Rosja nie przestała traktować nas jak słabszego partnera. To była tylko krótkotrwała zmiana retoryki.

Co Polska na tym straciła?

– Jeśli potwierdzi się, że Rosjanie mimo umniejszania swojej roli w katastrofie mają rację, wystawi to jak najgorsze świadectwo naszej dyplomacji. Bo jeśli większa część winy za katastrofę leży po naszej stronie, to należało wykonywać wyłącznie gesty do-



brej woli. A w tym wypadku politycy – niezależnie od zachowywali się tak, jak za wszelką cenę chcieli umocnić Rosjan do muru. Wyszły polskie zaniechania i błędy. Jednocześnie starali się przysunąć Rosjan do muru. Wyślyczyli sygnał: no dobrze, nie był to błąd, ale przecież wasze zaniechania spowodowały, że zginęli nasi. A co robi partner przywraca do muru? Przywraca również. I Rosjanie zrobili to prosto w twarz.

Podając informację o alkoholu w krwi generała Błasika?

– Każdy, kto ma jakiekolwiek pojęcie o dyplomacji, wie, że to było celowe działanie. Rosjanie nie kompletnie ośmieszyli się. W świat poszła informacja, że piloci popełnili błędy pod wpływem alkoholu. Rosjanie nie poinformowali premiera Tuska o dacie publikacji raportu. Burza zastę-

go na urlopie, nie miał więc szans na błyskawiczną reakcję. To też celowe działanie?

– Na pewno nie przypadek. Takie działania też należą do języka dyplomacji. Rosjanie postawili premiera przed faktem dokonanym i liczyli na jego zaskoczenie.

Czyli raport MAK jest narzędziem politycznym?

– Nie jego merytoryczna treść, ale przemilczenia i sposób jego przedstawienia. To element gry politycznej.

Premier od dawna znał wstępną treść raportu. W grudniu mówił, że jest ona niedopuszczalna. Polska wystąpiła swoje uwagi i czekała z nadzieją, że Rosjanie je uwzględnią. Może nie trzeba było to wierzyć?

– Rząd się chyba przeliczył. Możliwe, że polskie postulaty byłyby inaczej potraktowane, gdyby rząd przekazywał je wyłącznie drogą dyplomatyczną. Uległ jednak psychozom medialności. Cechą dyplomacji jest poufność i spokój. A tu wymiana stanowisk i poglądów odbywała się przed kamerami. Ten teatr spowodował tylko umocnienie stanowiska Rosjan.

Polscy politycy mieli miesiącami milczeć na temat Rosji?

– Nie milczeć, myśleć. Tu widać różnicę między mentalnością polską i rosyjską polityków. Rosyjscy politycy, podobnie jak wczasy czy Niemcy, są pragmatyczni. Polacy kierują się głównie emocjami. Grają pod tradycyjne uprzedzenia, wykonują mnóstwo pustych gestów, które nie przynoszą żadnych korzyści w polityce międzynarodowej.

Co ci pragmatyczni rosyjscy politycy chcieli osiągnąć?

– Zaraz po katastrofie mocno nadźwiergnięta opinia o Rosji trochę się poprawiła. Zachód zauważył ludzkie zachowanie polityków z Kremla. Ale to tylko wycinek pracy rosyjskiej dyplomacji, która miała na celu poprawę wizerunku. Rosjanie osiągnęli, co chcieli.

A co osiągnęli stylem publikacji raportu i przemilczeniem roli rosyjskich kontrolerów?

– Odwrócili uwagę od skandalicznych zaniedbań w swoim kraju, czego lotnisko w Smoleńsku jest dowodem. Wysłali sygnał: to wyłącznie wina brawury i zaniedbań Polaków. Nasz rząd może teraz pęknać pod naciskiem opinii publicznej i opozycji. Jednostronność tego raportu zmusza wszyst-

kich do protestu, więc ci sami politycy, którzy próbowali poprawić stosunki z Rosją, teraz będą musieli przeciwstawić się Rosji. Tyle że Rosji to nie zaszkodzi.

Może więc powinniśmy potraktować polski raport o katastrofie tak samo politycznie, jak Rosjanie potraktowali swój?

– Być może jest to dobra droga. Jednak nawet jeśli wyeksponujemy współudział Rosjan w tym smoleńskim nieszczęściu, nie zmienimy zasadniczego faktu. Ta katastrofa była efektem błędów po stronie polskiej i żadne przesuwanie suwaka tego nie zmieni.

REKLAMA

PRZEMYŚLANE ROZWIĄZANIA



WYPRZEDAŻ ROCZNIKA 2010

Upusty do 9 200 zł*

To tylko jeden z powodów, dla których warto kupić Škodę. Jaki jest Twój?

- nowoczesny silnik TSI
- moja żona ma na imię Oktavia
- ŠkodaKredyt 2,99%**
- wiem, co dobre
- 7-biegowa skrzynia biegów DSG
- AC/OC/NNW od 990 zł



- upust do 8 000 zł
- upust do 6 500 zł

Wejź na www.skoda-auto.pl/wyprzedaz2010 i sprawdź więcej powodów, dla których warto kupić Škodę.

*Dotyczy Škody Roomster. **RRSO wynosi 12,43% przy założeniach: Škoda Fabia 4,2-6,4 l/100 km, 109-148 g/km, Škoda Octavia 4,5-7,8 l/100 km, 119-182 g/km. Informacje na temat przydatności do odzysku i recyklingu są dostępne na www.skoda-auto.pl



Nasza Polska żydowska

Teksty zebrane w tej książce mogłyby przeorać polskie sumienie gruntowniej niż prace Jana Tomasza Grossa. Mogłyby, gdybyśmy chcieli czytać o polskim antysemityzmie nie tylko przymuszeni aurą skandalu

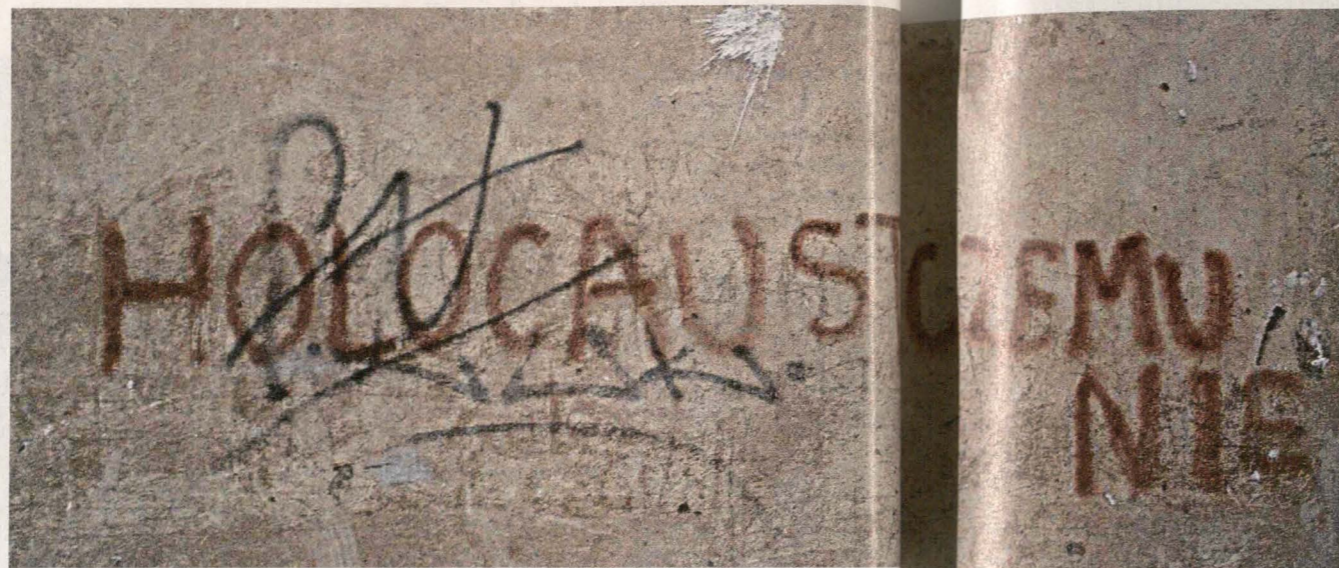
TADEUSZ NYCZEK

Miałem trzy, może cztery lata, kiedy pierwszy raz usłyszałem słowo „Żyd”. Byłem dzieckiem chorowitym, jak wiele dzieci urodzonych tuż po wojnie, i tradycyjnie na coś tam zapadłem. Mama wezwała lekarza; doktor Ch. (do dziś pamiętam nazwisko) był tak zwanym przedwojennym lekarzem rodzinnym, czyli umiał wszystko – i wyleczył anginę, i przyjął poród. Urodziłem się w domu dzięki niemu, podobnie jak później moje rodzeństwo, był więc na swój sposób rodzinnie przyswojony. Nachylił się nad moim łóżeczkiem z pewnym trudem, bo był nadzwyczaj gruby, i dobrotliwie spytał: „Jak się tam ma nasz mały Żydek?”

Mama zdumiona wyjąkała: „Ależ... panie doktorze, on nie jest Żydek...”. Tyle zapamiętałem. Nie pamiętam tonu, jakim to powiedziała. Szybko na wszelki wypadek zaprzeczając? Okazała tylko zwykłe zaskoczenie – bo jak można było wziąć za „Żydka” tego lnianowłosego chłopczyka o chabrowych oczkach? Czy coś pomyślała o miłym, jowialnym doktorze, który... I tu moja wyobraźnia się urywa. Choć jeszcze próbuję sobie teraz wyobrazić, co by było, gdyby mama odpowiedziała: „Nu, on coś ma na gardło, bo jeść nie chce...”.

Doktor antysemita? Raczej nie. Był zwykłym, dobrym lekarzem, przeciętnym Polakiem, poczciwym i uczynnym. „Żydek” w jego ustach zapewne znaczyło tyle co „kotek” czy „jabuszko”. Dlaczego do dziś tę scenę pamiętam? Oczywiście nie miałem wtedy pojęcia, co to w ogóle znaczy „Żydek”. Ale było w tym określeniu coś obcego, co nagle wyodrębniło mnie ze świata, w którym dotąd bezpiecznie i bezkonfliktowo żyłem. Poczuliśmy się przez chwilę inni, jakby odłożony na bok. Nie miałem pojęcia, czy to dobrze, czy źle. Było inaczej. A jeżeli nadal to pamiętam, to jak muszę czuć się ci, dla których nie jest to epizod z dzieciństwa, tylko całe życie?

Przypomniałem sobie tę dawną historię, kiedy czytałem wydaną teraz trzypiętomową antologię Adama Michnika „Przeciw antysemityzmowi”. Piekielne księgi! Dwa tomy ponad



FOT. LASKI DIFFUSION/EAST NEWS

tysiąc stron każdy, trzeci niewiele chudszy. Zrazu myślałem, że tylko niektóre teksty solidniej przeczytam, resztę przejrzę. To przecież musi być nie do wytrzymania – tysiące stron, a temat jeden, tyle że walcowany na dziesiątki sposobów, bo antologia zawiera artykuły publicystyczne, eseje, wspomnienia, dysertacje, odezwy, wiersze, dyskusje redakcyjne. Znaczna różnorodność gatunkowa, ale przecież w kółko o tym samym: skąd się wziął polski antysemityzm, na czym polega, jak się objawia i co zrobić, żeby go nie było. Niby wszystko to znamy, a jednak kiedy Jan Tomasz Gross wydaje książkę – rozpętuje się burza. Powtarza się to co kilka lat, łącznie z biadaniem, „żeśmy nie wiedzieli” o tym, czego się Polacy dopuszczali wobec żydowskich bliźnich.

Mordercy z getta

A może jednak nie chcieliśmy wiedzieć i dopiero kiedy robi się głośno, budzimy się z targu, choć wiele strasznych rzeczy z książek Grossa zostało już sumiennie opisanych. Może zbyt rzadko sięgamy do tekstów takich jak tużpowojenna relacja Mieczysława Jastruna. Wykłada on na tajnych kompletach

na warszawskiej Pradze, właśnie dogorywające powstanie w getcie: „Jedna z uczennic zabiła mnie, czy wiem o tym, że Żydzi zbiłszy z getta mordują Polaków. Na próżno starałem się jej wytłumaczyć, że ulega rozpustce przez Niemców pogłoskom. Zawsze zgłupiała, bardzo inteligentna, uparła się tym raz (...). Wtedy dopiero zrozumiałem: ona chciała, aby tak było (...). Bez wątpliwości trzeba mieć silnej wiary, już nie tylko w szkodliwość, ale i we niebezpieczeństwo, w demoniczną naturę żywołu żydowskiego, by móc choćby odrobinę patrzeć na największe w historii światu męczeństwo”.

Lektura tej antologii po prostu uderza w nas z przeraźliwą jasnością, jakie paradoksy sprzeczności, zmuty i węzły gordyjskie tkwią w naszej pospolitej z Żydami historii. Trudno było się wyrwać, także intelektualnie – i jakie sami na siebie zastawialiśmy. Bo z jednej strony było samo życie, goła egzystencja w której dominowały pierwotne instynkty, wola przetrwania, proste emocje, nieudane damiane odruchy. Tu szła cicha (czasami

śna) wojna na różnice rasowe, wybory duchowo-religijne, zazdrość o majątek albo o talent do handlu czy muzyki. Ale była też kwestia druga – intelektualna refleksja, która różni nas od zwierząt walczących o byt czy kawałek terenu. Bo przecież jak się określimy, jak nazwiemy i rozpoznamy, takimi będziemy w oczach własnych i świata. I tu dopiero zaczynają się schody. Bo antysemityzm jest czymś, co funkcjonuje na przecięciu obu tych żywiołów – biologicznego i refleksyjnego. Jeden tłumaczy się

(albo nie tłumaczy) drugim i odwrotnie. Tu objawiają się najbardziej niewiarygodne przekonania i uprzedzenia, tu do głosu dochodzi wrogość wobec „innego” czy „obcego”, tu plemienna zazdrość i nienawiść wynajdują argumenty mające ją logicznie uzasadnić.

Motłoch i hrabowie

Gdyby statystyczny Polak zechciał przeczytać choćby jeden tom tej antologii, jakiś kawałek z Polski niewątpliwie by na tym zyskał. Może część bezmiaru nieczułości, nie mówiąc o złej woli, wstydliwie uleciałaby w powietrze, a rozum troszkę podrożał. Naiwne marzenia, powiecie? Oczywiście, że naiwne. Wystarczy jednak pomyśleć, że 20, a nawet 10 lat temu taka antologia byłaby z trudem do pomyslenia. Owszem, znaczna większość tekstów w niej pomieszczona już była napisana. Tyle że nieliczne były dostępne w szerokim obiegu, w pismach typu „Tygodnik Powszechny” czy „Gazeta Wyborcza”. Resztę można było znaleźć w niszowych periodykach, prasie emigracyjnej, niskonakładowych edycjach specjalistycznych. Wielka chwała Adamowi Michnikowi, historykowi w końcu,

że je zechciał pozbierać, opracować i ułożyć w przekrojowy zbiór dokumentujący polską walkę z antysemityzmem od lat 30. ubiegłego wieku po lata ostatnie. Ale chodzi też o pewną atmosferę społeczną, otwarcie na sprawy dotąd wypowiedane bokiem, na marginesie. Niedawny margines staje się powoli głównym traktem.

Teksty są, jak się rzekło, bardzo różnogatunkowe, bardzo też różnej wagi i atrakcyjności. Są słynne, legendarne wręcz – Miłosza, Tuwima, Andrzejewskiego, Wyki, Błońskiego, Lipskiego, Smolara, Zimanda, Turowicza. Świetne szkice Grynberga, Mencwela, Grossa, Świdry-Ziemby, księdza Musiała. I dziesiątki innych, często wcale nie gorszych. Oczywiście nie sposób opowiedzieć tego trójksięgu. Największą jego wartością wydaje się odkłamywanie stereotypów i – uwaga – nadzwyczajna jakość tonu i języka większości tekstów. Przede wszystkim nie spotkamy „zaślepienia filosemickiego”, odwrotności klasycznego zaślepienia antysemitki pełnego emocjonalnych inwektiw i bojowych okrzyków. Precyzja myśli nie wymaga podniesionego głosu.

Pozwolę sobie odnotować jedynie kilka zdań, które przewróciły sporo moich własnych poglądów na sprawy polsko-żydowskie. Od lat na przykład trwa spór, czy Polacy mogli uratować podczas wojny większą liczbę

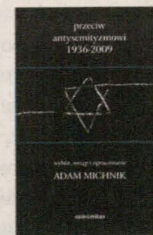
Nieliczne z tych tekstów dostępne były dotąd w szerokim obiegu. Chwała Michnikowi, że to zmienił

Żydów. „Jestem zupełnie pewien, że znacznie więcej osób poniosło śmierć w związku z aktywnością konspiracyjną niż za pomaganie Żydom. Dlaczego więc działalność konspiracyjna przyciągała tak wielu ludzi, podczas gdy Żydom pomagała jedynie drobna garstka?” – pytał „dawny” Jan Tomasz Gross w 1986 roku. Szczycimy się rodakami, którzy z narażeniem życia ratowali Żydom, i brzydzimy szmalcownikami, których mamy za kryminalną hołotę. Ale, pisze Roman Zimand w 1987 roku, „przy takim ujęciu z reguły zapomina się, że w każdym narodzie znajdzie się trzy procent łajdaków i tyłuż bohaterów, zaś rozmowa o stosunku Polaków do »ostatecz-

nego rozwiązania« dotyczyć winna pozostałych 94 procent, którzy ani nie donosili, ani nie ratowali”. Tenże Zimand cytuje jednak także wysłany do Londynu w 1941 roku meldunek generała Grota-Roweckiego, który powinien mieć w pamięci każdy, nim zacznie się wypowiadać o wojennych losach Polaków i Żydów: „Proszę przyjąć jako fakt zupełnie realny, że przynajmniej większość kraju jest nastrojona antysemitcko. Nawet socjaliści nie są wyjątkiem”.

Dołożmy do takich enuncjacji i tę, że ukrywający się Żydzi bardziej bali się swoich Polaków niż obcych Niemców. Autorzy wojennych i powojennych mordów i pogromów zaś to nie byli żadni psychopaci, ubecy czy pospolici bandyci, tylko najzwyczajniejsi obywatele polscy, od wójta po krawcową. Oto obrazki nie z zapadłej wsi, lecz z cywilizowanej Warszawy, z 1940 roku: „Świadkowie awantur antyżydowskich na Elektoralskiej, rogu Solnej i Hal Mirowskich opowiadają, że były one obrzydliwe. Brał w nich udział motłoch z nożami, niszczone sklepy żydowskie i Żydów bito nie miłosierdzie”. Albo opowieść o bandzie liczącej około 50 młodych ludzi, która „chodząc po sklepach żydowskich i pod groźbą rabunku wymuszała w ten sposób pieniądze”. Jednak nie tylko motłoch chciał się dorobić. Jak pisze Jan Grabowski (z jego pracy o szantazowaniu Żydów, której fragment pomieszczono w antologii, pochodzią wszystkie te relacje), wśród Polaków zatrzymanych przez Niemców za wymuszenia „szantazystą o najlepszej paranteli był niewątpliwie młody hrabia, zaarrestowany podczas próby wymuszenia okupu od dwóch żydowskich handlarzy”.

O wiele złych rzeczy, najczęściej przy użyciu złej woli, oskarża się polską inteligencję, czasem pogardliwie nazywając ją salonową elitą. Ale jeśli ta elita była zdolna stworzyć teksty składające się na tę niezwykłą antologię, to honor polskiej inteligencji został uratowany. A co można powiedzieć o antysemitytach trafiających się niestety także wśród inteligencji? Najlepiej ujął to w 1947 roku wielki poeta Julian Przyboś: „Antysemity uważam za potencjalnego mordercę”.



„Przeciw antysemityzmowi 1936–2009”, wybór, wstęp i opracowanie Adam Michnik, Universitas, Kraków 2010, s. (w sumie) 3126, 90 zł

Tylko na Przekroj.pl: recenzja Jacka Stawiskiego (TVN24) książka „Złote żniwa” Jana Tomasza Grossa

Mogę się przebrać za niedźwiedzia

KRZYSZTOF MATERNA o tym, dlaczego nie żartuje, grając w golfa, jak połączyć zupę ze sztuką i kulisach powstawania jego skeczy, które wygrały ranking „Z czego śmieją się Polacy” zamieszczony w poprzednim „Przekroju”

ROZMAWIA JACEK TOMCZUK

Z czego się pan ostatnio śmiał?

– Ostatnio najczęściej śmieję się niezawodowo. Wymieniamy żarty z Wiktorem Zborowskim, Wojtkiem Mannem, Krysia Jandą.

Spotykacie się?

– Nie, dzwoniemy do siebie. Żaden z żartów, które ostatnio usłyszałem, nie nadaje się do opowiadania poza ścisłym gronem. Ale nie mam też w sobie jakiegoś szczególnego oczekiwania na wesołość. Kiedy oglądam coś, co ma w tytule słowo „komedia” albo „kabaret”, to tak się srożę, że jestem przerażony. I to przerażenie sprawia, że się nie bawię.

Co jest źle?

– U mnie z głową jest coś źle. Ale niech pan się nie martwi, cały czas staram się leczyć.

Wobec pana też jest podwyższone oczekiwanie, że będzie pan żartował...

– Spotykam się z tym. Mówię poważnie „dobry wieczór”, słyszę śmiech. Pytam, z czego się śmieją – słyszę śmiech. No to się śmieję i tak stoimy naprzeciwko siebie roześmiani. Ale tak jest tylko w jednym mieście w Polsce, które zresztą bardzo lubię. I dlatego, że lubię, nie powiem, o które miasto chodzi. Przyjeżdżam potwornie skoncentrowany na turniej golfowy. Koncentruję się, bo nie umiem grać w golfa, a bardzo lubię. Życz-

liwi koledzy golfiści pytają, dlaczego nie żartuję. A ja cierpliwie odpowiadam, że żartuję, ale taką mam smutną naturę. Przecież nie przyznam im się, że taką mam twarz, bo się boję, że źle zagram. Czasem nie wytrzymuję i odpowiadam, że bez kontraktu nie żartuję. Ale to nie jest dobra odpowiedź, bo mogą przynieść kontrakt. To oczekiwanie na żart mogę porównać do przymusu zabawy w sylwestra. Nie lubię sylwestra... Spojrzałem na pana i z pananieoperacyjnej twarzy wyczytałem, że pan też nie jest jego zwolennikiem...

Czy ma pan wrażenie, że napisał już swoje najlepsze skecze?

– Proszę pana, to właśnie „Przekrój” przypomniał mi, że w ogóle

„Miałem propozycję, by pokazać się w stroju siostry Ireny na strajku pielęgniarek. Uznałem ten rodzaj spontaniczności za przesadny

KRZYSZTOF MATERNA

pisalem skecze, bo ja już dawno o tym zapomniałem.

Ranking „Przekroju” wygrały rzeczy sprzed 15 lat, czyli „Za chwilę dalszy ciąg programu”.

– To był bardzo miły czas, kiedy tworzyliśmy te programy. Wystar-

towaliśmy jako aktorzy amatorzy, improwowaliśmy, przynosiliśmy na spotkania scenariusz i szkice tekstu, a reszta powstawała w atmosferze wspólnej zabawy.

Mieliście jakieś specjalizacje?

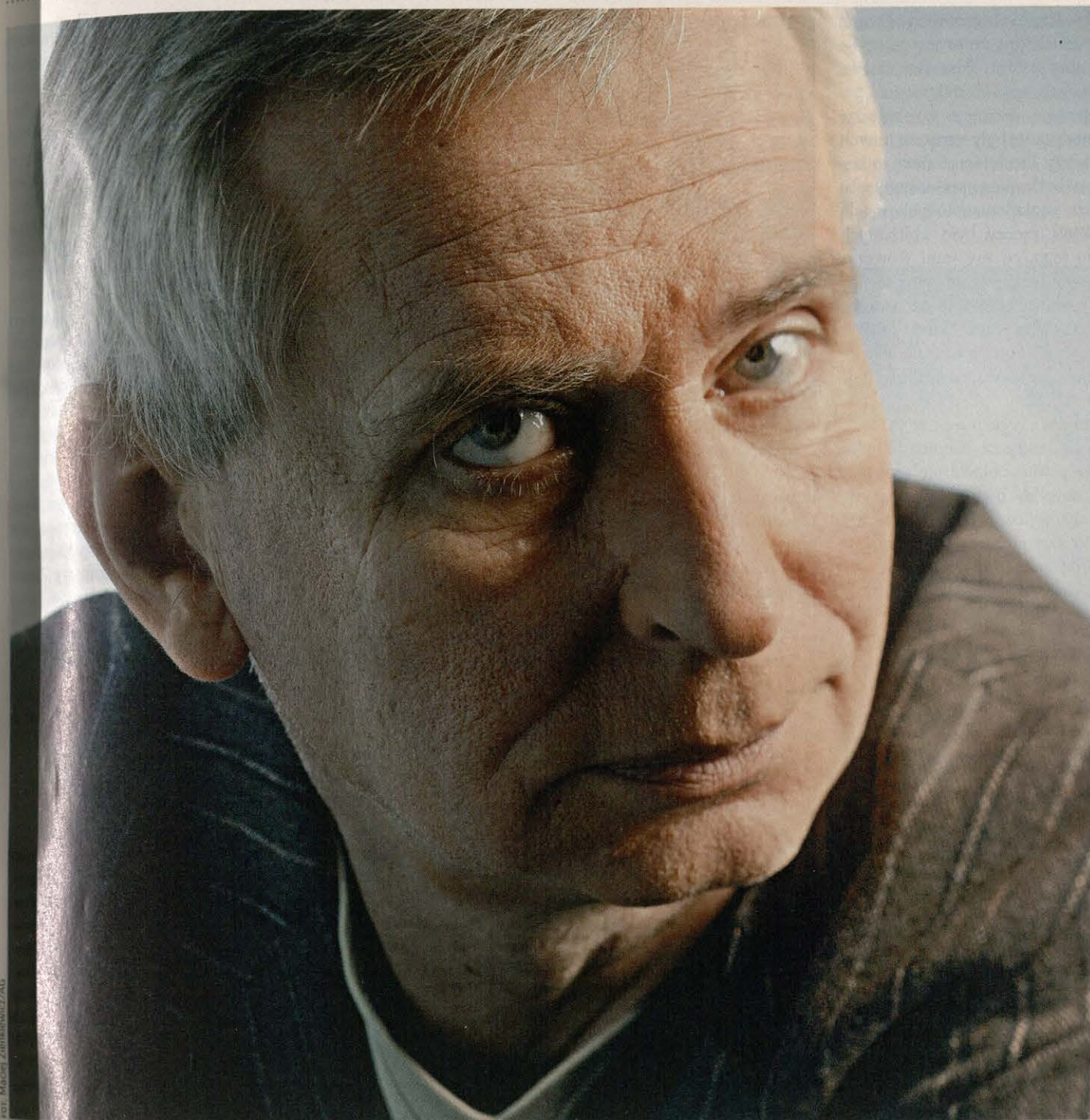
– Mieliśmy. Grzesiek Wasowski był specjalistą od krótkich żartów abstrakcyjnych. Razem z kolegą Szczęśniakiem pisali „Kuchnię pełną niespodzianek”. Arek Stegienka był tak przerażony, że występuje, iż stwarzał tym przerażeniem aktorskie kreacje. Wojtek królował jako cham medyczny, instruktor higieny, kat siostry Ireny, prezes PZPN – miał tych ról niezliczoną ilość. Ja specjalizowałem się jako siostra Irena i ojciec rodziny, który lubił pociągnąć w kuchni z flaszki. Stworzy-

łem też wiele kreacji dziennikarzy telewizyjnych, reporterów, prowadzących teleturnieje. To była konwencja „Nikifor”. Dużo improwizacji, nieustanna optymistyczna burza mózgów, żadnych trudności produkcyjnych. I jesz-

cze bardzo ważna postać – Ja Kuźniar, świetny operator, tylko przystojny, ale i tak do zbudowany, że mógł kręcić za przez 15 minut, co powodowało, że prawie wszystkie skecze były robione „longiem”, w jednym ujęciu.

TNS OBOP zrobił kiedyś badania z którego wynikało, że 95 procent badanych uważa dowcipy za coś realnego, za rzeczywistość. Czy ktoś wziął pana za siostrę Irenę? Czy ktoś w ogóle dał sygnał, że to coś więcej niż konwencja?

– Aż tak to nie! Ale kiedy był w szpitalu, zdarzało się, że pielęgniarki mówiły do mnie: przynam, że siostra jest chora. Miałem propozycję od osób współpracujących strajk pielęgniarek w białym miasteczku, że się tam pokazać. Organizatorzy mieli pomysł, żebym je rozwinął, uznałem ten rodzaj spontaniczności za przesadny. Zwróciłem się do nas jakaś firma farmaceutyczna, żebyśmy reklamowali leki na serce jako doktor i siostra. Ale okazało się, że to nielegalne. Jest zapis w ustawie, że lekarze nie mogą reklamować osobowość. Siostra była moją bionną postacią. Interpretowałem ją w taki sposób, aby podkreślić umowność tej przebieżki. To znaczy siostra poza kłębem i imieniem nie miała żad-



– Ciągłe czuję to oczekiwanie, że opowiem żart. Mogę to porównać do przymusu zabawy w sylwestra

kobiecych atrybutów, a doktor to wykorzystywał.

I to jak.

– Mówił, że nie ma piersi, że jest ohydny. I tym podobne.

Kto w ogóle wpadł na pomysł siostry?

– Zrobiliśmy scenę pod tytułem „Operacja”. Pamiętam, że szuka-

łem w tej operacji roli dla siebie, bo było trzech chirurgów, którzy wyjmowali z pacjenta bardzo różne rzeczy. Nas śmieszyło to, że z człowieka można wyjąć klucze...

Wasowski wtedy leżał...

– Grzesiek był pacjentem. Ja pomagałem i z tego wyłonił się obraz

tego, jak doktor, chirurg, traktuje pacjenta. Nagle siostra okazywała się w tym gronie jedyną osobą na pograniczu medycyny, to ona dawała doktorowi właściwe narzędzie do rozcięcia brzucha. To była scena, w której ja się potwornie gotowałem. Pamiętam, że skrwawioną gazą ciągle się za-

ślaniałem, ponieważ, wie pan, następuje taka fantastyczna zabawa połączona z rzeczywistością, że nagle zapomina pan o tym, że pan gra, widzi pan, jak z pacjenta wyciągane są bardzo różne i bardzo dziwne rzeczy. Krew się leje dookoła, to znaczy farba, i to jest dodatkowo strasznie śmieszne. →

→ Potem obejrzelismy tę scenę i uznaliśmy, że to jest w ogóle dobry patent. Poza tym ta medycyna, sposób traktowania pacjenta i siermięga w obsłudze medycznej były tematem innych skeczy. Pamiętam „Szkołę rodzenną” budowaną na podobnej zasadzie – szkolenia młodych matek. Wiele rzeczy było zbliżonych do tego, co my sami wówczas przeżywalismy, co widzieliśmy na własne oczy. Zawsze nadchodzi taki moment, kiedy amator zaczyna fascynować się kostiumem, odkrywając, że fajnie jest się przebrać.

Za?

– Najlepiej za Niemca. Kiedyś na planie pojawił się wojenny motocykl, były mundury, granaty, świece dymne – po prostu superzabawa. Poza tym byliśmy taką grupą, dla której nie istniały jakiegokolwiek przeszkody produkcyjne.

To znaczy?

– Wszystko wypożyczaliśmy sami, bez żadnych kosztów. Kostiumy przynosiliśmy z domów, tylko nasze nadworne charakterystyki miały ze sobą dużą ilość zarostów, bo wprost uwielbialiśmy z nich korzystać. Ale tak naprawdę sposób porozumiewania się z Wojtkiem poprzedzony był dużą liczbą prywatnych ćwiczeń, które sami wymyślaliśmy. Kiedyś byliśmy na przykład przez miesiąc w Katowicach, gdzie prowadziliśmy największe w Polsce widowisko cyrkowe. Spodek 30 razy wypełniony po brzegi, 11 tysięcy ludzi, 3 areny. Tyle że my przez całe dni nie wiedzieliśmy, co ze sobą zrobić. Z nudów ćwiczyliśmy konwencje językowe. Na przykład budziliśmy się i mówiliśmy: dzisiaj cały dzień jesteśmy bardzo grzeczni, nie tylko wobec siebie, ale też wobec kelnera albo recepcjonistki. Mówiliśmy do siebie bardzo długimi zdaniami, które operowały nadzwyczajną uprzejmością. Na drugi dzień ustalaliśmy dzień chamstwa i dostawało się wszystkim. To procentowało potem



FOT. I. SOBIESZCZUK (VIP/EAST NEWS)

– Doktor przyczepiał się, że siostra **nie ma piersi** – wspomina Materna

w programach, mogliśmy wejść w każdą konwencję.

Czy publiczny wizerunek pana od dowcipów przeszkadzał w robieniu poważnych interesów?

– Oczywiście. Ostatnio robił ze mną wywiad dziennikarz z „Przeglądu Sportowego”. Zapytał mnie, dlaczego nie żartuję w Canal Plus w programie o przygotowaniach Polski do Euro 2012. Musiałem mu tłumaczyć, że to jest poważny program, bo ja poważnie traktuję Euro 2012 jako szansę dla Polski, więc nie żartuję z powodu dróg, które nie powstaną, oraz nie śmieję się z kibiców, dla których nie wystarczy wagonów na kolei. Mnie to smuci. Często też muszę przekonywać, że pracując w reklamie, mogę poważnie podejść do strategii i potrafię wymyślić coś nowego.

Pana specjalność to ostatnio raczej imprezy na 30 tysięcy osób.

– Pamiętam pierwszy event, który robiliśmy jako agencja w Marriotcie dla Renault. Mieliśmy tylko zarezerwowaną salę, resztę przywieźli Niemcy: dźwięk, światło, beta-camy, ekran, projektory. Ponieważ albo czegoś nie było w Polsce, albo nie wierzyli, że potrafimy to zrobić. Tymczasem my w tej chwili potrafimy zrobić wszystko.

Ogląda pan konkurencję?

– Mamy fantastyczny festiwal Heineken Open'er – pod względem organizacyjnym i artystycznym zbliżony do największych w świecie.

Bywa pan?

– Oczywiście. Jeżdżę nie tylko po to, żeby podejrzeć, jak to jest zrobione, ale też by w nim uczestniczyć jako widz. Co pan mnie ma za takiego, co...

Tak tylko się pytam, ja nie jeżdżę.

Jaki jest przepis na dobry event?

– To moja praca, gdybym go podał, to 30 agencji eventowych w Polsce by ten przepis wykorzystała. Poprzestaną na generalnej wskazówce. Robi pan na przykład bal w hotelu. Jeśli połączy pan występ artysty z podawaniem zupy, to artysta jest wściekły, grozi panu, że odmówi wyjścia na scenę. Ta publiczność,

która lubi zupę, nie słucha artysty, ta publiczność, która chce słuchać artysty, jest wściekła. Będzie miała zimną zupę... ten błąd.

To spytam inaczej. Robiąc imprezę komu chce pan dogodzić?

– To zależy, kto płaci. Jeśli ktoś chce zaprezentować nowy spektakl, to po takim wieczorze możemy być przekonani, że dobrze wyłożył pieniądze. Ale ja nie robię takich eventów. Zwykle szczytem akcji dla takiego klienta pozostaje zdjęcie z auta brezentu przy pomocy czterech tancerek albo stress. To mnie nudzi. Ale ja robię imprezę za publiczne pieniądze w imię jakiejś idei, to dla mnie satysfakcja publiczności. Uważam, że nieporozumieniem jest wydawanie publicznych pieniędzy wyłącznie dla zabawy. Zabawę powinniśmy płacić.

To pewnie ma pan dużo pracy, bo rocznic ostatnio sporo, pieniędzy do wydania też, a fachowców jak na lekarstwo, co widać było na obchodach 30-lecia Solidarności.

– Jeżeli myślimy o Polsce jako o prowincjonalnym kraju, a tymczasem fascynujemy się dorobkiem czy nazwiskiem światowej gwiazdy, to w związku z tym zostawmy go bez jakiegokolwiek kontekstu. To efekt jego pracy może być dla nas zaskoczeniem. A poza tym nawet największy twórca może się pomylić. Tworzenie to nie jest sztuka saperska. Zawsze ryzykujemy, że nasz pomysł lub jego realizacja

może być wybuchem, który porazi publiczność naszą nieudolnością. W Polsce, gdy słyszy się o Robercie Wilsonie, to mu się kłaniamy w pas, bo znamy jego wielkie teatralne osiągnięcia i zakładamy, że i u nas zrobi coś wspaniałego. A tymczasem jemu nie wyszło. Akurat u nas nie wyszło. Dopiero budujemy tradycję wielkich imprez. Uczymy się, jak to robić. Już mamy opanowaną rekonstrukcję wydarzeń historycznych. Największą widownię zebrali nasi ryccy pod Grunwaldem i – tu chyba pana zaskoczę – ponownie wygrali. Przegrała publiczność, która nie umiała się po tym sukcesie rozjechać w swoje strony. Przez 24 godziny.

A miałby pan ochotę wrócić przed mikrofon?

– To, że nasze skecze zwyciężyły w rankingu „Przekroju”, nie znaczy, że zaraz zorganizujemy sobie trasy i będziemy je opowiadali ze sceny. Ale gdy dzwonią do mnie koledzy i proszą: czy mógłbyś wystąpić w teledysku przebrany za niedźwiedzia, bo Andrus napisał piosenkę, to występuję, bo mnie to śmieszy i nie uciekam od takich rzeczy. Ponieważ lubię eksperymenty, a w nauce najlepiej eksperymentuje się na sobie, podjąłem się rozliczenia z zawodu, który uprawiałem kiedyś co drugi dzień, mówiąc „dobry wieczór państwu” na estradzie, na festiwalach i koncertach. Taki też tytuł – „Dobry wieczór państwu” – będzie miał eksperyment, którego premiera niestety już za dwa tygodnie w Teatrze Polonia u Krysi Jandy. Będzie to wieczór moich zwierząt, anegdot oraz stosunku do konferansjerów, dawniej i dziś, czyli tak naprawdę – do samego siebie. Nie wiem, czy pan wie, że naukowiec, który eksperymentuje, może zniszczyć sobie ciało i umysł. Mam nadzieję, że w najgorszym razie zniszczę tylko ciało.

Zna pan konkurencję, którą duet Mann-Materna pokonał w rankingu „Przekroju”?

– (Krzysztof Materna przegląda ponownie ranking, długo i spokojnie). Lubię Mumio i „Szkło kontaktowe”.

To z Internetem u pana raczej słabo.

– Oglądam, choć nie szukam. Synek mi pokazuje, często Wiktor Zborowski przesyła różne

śmieszne rzeczy. W „Mdm” mieliśmy taki segmencik pod tytułem „Pajacyki” – ludzie wyszukiwali różne śmieszne obrazki, absurdu w ogłoszeniach prasowych, reklamach, ulotkach, instrukcjach obsługi i przysyłały do nas. Dziś na tym opiera się rozrywka w Internecie. Nawet nie wiedzia-

łem, że byliśmy pionierami w tej sprawie.

Jakiś konkret?

– Tak wspaniale prowadził pan wywiad ze mną, że nie chcę o panu zmieniać opinii na jego zakończenie. Proszę wyłączyć dyktafon i pójść sobie już precz. To żart. Niech pan zostanie. Ja pójdę. ●

REKLAMA

Mądre inwestycje
szybko
się **ZWRACAJĄ**

Kup czarne tonery HP
i odbierz nawet do **300 złotych***

hp.pl/odbierz

Znajdź najbliższego Partnera HP:
hp.pl/e-locator

HIT PRINT
INTELLIGENTLY

*Oferta ważna w dniach 3.01 – 28.02.2011 r. Szczegóły i regulamin promocji na www.hp.pl/odbierz
© 2011 Hewlett-Packard Development Company, L.P.

Polska sprzątaczką narobiła bałaganu

W łóżku talerz z kiszką, pod łóżkiem zęby, a obok sprośny pan. **JUSTYNA POLANSKA** opisała Niemców, u których sprząta. Za Odrą jej książka to bestseller

ROZMAWIA RAFAŁ KOSTRZYŃSKI
ILUSTRACJA TOMASZ WALENTA

Justyna właśnie została pisarką. I to głośną. Jej książka „Pod niemieckimi łózkami. Wyznania polskiej sprzątaczkki” dostała się na listę stu najlepiej sprzedających się tytułów podobno już sześć godzin po tym, jak trafiła do księgarń.

Niemcy nieczęsto mają okazję poczytać o tym, co o ich mentalności i zachowaniu sądzą obcokrajowcy. A 31-letnia sprzątaczką rodem z Przasnysza z 11-letnim stażem zawodowym zdobywanym wyłącznie na niemieckiej ziemi nie cenzurowała niczego. Justyna pisze, że:

- w swojej karierze gospośi wyciągnęła spod niemieckich łóżek tysiące przedmiotów, w tym paznokcie, truchło chomika, zbutwiałe tampony, resztki pożywienia, zużyte prezerwatywy, a nawet zęby mądrości;
- w celu sprawdzenia jej dokładności oraz uczciwości, pracodawcy wymazywali kałem deski klozetowe, ukrywali pojedynczy włos przy ścianie szuflady czy zostawiali pieniądze na podłodze;
- spotkała się z całą litanią sprośności oraz inwektyw kierowanych pod jej adresem a to przez napalonych, a to niewychowanych niemieckich mężczyzn;
- wszyscy, począwszy od nauczycieli, a skończywszy na policjantach i sędziach, zatrudniali ją na czarno i bywało, że jej nie płacili albo płacili tylko część stawki.

„Pod niemieckimi łózkami” nie jest więc książką o dobrych Niemcach. Autorka opisuje stetryczałych dziwaków, brudasów,

obłudników, zbrojeńców i ksenofobów. Na pierwszych 20 stronach aż się od nich roi. Nazywają ją „zasraną Polką”. Zostawiają na pralce w piwnicy kartki z żądaniem, by zostawiła po sobie porządek. Nawet najłżejsza część książki, poradnik dotyczący metod usuwania zanieczyszczeń, wywołuje w czytelniku odruch litości, bo na liście są tak nieprzyjemne rzeczy jak osad z moczu, fekalia, pleśń czy krew.

Autorka jest zadowolona z rozgłosu, jaki zdobyła. Dwa dni po tym, jak „Pod niemieckimi łózkami” trafiło do sprzedaży, ma już pomysł na sequel. I wie, że rozchwytywane właśnie wydanie wkrótce ukaże się po polsku i po angielsku.

Leo Walotek-Scheidegger, niemiecki dziennikarz mieszkający na stałe w Polsce:

- To chłam. Niebezpieczny, bo ośmiesza Polaków. Autorka wpisuje się w najgorszy stereotyp - Polki zatrudnionej na czarno i nieumiejącej trzymać języka za zębami. A poza tym jest po prostu niewiarygodna. Dlaczego? Walotek-Scheidegger uważa, że - Niewybredne propozycje wobec kobiet - częściej w Niemczech błyskawiczną reakcją jest licja. Jeśli Justyna pracuje nielegalnie, to dlatego, że takich pracodawców sobie wybrała. Wreszcie - ten nieszczęsny pseudonim, który ma jej zapewnić sławę przez skojarzenie ze słynnym reżyserem i Polką.

Autorka zapewnia, że nie musiała niczego zmyślać: - Przez lata sprzątania widziałam tyle rzeczy, że starczyłoby na wiele książek. Justyna nie wie, w ilu domach zaprowadziła porządek. Straciła rachubę. Partia

za to ludzi, których poznała w swojej pracy. Nuworzyszy, bo płacili najmniej i nie zawsze. Samotne kobiety, bo zawsze miały największy bałagan.

W Niemczech książkę czytają tysiące ludzi i wcale się nie obrażają. Całe szczęście. Bo stwierdzenie, że wszyscy Niemcy to brudas, skąpcy i zbrojeńcy, jest oczywistą bzdurą.

Udało nam się skontaktować z Justyną. Poniżej zapis rozmowy.

...

Rzuciła już pani sprzątanie?

- Nie, nie rzuciłam. Dziś zrobiłam porządek w dwóch domach.

I znalazła pani pod łózkami coś ciekawego?

- Dziś akurat nie. U tych ludzi sprzątam trzy razy w tygodniu, więc tam jest w miarę do brzo. To adwokaci i lekarze.

Słyszeli już o zamieszaniu wokół pani książki?

- Słyszeli, nawet ją przeczytali i uważają, że jest super. Wiedzą, że ja ją napisałam,

Sama pani pisała czy wszystko robił za panią autor widmo?

- Mój niemiecki przyjaciel bardzo mi pomógł. To on sugerował, co opisać.

A skąd pomysł na Polanską? Brzmi znajomo.

- Zależało mi na łatwym do skojarzenia, polsko brzmiącym nazwisku, a dla Niemca najbardziej polsko brzmią nazwiska zakończone na „ski” czy „ska”. No i chciałam, żeby od razu rzucało się w oczy na okładce książki. Najpierw myślałam nad Podolską, ale uznałam, że to będzie niepotrzebnie sugerować, że jestem kimś z rodziny Lukasz Podolskiego [piłkarza reprezentacji Niemiec - przyp. red.]. A ponieważ Roman Polański jest również znany w Niemczech, zdecydowałam się na Polanską.

I co teraz? Czy teraz będzie się zajmować autorka bestsellera „Pod niemieckimi łózkami”?

- Sprzątaniami. Miałam już inne oferty pracy, na przykład ekspedientki u Swarovskiego, ale je odrzuciłam. Nie interesuje mnie stanie w miejscu. Potrzebuję ruchu. Może to głupie, ale sprzątanie sprawia mi przyjemność i daje kontakt z ludźmi. Bo z wieloma Niemcami jestem zaprzyjaźniona. No i mam swobodę. Gdy nie chcę, mogę nie przyjść do pracy. A że mam i przykre przeżycia? Pewnie gdybym pracowała w Polsce, też bym je miała.

U Swarovskiego pracowałaby pani legalnie.

- Ale ja nie mam żadnego problemu z pracą na czarno. Gdy przyjechałam do Niemiec, był taki strach, że natknę się na policjanta, ale po 11 latach już tego strachu nie ma. Wiem, że nikt mnie nie kontroluje.

To dziwne w kraju, który jest tak przywiązany do prawa.

- Kiedyś sama się dziwiłam. Niemcy, którzy - można powiedzieć - żyją od paragrafu do paragrafu, zatrudniają obcokrajowców na czarno. A co śmieszniejsze, pracują u ludzi, którzy są z urzędu skarbowego, i oni też nie płacą za mnie podatku. Policjant, u którego sprzątam, opowiadał mi, że wczoraj wpadł po cywilnemu na budowę we Frankfurcie i zatrzymał grupę nielegalnych robotników. Rumuna, Węgry, Polaka, Rosjanina. A sam zatrudnia mnie na czarno. Pomyślałam sobie wtedy: „Boże, na jakim świecie ja żyję?”

Tak bardzo przeszkadza pani ta obtuda?

- Skądże. Przecież nie mogę mieć do niego pretensji, że łapie ludzi pracujących na czarno. To jego zawód.

Pani książka ma jedną, za to zasadniczą słabość: tych historii o sędzi, u którego znaleziono skonfiskowaną przez policję marihuanę, o policjancie, który aresztował jednych nielegalnych pracowników i dawał

pracę innym nielegalnym pracownikom, zbrojeńcach ściągających spodnie na pani widok, nie da się zweryfikować. Łatwo posądzić panią o konfabulację. Jest pani taka tajemnicza w obawie przed zemstą czy z dyskrekcji?

- Z dyskrekcji, choć jestem pewna, że każdy wymieniony w tej książce z łatwością się rozpozna.

Pod tytułowymi niemieckimi łózkami znajdowała pani różne rzeczy. Mnie najbardziej zastanowiły zęby. Skąd pani wiedziała, że to zęby mądrości?

- Bo sama miałam je niedawno usuwane. Po wizycie u dentysty zapakowałam je, żeby pokazać mężowi. I bardzo dokładnie je obejrzałam. Więc gdy znalazłam podobny zestaw pod łóżkiem, nie miałam wątpliwości.

Czy już po napisaniu książki znalazła pani coś tak wstrząsającego, że pomyślała pani: szkoda, że nie wcześniej, na pewno bym to opisała?

- W domach, w których sprzątam kilka razy w tygodniu, nie. Ale tam, gdzie pojawiają się co dwa tygodnie, dzieją się cuda. Czterodniowe jedzenie, gnijące jabłka w pokojach dziecięcych. Ostatnio w jednym łóżku znalazłam talerz z kiszką. Obok leżały sztucce, a na szafce stał słoik z musztardą.

Chyba wszędzie na świecie łóżka wyglądają podobnie. Niemcy są wyjątkowo brudni?

- Zdecydowanie. W Polsce na przykład przed Bożym Narodzeniem czy Wielkanocą myje się okna i trzepie dywany. W Niemczech nie zwraca się na to uwagi. Dzieci nie sprzątają w swoich pokojach. W Polsce matka ma trójkę dzieci, a po powrocie z pracy posprząta i jeszcze obiad ugotuje.

Nadal spotyka pani takich dziwaków jak ci, których opisuje pani w swojej książce?

- O tak. Pracuję u pewnego pana, który mieszka sam i ma duży dom. Powiedział mi raz: „Justyna, jak sprzątasz, kładź wszystkie rzeczy tak samo, jak były. Jak wracam do domu, nie chcę widzieć, że tu ktokolwiek był”. A bynajmniej nie chodziło mu o odstawienie krzesła na miejsce, lecz o takie szczegóły jak kosmetyki w łazience. Jak odtworzyć ich położenie, skoro na wannie stoi cała masa butelek?

Zrobić zdjęcie.

- Właśnie (śmiech). Przed przystąpieniem do sprzątania fotografuję łazienkę telefonem komórkowym. Ja rozumiem, że wszystko powinno być na swoim miejscu, ale żeby szampon czy żel pod prysznic stały w tym samym kierunku, to już przesada u faceta, zdaje mi się. Jakaś choroba.

O czym będzie pani druga książka?

- O tym samym co pierwsza. Jeszcze nie powiedziałam wszystkiego. Jest o czym pisać, mam mnóstwo tematów.



– Życie ma się jedno, niedobrze spędzać je w kuchni – mówi **Wika Szmyt**, 71-letnia didżejka

Wyskoki babci z kapci

Bujany fotel zamieniają na taneczny parkiet, a zamiast opiekować się wnukami, wolą uczyć się japońskiego. W końcu starość to tylko stan umysłu

AGNIESZKA FIEDOROWICZ, DONAT SZYLLER

Wika Szmyt pochyla się nad konsolę. W środowy wieczór w klubie Bolek na warszawskim Polu Mokotowskim puszcza piosenki Beatlesów, taneczne latino i skoczne disco. – Czy to ważne, ile masz lat, jeśli kochasz muzykę? – Wika przekrzykuje ryczącą z głośnika piosenkę „Daddy Cool” grupy Boney M. Ma 71 lat. Didżejka została po pięćdziesiątce. W każdą środę, sobotę i niedzielę przez cztery godziny prowadzi dyskoteki dla seniorów. W tygodniu bywa na nich około 250 emerytów.

Jedna część lokalu dostępna jest dla każdego i tam przeważają młodzi. W drugiej królują seniorzy i to oni najlepiej się bawią. Podczas gdy młodzież przy stolikach sączy piwo, seniorzy nie schodzą z parkietu. – Trzeba się bawić, bo życie ucieka – tłumaczy Andrzej Węgrzynowski, 76-latek w skromnym szarym garniturze. Gdy wiruje z kolejnymi partnerkami, wstępuje w niego diabeł. – W tańcu jestem tajfunem – uśmiecha się, kręcąc biodrami.

– Bo niby czym jest starość? – pyta Wika. – Jeśli ktoś nie ma woli życia, to jest stary już w wieku 40 lat. Moje dojrzewanie mi nie przeszkadza, dalej mam apetyt na życie – dodaje.

A najlepszym zastrzykiem energii jest dla niej taniec. – Jeśli ktoś tańczy, rusza się, to zachowuje sprawność. Grzybieje, gdy siedzi w domu.

– Starość to tylko stan umysłu – wtóruje jej pan Andrzej, wybijając prawą nogą rytm disco. – O szarym życiu nie ma co myśleć. Ludzie zamykają się w domach, narzekają na choroby, gapią się w telewizor, przez okno, czekają na smutny koniec. Ale ja nie – rzuca i odpływa w płasach. Ostatniego sylwestra też spędził na tańcach – od godziny 21 do 6 rano.

W zwiewnej czerwonej sukience przypląwa piruetem 68-letnia Krystyna Dudzińska. – Ja w Nowy Rok do domu wróciłam o godzinie 8 – śmieje się, bo w głowie wciąż się kręci. – Przespałam się i poszłam na tańce nad Wisłę. Było mi mało, to poprawiłam 2 stycznia na za-

bawie w Astorii. Nie lubię siedzieć w domu. Wpadam tam, żeby posprzątać i przytęglić głowę do poduszki.

Preferuję radość życia

Rozkład dnia pani Krystyny zawstydziłby jednego 30-latka. Pobudka o 7.30, 15 minut gimnastyki, lekkie śniadanie, makijaż. Wstała o 8.30, bo od pierwszego dnia emerytury Krystyna jest studentką Uniwersytetu Trzeciego Wieku (takich placówek 10 lat temu było w Polsce teraz jest ich już 250). We wtorek o 9.30 uczy się o malarstwie. Czwartek to dzień sztuki i sztuki żywej, a piątek – psychologii. Po wykładach w południe, jest czas na tańce w miejskim centrum kultury. Gdy ma ochotę, wieczorem wpada na brydża do znajomych lub do dyskoteki Wiki Szmyt.

Wika ma czworo wnucząt. Dziewczyna i chłopaka – oboje na studiach, chłopca po-

maturą i drugiego w gimnazjum. – Jak poprosza, to zrobię im pierogi, nie jestem jakaś wyrodną – zastrzega Wika. – Ale oni rozumieją, że mam swoje życie i nie mogę poświęcić się tylko rodzinie – tłumaczy. Przekonuje, że młodzież musi zrozumieć, że ich rodzice i dziadkowie nie mogą być wyłącznie pomocą domową. – My tuż dla nich żyliśmy, teraz ich kolej. Życie ma się jedno, niedobrze spędzać je w kuchni.

Woli pójść do sklepu muzycznego lub usiąść przed komputerem i poszukać w Internecie dyskotekowych kawałków. Prowadziła też kabaret seniorów Viagra, ale stolica obcięła dotacje i Viagra przestała działać. Do kościoła czasem pójdzie, ale podkreśla, że z dewotkami jej nie po drodze: – Część starszych kobiet żyje już tylko po to, by zająć pierwszą ławkę w kościele. Szanuję je, tak jak szanuję każdego człowieka, ale to nie moja filozofia. Preferuję radość życia doczesnego – opowiada Wika. Właśnie zaczęła naukę gry na keyboardzie. Bo po co wynajmować muzyka, skoro można go zastąpić samemu?

– Co myśleć o babci, która skwapliwie podrzuciła swoje dzieci babciom, a teraz ma aspiracje i nie ma możliwości opiekować się wnukami od czasu do czasu. Szkoda gadać, to nie egoizm, to znieczulica i brak więzi rodzinnych? – czytamy na jednym z kobiecych forów. Inna internautka zali się: „Moja babcia też jest taka. Udawała, że nie słyszy, jak wołałam »babciu, babciu«. Teraz, jak jestem z nią na mieście, udaje swoją matkę, nie babcią”.

– Być starym jest w Polsce obwarowane wieloma tabu – rozkłada ręce psycholog Edyta Bonk z sopockiego wydziału Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej, która prowadzi zajęcia na Uniwersytecie Trzeciego Wieku. – Ludziom po 55. roku życia „nie wypada” nosić fajnych ciuchów, chodzić na tańce czy na koncerty ulubionej grupy rockowej. A oni czują się młodo i coraz częściej nie widzą powodu, by z dnia na dzień rezygnować ze swoich pasji.

– Życie jest coraz dłuższe. Seniorzy wiedzą, że muszą zaplanować nadchodzące 20 lat emerytury. I nie chcą się nudzić – dodaje Beata Tokarz-Kamińska, która w Towarzystwie Inicjatyw Twórczych „e” prowadzi program grantowy „Seniorzy w akcji”. Projekty mają aktywizować środowisko – od rewitalizacji starych podwórerek po wiejski teatr.

Mów mi Krzychu

Krzysztof jest młodym dziadkiem. Pracuje, ma 52 lata i dwuletnią wnuczkę. Trudno mu się z tym pogodzić, choć – jak zapewnia – bardzo kocha córkę swojej córki z pierwszego małżeństwa. – Sam mam w nowym związku

dzieci niewiele starsze od wnuczki. Znów odkrywam radości bycia ojcem, a jednocześnie mam być dziadkiem?

A dziadek z niego zadbany i wysportowany – biega, jeździ na nartach. W zasadzie najlepiej czułby się, gdyby wnuczka, gdy trochę podrośnie, mówiła mu „Krzychu”. – Będziemy się razem świetnie bawić, jeździć na narty czy koncerty moich ulubionych zespołów rockowych – Krzychu już planuje przyszłość.

– A nawet gdy ktoś jest samotny, to nie powinien sam siedzieć w domu – uważa 59-letnia Ewa Kostrzewa, babcia 22-letniej Pauliny (są po imieniu, żadne babcinowanie nie wchodzi w grę). Ewa pracuje (pomaga w restauracji),



Krystyna Dudzińska zabrania znajomym mówić o chorobach i starości. Po co się denerwować?

a w wolnym czasie biega do przyjaciółek, spaceruje z nimi, zwiedza.

– Powiedzmy sobie to jasno: babcia nie jest od wychowywania wnuków. Ona swoje dzieci już wychowała, a z wnukami powinna raczej bywać – tłumaczy doktor Zofia Zaorska, gerontolog z lubelskiego UMCS, prywatnie babcia trojga wnucząt, która od trzech lat prowadzi Lubelską Szkołę Superbabci i Superdziadka, program finansowany w ramach „Seniorów w akcji”. W ciągu trzech lat istnienia projektu szkołę ukończyło ponad 50 pań i 2 panów (panów w tym wieku jest zwyczajnie mniej, ale nie aż tak mało; psycholog tłumaczy, że mężczyźni na emeryturze są nieco mniej ruchliwi niż panie, bo całe życie funkcjonowali raczej w kręgu

zawodowym, a panie mają więcej znajomych poza pracą).

– Wiele babć nie jest przygotowanych do tej roli. Siedzą w domu z wnuczką, nudzą się i popadają w depresję. W szkole uczymy się, jak zaakceptować bycie babcią, ale jednocześnie jak w tym wszystkim nie zgubić samej siebie – tłumaczy Zaorska. Jedną z jej kursantek zauważyła: „Zanim kobieta będzie dobrą babcią, musi najpierw sama dobrze poczuć się ze sobą”. Dlatego superbabcie nie uczą się jedynie robienia ciekawych ozdób na choinkę z papierków po cukierkach, ale mają też zajęcia z psychologii, jeżdżą na wycieczki, do spa.

Edyta Bonk widzi, że jej studentki seniorki często nie wytrzymują presji: – Przychodzą wytłumaczyć, że „urodził się wnuk” i dlatego rezygnują z zajęć. Wciąż brakuje im podstawowych zdolności komunikacyjnych, takich jak umiejętność wytyczania granic czy zwyczajnego mówienia rodzinie „nie”.

– Dlatego podczas naszego kursu muszą stać do negocjacji i powiedzieć swoim rodzinom: pomogę wam przy wnukach, ale muszę mieć czas dla siebie – mówi doktor Zofia Zaorska. – To trudne, ale ostatecznie wszystkim się opłaca. Bo okazuje się, że taka fajna babcia, która ma pasję, jest o wiele lepszym kompanem dla wnuka niż taka, która siedzi w domu i zna się wyłącznie na serialach. Z taką babcią nawiązuje się mocniejszą więź i wnuki lubią do niej wpadać także wtedy, kiedy są starsze.

Ale fajna jesteś

Lodziankę Teresę Riemer-Rozmarynowską trudno zastać w domu. Ma 73 lata, właśnie wróciła z lekcji hiszpańskiego, wcześniej była na zajęciach z języka i kultury japońskiej. Do tego chodzi na gimnastykę i taniec.

Na emeryturę przeszła w 1991 roku. Wtedy urodził się jej pierwszy wnuk, dziś już student. – Wychowałam go, co miałam robić? – pyta. Gdy pojawił się drugi wnuk, teraz siedmioletni, stwierdziła, że nie będzie burzyć swojego życia, by znów stać się pełnoetatową nianią. – I na szczęście mój syn i synowa byli podobnego zdania – śmieje się Teresa.

Młodszym wnukiem zajmuje się „od czasu do czasu”. – Niedawno Adaś wypalił: „A wiesz, babciu, co to jest bushido?”. Ja, że to kodeks samurajów. On na to: „Ale ty jesteś fajna”.

Starszemu wnukowi babcia też imponuje: – Zazdrości mi tego hiszpańskiego. Sam chciałby się uczyć, ale mówi, że nie ma czasu. Kupiłam mu więc pod choinkę książkę „Hiszpański. 15 minut dziennie”. Z kolei synowej znalazłam fajny weekendowy kurs. W końcu od czego są babcie?

Olaf przeskoczył Marka

Nie działaj na pamięć

W tym roku lista, nie przyzwyczajenie, zdecyduje, kto dostanie jeden procent z naszych podatków

Zamieszanie z listą organizacji pożytku publicznego, którym można przekazać jeden procent swojego podatku. Najpierw pod koniec roku Ministerstwo Pracy i Polityki Społecznej skreśliło z listy 2,5 tysiąca organizacji (z 7,5 tysiąca). Zniknęły za niezłożenie – oprócz finansowego – sprawozdania merytorycznego (kara za to zaniechanie obowiązuje właśnie od 2010 roku).

Teraz, po rozpatrzeniu odwołań, minister Jolanta Fedak ogłosiła abolicję dla 900 organizacji. – Ulgowo potraktowaliśmy tych, których sprawozdania w wyniku niedopatrzienia bądź niezrozumienia treści rozporządzenia były niepełne lub zawierały błędy – tłumaczy Krzysztof Więckiewicz, dyrektor Departamentu Pożytku Publicznego w Ministerstwie Pracy i Polityki Społecznej.

– Zawsze składaliśmy oba sprawozdania w jednym dokumencie. W tym roku także, jednak według ministerstwa powinny to być oddzielne dokumenty – tłumaczy Łukasz Balcer, członek zarządu Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami. Dlatego TOZ początkowo zostało wykreślone, jednak po wyjaśnieniu sprawy wróci na listę, tak jak skreślona wcześniej Fundacja Ewy Błaszczak Akogo?. – Ukarane będą tylko te organizacje, które nie zdały żadnego sprawozdania, i recydywiści, którzy od lat nie dają o sobie znać ministerstwu – wyjaśnia Krzysztof Więckiewicz. – Im nie można powierzać pieniędzy publicznych, bo nie są wiarygodni.

Wykreślone fundacje przez rok nie mogą pobierać darowizn. Jednak i one będą musiały złożyć zaległe

sprawozdanie, inaczej na stałe znikną z rejestru OPP.

Co się stanie, gdy podatnik z przyzwyczajenia wskaże tę samą organizację co rok temu, a która teraz została wykreślona z listy? Czy pieniądze trafią do budżetu państwa? – Nie – tłumaczy Krzysztof Więckiewicz. – Omyłkowe przekazanie pieniędzy nie będzie możliwe, bo do 15 stycznia każdy urząd skarbowy otrzyma aktualny wykaz organizacji. Lista będzie też dostępna dla samych podatników.

Uniknięcie pomyłki będzie łatwe przy elektronicznym wypełnianiu PIT – formularz nie przyjmie wpisu organizacji skreślonej z listy. Po wpisaniu jej ręcznie i wysłaniu dokumentu pocztą urząd skarbowy skontaktuje się z podatnikiem, by poprawił błąd.

AGATA JANKOWSKA

ZAROBKI

Władza i pieniądze

Premier Izraela Benjamin Netanjahu pod naciskiem opinii publicznej umieścił na Facebooku informację o swoich dochodach. Zrobił to w czasie, kiedy wielu przedstawicieli izraelskich władz domaga się podwyżek płac. Szef rządu Izraela zarabia miesięcznie równo 4,2 tysiąca dolarów, czyli nieco ponad 12 tysięcy złotych. Netanjahu nie podzielił się jednak informacją, ile wynoszą jego osobiste wydatki, które są pokrywane z budżetu państwa. Dla porównania premier Donald Tusk w 2009 roku dostał ponad 229 tysięcy złotych, co daje 19 tysięcy na miesiąc (6,5 tysiąca dolarów). Obu pensjom daleko do zarobków premiera Singapuru, którego roczne uposażenie przekracza dwa miliony dolarów – zgodnie z rankingiem brytyjskiego tygodnika „The Economist”. Według tego samego zestawienia Angela Merkel otrzymuje wynagrodzenie w wysokości 220 tysięcy euro rocznie (71 tysięcy złotych, czyli 24,6 tysiąca dolarów miesięcznie). David Cameron może liczyć na 140 tysięcy funtów na rok, czyli 53,2 tysiąca złotych miesięcznie (18,5 tysiąca dolarów). Mógłby zarabiać więcej, ale po objęciu urzędu odmówił podniesienia swojej pensji. **WOJ**

RACZKOWSKI PONOWNIE



KARA ŚMIERCI

Strasznii samorządowcy

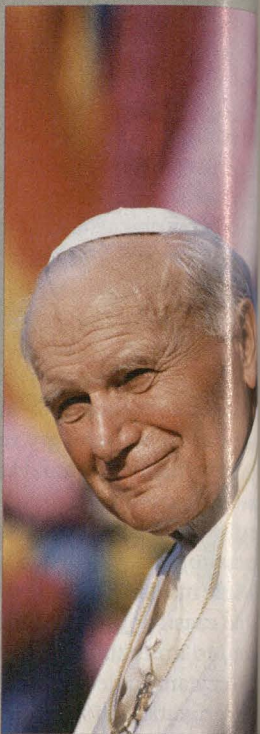
W szwajcarskiej gminie Reconilier mieszka 2245 osób i 280 czworonogów. Władze grożą, że „zlikwidują” zwierzęta, za które nie zapłacono podatku. Na przykład roczny podatek za psa wynosi 50 franków (150 złotych). Prawo z 1904 roku pozwala na likwidację zwierząt, za które nie zapłacono podatku. Co znaczy likwidacja? – Nie chodzi o masowe egzekucje psów. Przypominamy to prawo, żeby zmobilizować ludzi do płacenia. Właściciele psów zalegają z opłatami na setki tysięcy franków – tłumaczy Pierre-Alain Nemitz, sekretarz gminy. Mimo że samorządowcy na razie chcieli postraszyć właścicie-

li i nie planują jeszcze usypiania zwierząt, to do gminy już docierają tysiące głosów oburzenia z całego świata. A przecież nawet jeszcze nie wiadomo, kto miałby zająć się wykonywaniem wyroków, gdyby właściciele też się oburzyli i w proteście nadal nie płacili podatku. **WOJ**



WATYKAN

Papieski 1 maja



Niewytłumaczalne z medycznego punktu widzenia nagłe wyzdrowienie francuskiej zakonnicy Marie Simon-Pierre z zaawansowanej choroby Parkinsona to wybrany przez Watykan cud niezbędny do obwołania Jana Pawła II błogosławionym. Wraz z ogłoszeniem stosownego dekretu wyznaczono datę beatyfikacji – 1 maja. Mszy będzie przewodniczył Benedykt XVI, który pierwszy raz podczas swojego pontyfikatu weźmie udział w beatyfikacji (dotąd pozostawiał to swoim delegatom). Proces przeszedł szybką ścieżkę beatyfikacyjną (do jego rozpoczęcia powinno minąć pięć lat od śmierci, poza tym sprawa nie czekała w kolejce bieżących beatyfikacji). Po ceremonii trumna ze szczątkami Jana Pawła II zostanie przeniesiona, zgodnie z przepisami kanonicznymi, z Grotu Watykańskich do kaplicy świętego Sebastiana w Bazylice Świętego Piotra, niedaleko Piety Michała Anioła. Ekshumacji nie będzie. **SPA**

UNIA EUROPEJSKA

Komisja się leni

Wysocy urzędnicy Komisji Europejskiej mieli w 2010 roku trzy miesiące urlopu – do tych wstrząsających konkluzji doszła Ingeborg Gräßle, europarlamentarzystka z Niemiec. Według jej wycień w 2010 roku dokładnie 1962 oficjeli komisji wykorzystało program urlopowy „Flexitime”, który docelowo przysługuje pracownikom biurowym, ale tylko pod warunkiem, że przez określoną liczbę dni zostają po godzinach. Elita urzędników Komisji Europejskiej to najlepiej opłacani biurokraci w świecie zachodnim. Tym większe wrażenie musi robić arytmetyka urlopo-

wa. Dzięki programowi „Flexitime” do podstawowych 24 dni płatnego urlopu w ciągu roku można doliczyć kolejne 24 dni. Poza tym w 2010 roku mieli jeszcze 7 dni publicznych świąt i 11 dni zwyczajowej przerwy w działaniu komisji – latem i w okresie bożonarodzeniowym. W sumie 66 dni, czyli 13 tygodni, albo – jak kto woli

– 3 miesiące fajrantu. Informacja ta zrobiła tym większe wrażenie, że przez cały grudzień KE wojowała o swój budżet z Londynem i Berlinem. Tamtejsze rządy domagały się radykalnych cięć. Stało na utrzymaniu zeszłorocznej, 3,7-procentowej podwyżki płac w komisji i zamrożeniu poziomu budżetu w 2011 roku. **LUC**



OŚWICZENIE

Wiązka w pirata

Pracownicy z firmy BAE Systems oferują laser o dużej mocy, który ma chronić statki przed piratami, głównie somaljskimi. Nowe urządzenie nie uszko-

dzi oczu napastników, ale oślepi ich na jakiś czas. Urządzenie jest skuteczne nocą i za dnia. Piratom trudno będzie się schować przed zieloną wiązką lasera, bo zwykłe okulary przeciwsłoneczne przepuszczają tę barwę. Patrzeć na laserowe światło z odległości półtora tysiąca metrów to tak, jak spoglądać w pogod-

ny dzień na słońce. Choć wynalazek na morzu nie zapewni zbrojnej ochrony przed piratami, to w czasie gdy somalijscy łupieżcy będą odzyskiwali wzrok, kapitan zaatakowanego statku będzie mógł wezwać wsparcie. W 2010 roku piraci na całym świecie atakowali 440 razy i porwali 51 statków. **WOJ**

OBSERWACJE

Na prawo most

Włoska historyk sztuki twierdzi, że znalazła miejsce, które namalował Leonardo da Vinci za plecami Mony Lisy. Zdaniem Carli Glori most po prawej stronie obrazu położony był w wiosce Bobbio w północnych Włoszech. Doszła do tego wniosku po odkryciach innego badacza obrazu Silvana Vincentiego, który pod mostem znalazł cyfry 7 i 2. – Leonardo ukrył w nich datę 1472. W tamtym roku bowiem powódź w Bobbio zniszczyła tamtejszy most. – Da Vinci chciał, żeby ktoś w przyszłości zidentyfikował tę budowlę – wyjaśnia badaczka. Większość historyków sztuki twierdzi jednak nadal, że krajobraz za Moną Lisą jest wymyślony. Nie każdy też widzi cyfry 7 i 2 pod mostem, podobnie jak litery, które Vincenti dostrzegł w oczach Mony Lisy. LV – inicjały Leonarda – w prawej źrenicy i CE lub B w lewej. Dla wielu owe cyfry i litery to pęknięcia, które z czasem pojawiły się na obrazie. **WOJ**

REKLAMA

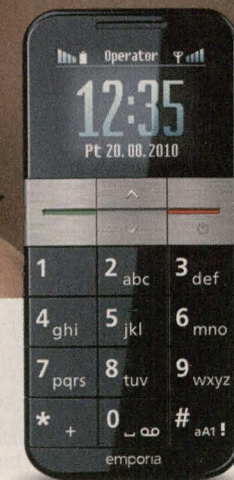
„Mój elegancki telefon jest jak idealna torebka – wszystko mam zawsze pod ręką.”

Rozmowy w dobrym stylu. Nowa emporiaELEGANCE.

Ten łatwy w obsłudze i atrakcyjny telefon wyjątkowo trafnie spełnia oczekiwania dojrzałych konsumentów o wyszukanym guście. Przejrzysta funkcjonalność czyni instrukcję obsługi zbędną, a minimalizm jego kształtów zadowoli każdego miłośnika wyrafinowanych projektów.

Dostępny w salonach i sklepach sieci ERA, PLUS, PLAY i ORANGE.

Łatwiejsze kontakty z bliskimi.®



emporia



Tiger to ja

Ring bokserki zamienił na salę sądową, przyjaciela ma tego samego od lat, Polskę kocha, Niemcom jest wdzięczny. **DARIUSZ MICHALCZEWSKI** opowiada Grzegorzowi Miecugowowi, kim by został, gdyby na swojej drodze nie spotkał właściwych ludzi

Jak to się stało, że został pan Tigerem?

- W 1991 roku w Niemczech podpisałem kontrakt z Klausem-Peterem Kohlem i po trzeciej albo czwartej wygranej walce dziennikarze zaczęli się mną interesować. Jeden z nich, chyba z „Bildu”, pytał o moje następne walki, ale miał kłopot z wymówieniem nazwiska, więc zapytał Kohla: „Z kim dalej będzie walczyć ten twój tygrys?”, i tak już zostało. A ponieważ na ringu zawsze miałem agresywny styl, to określenie pasowało do mnie idealnie. I tak zostałem Tigerem.

Poza ringiem też?

- W życiu prywatnym też. Ale myślę tu raczej o agresji jako swego rodzaju towarzyskiej zachłanności. Bo ja zawsze kochałem ludzi, lubiłem towarzystwo i w ogóle byłem i jestem bardzo otwarty.

Tigera zarejestrował pan w Urzędzie Patentowym jako swój znak towarowy.

- Tak. Głównie chodziło mi o zastrzeżenie swojego oznaczenia Tiger. A markę stworzyłem, będąc przez lata mistrzem świata. Moja osobowość idealnie nawiązywała do cech napoju energetycznego. Bo wiadomo - tygrys to sama energia i siła.

Czyli wedle prawa jest pan właścicielem marki.

- Tak, jestem właścicielem oznaczenia Tiger i Dariusz „Tiger” Michalczewski.

W 2003 roku związał się pan z Gellwe (od 1 stycznia 2008 roku funkcjonuje pod nazwą FoodCare), firmą produkującą napoje energetyczne. Podpisał pan z nimi umowę?

- W 2003 roku firma Gellwe nie miała żadnych uprawnień do korzystania z oznaczenia Tiger. Podpisaliśmy więc umowę na 50 lat.

Dlaczego aż na tak długo?

- Umowa dotyczyła nie tylko wykorzystania mojego wizerunku. Udzieliłem Gellwe praw licencyj-

nych do korzystania ze wszystkich znaków zawierających słowo „Tiger” i z pseudonimu „Tiger”. Gdybym sprzedawał wizerunek, umowa mogłaby być zawarta na dwa, może trzy lata, bo przecież nikt nie przypuszczał, że będę walczył na ringu wiecznie. Właściciel tej firmy chciał wygrać z bezkonkurencyjnym wówczas Red Bullem i to nam się udało.

Był pan wtedy mistrzem świata?

- Tak. Byłem na szczycie.

Co się działo z pieniędzmi z FoodCare?

- Częściowo przeznaczałem je na fundację Równe Szanse.

W jakiej części?

- W takiej, aby prowadzić jej działania na bardzo szeroką skalę - aby móc organizować programy stypendialne, szkolenia dla trenerów czy obozy sportowe dla biednych, ale utalentowanych dzieciaków.

Kilka miesięcy temu wszystko się wywróciło. Dlaczego?

- Konflikt trwał od dawna. W pewnym momencie zorientowałem się, że właściciel FoodCare rejestrował różne modyfikacje mojego oznaczenia Tiger na siebie, bez mojej zgody. Później zdjął z siebie mój wizerunek, również bez mojej zgody. Punktem kulminacyjnym było zaprzestanie odprowadzania opłat za licencję do Fundacji. Dlatego zostaliśmy zmuszeni do rozwiązania umowy i musieliśmy szukać nowego partnera. Fundacja nadal mogła działać. Właściciel FoodCare miał pełnomocnictwo do zarządzania marką Tiger?

- Tak, zaufałem mu. Powiedział mi kiedyś: Darek, będę w twoim imieniu rejestrował znaki na siebie, bo ty przecież nie masz czasu. Tymczasem robił to na siebie. A ważniejsze jest to, kto pierwszy się rejestruje. Jak się pan o tym dowiedział?

- Przecież on sam tego nie robił, tylko wysyłał swoich ludzi.



„Jedną bitwę wygraliśmy, w drugiej jest remis. Ale liczy się to, kto wygra wojnę. Ja wierzę, że my, i jestem przekonany, że niedługo produktu firmy FoodCare nie będzie na rynku

DARIUSZ MICHALCZEWSKI

→ W końcu ktoś się wygadał, że jestem oszukiwany. Moji prawnicy sprawdzili to i wniosli sprawę do Urzędu Patentowego o unieważnienie tych rejestracji.

Wtedy uznał pan to za złamanie umowy i związał się z inną firmą – Maspex. Sąd najpierw uznał pana rację i zakazał firmie FoodCare sprzedawania napojów energetycznych z pana wizerunkiem, ale potem zakaz został zawieszony i w efekcie mamy teraz na rynku dwa napoje z pana podobizną. Co będzie dalej?

– 5 stycznia tego roku na mój wniosek Sąd Okręgowy w Krakowie wydał spółce FoodCare ponowny zakaz wprowadzania do obrotu i reklamy napojów zawierających oznaczenie Tiger. Wiem, że jest jeszcze wiele kwestii prawnych do rozstrzygnięcia, ale jestem przekonany, że prawo będzie po mojej stronie. Biznes jest wtedy, gdy dwie strony są zadowolone, a tutaj druga strona próbowała mnie oszukać. To nieprzyzwyczajone po tylu latach współpracy napisać na opakowaniu, że dokarmia się tygrysy w zoo, i udowodnić, że ja z produktem nie mam nic wspólnego i to jest inny produkt.

Może ma pan za słabe wsparcie biznesowe?

– Dlaczego ja?

Wydaje się, że dość łatwo zabrano panu markę.

– Nie zabrano – walka trwa. Jedną bitwę wygraliśmy, w drugiej jest remis. Ale liczy się to, kto wygra wojnę. Ja wierzę, że my, i jestem przekonany, że niedługo produktu firmy FoodCare nie będzie na rynku.

Jest pan fighterem?

– Gdybym nie był, tobyśmy teraz nie rozmawiali. Całe życie walczę.

Cofnijmy się o 23 lata. Wtedy uciekł pan z Polski. Skąd się wziął ten pomysł?

– W tamtych latach kolegowałem się z Darkiem Kosedowskim, który też był mistrzem Polski i też był z Gdańska. Jego brat wyjechał trochę wcześniej i boksował w amatorskiej lidze

w Niemczech. No i tak od słowa do słowa dogadaliśmy się na jakimś obozie w 1988 roku, że też uciekamy.

Z powodów materialnych?

– Także. Ja byłem fikcyjnie zatrudniony w pięciu fabrykach. Ale pod koniec 1987 roku zabrali mi jeden etat, potem drugi. Nie widziałem tu dla siebie przyszłości. W Polsce w tamtych czasach nie było możliwości osiągnięcia międzynarodowego sukcesu.

Pojechaliście na turniej przedolimpijski do Niemiec. Nie pilnowano was?

– Oczywiście, że pilnowano – zwykle zabierano nam paszporty. Na tym turnieju też chcieli nam je zabrać, ale powiedzie-

się kończyły. I wtedy jakiś znajomy – też Polak, ale nie bokser – powiedział nam, że reprezentacja Niemiec przygotowująca się do mistrzostw świata szuka sparringpartnerów. I że można zarobić 100–150 marek. Wypadliśmy na tyle dobrze, że się nami zainteresowano. Miałem już niemieckie obywatelstwo. Wylądowałem w Leverkusen. I w 1991 roku w Göteborgu zostałem mistrzem Europy.

Jako Niemiec.

– Tak.

Bycie Niemcem bolalo?

– Wtedy mnie to nie interesowało. Wykorzystałem to, co było możliwe. I jestem temu państwu wdzięczny za możliwości, które

gdy uciekałem, ale tak jak powiedziałem, nie w każdym innym kraju są rzeczy złe. To, co mnie najbardziej boli, to zazdrość i zazdrości. Zna pan ten dowcip o Polaku w piekle?

Znam. Polskiego kotła nie trzeba pilnować, bo Polacy sami się do niego wciągają.

– To jest chyba największa zmiana od czasu, gdy wyjechałem. Wtedy, jeśli ci zabrakło cukru, to żądnym dał ci bułkę. Możliwość, że ktoś bardziej dostrzegali drugiego człowieka. I to mnie boli. Zanim się nicą też nie potrafimy się wspierać, tak jak potrafią to Turcy i Żydzi. Gdy mieszkałem w Niemczech i powinięła mi się pomoc, to nie Niemcy na mnie गए, ale Polacy. Są też jednak do inicjatywy, których nie ma w innych krajach, na przykład w Polsce Orkiestra Świątecznej Pomocy. To jest fantastyczna idea, którą jestem zafascynowany.

Trafiał pan do świata celebrytów.

Lubi go pan?

– Chyba tak.

Dlaczego?

– Lubię ludzi, przyzwyczaiłem się również do popularności.

Ma pan przyjaciół?

– Mam przyjaciela.

Ale z tego świata czy z dawnych lat?

– Mam przyjaciela od czasów piaskownicy i przedszkola. Dzisiaj to mój doradca i partner biznesowy.

W świecie celebrytów ma się raczej znajomych?

– Tak. Tam trudno o przyjaciół.

Zazdrości pan Andrzejowi

Golocię, że wystąpił w „Tańcu z gwiazdami”?

– (śmiech) Ale czego mam zazdrości?

Popularności.

– Ja nie jestem zazdrosną osobą. Trzymam za Andrzeja kciuki, bo to też jest pięściarz.

A gdyby panu zaproponowano udział w tym programie?

– Od pierwszego odcinka mi proponowali.

I?

– Basia mnie nie puściła.

Pana obecna żona?

– Tak, jest bardzo o mnie zazdrosna, ale cieszę się z tego.

Ma pan w rodzinie bokserów,

ma pan też trzech synów. Chciałby pan, żeby chociaż jeden z nich boksował?

– Najlepiej, gdyby był bokserem i mistrzem świata wagi ciężkiej.

Żeby cały świat o nim mówił?

– To jest fajny sport. Lepiej być mistrzem świata w boksie niż na przykład w lekkiej atletyce.

Naprawdę? Dlaczego?

– Respekt jest większy.

A co robią synowie?

– Starszy skończył studia w Bostonie.

I będzie biznesmenem?

– Tak, odbywa praktyki w dużej firmie. Młodszy jest na drugim roku studiów w Nowym Jorku, a najmłodszy umodził się niedawno.

I kim będzie?

– Ostatnio pytałem Basię o to samo, ale nie odpowiedziała. Trudno powiedzieć. Na pewno pomożę mu w tym, co będzie chciał robić. Na razie chodzi do piłkarskiego przedszkola.

Jest pan dobrym ojcem?

– Staran się nim być.

Pana ojciec zmarł, kiedy pan był dzieckiem.

– 12 lat miałem. Wydaje mi się, że jestem dobrym ojcem, ale chyba bywałem za dużym egoistą.

Od dziecka wszystko kręciło się wokół mnie. Cała moja rodzina była podporządkowana mojemu boksowaniu. Miał być cicho, bo Darek musi trenować, cicho, bo Darek musi spać,

cicho, bo Darek musi zjeść. Moja żona też nie ma lekko z moim egocentryzmem.

Ale jednocześnie ma pan takie poczucie, że trzeba ludziom mówić dzień dobry, trzeba się na nich otwierać.

– No tak, poprzez moją fundację Równa Szansa dzielę się swoim

sukcesem, jeżdżę do szkół, do domów dziecka, spotykam się z całą masą dzieciaków. Nie muszę tego robić, ale to jest mój dług wdzięczności wobec wszystkich tych, którzy nie dopuścili, żebym się po śmierci ojca zagaubił. Dzięki nim nie zostałem bandziorem, tylko mistrzem świata.

Co pan zrobi, jeśli pan przegra sprawę?

– Nie przegram, nie ma takiej możliwości. Wierzę w polskie prawo. Czy gdybym ja panu pożyczyl samochód, a pan zmieniłby w nim koła i lusterko, to miałby pan prawo mówić, że to pana auto? No przecież nie.

„ Od dziecka wszystko kręciło się wokół mnie. Miało być cicho, bo Darek musi trenować, cicho, bo Darek musi spać, cicho, bo Darek musi zjeść

DARIUSZ MICHALCZEWSKI

liśmy, że damy rano, bo musimy coś jeszcze załatwić. I uciekliśmy. Wielka szkoda, że przed zawodami, a nie po nich, bo chcieliśmy jeszcze pokazać się w walce na ringu. No, ale trudno. Stanęliśmy na autostradzie z karteczką z napisem „Hamburg”. I ruszyliśmy w nieznaną. Miałem 20 lat. Darek – 25.

Był pan już wtedy ojcem.

– Tak, Michał miał roczek. Ale tak to wszystko zorganizowałem, że żona z synem cztery dni później była już w Niemczech.

Dlaczego wybraliście Hamburg?

– Tam mieszkała moja ciotka. W sumie to nie było takie istotne, bo byliśmy przekonani, że nami, mistrzami Polski, ktoś się zainteresuje, że każda drużyna będzie się o nas biła. A tu nic. Nikość nie obchodziliśmy. Siedzieliśmy w jakiejś wiosce. Nie trenowaliśmy za dużo. Oszczędności

mi stworzyło. Oczywiście musieliśmy w ten mój ostateczny sukces włożyć mnóstwo wysiłku, bo w tamtych latach uciekinier z Polski nie kojarzył się dobrze.

Wrócił pan do Polski. Jaka ta nowa Polska jest w oczach człowieka z Zachodu?

– Polska to najpiękniejszy kraj na świecie. Na pewno teraz jest bardziej kolorowo niż wtedy,

Dariusz „Tiger” Michalczewski

42 lata, bokser. Trenował w rodzinnym Gdańsku od 12. roku życia. Już jako 17-latek został mistrzem Polski juniorów w wadze półśredniej. W 1988 roku nie wrócił z wyjazdu ekipy bokserskiej do RFN i tam kontynuował karierę zawodową, stając z ofensywnego stylu walki (stad przydomek „Tiger”). Był niepokonany przez 12 lat, wielokrotnie zdobywał tytuły zawodowego mistrza świata. W 2002 roku federacja WBO ogłosiła go czempionem wszech czasów. W 2005 roku zakończył karierę sportową. Jest twarzą marki napoju Tiger Energy Drink, z czego zyski przeznacza na działającą od 2003 roku fundację Równa Szansa, która między innymi funduje stypendia sportowe dla młodzieży. Czterokrotnie żonaty (dwa razy z pierwszą żoną), ma trzech synów: Michała, Nicolasa i Dariusza.

REKLAMA

Już kilka dni po operacji tata był w domu

Między innymi dlatego korzystam z usług Centrum Medycznego ENEL-MED, które dodatkowo oferuje:

- kompleksowe usługi medyczne: przychodnie, stomatologię, rehabilitację
- prywatny szpital na warszawskim Zaciszu
- nowoczesną i szybką diagnostykę obrazową
- profesjonalną opiekę lekarską najwyższej jakości
- program 24h dla zdrowia, czyli kompleksowe badanie stanu zdrowia w jeden dzień
- sieć medyczną dostępną na terenie całej Polski

Dzisiaj wiem, że to jest mądry wybór.



enel-med
CENTRUM MEDYCZNE
Służymy ludziom od 1993 roku
1 95 27*
*koszt połączenia lokalnego



Zwierzę też człowiek

Kultura, sztuka, inteligencja i samoświadomość nie są przypisane tylko ludziom. Kiedyś zwierzęta stawiano nawet przed sądem. Kto wie, może wkrótce zaczną same bronić swoich praw

OLAF SZEWCZYK

Pod koniec grudnia naukowcy z Uniwersytetu Harvarda obalili kolejny mur dzielący nas od zwierząt. Ogłosili, że wśród młodych samicy szympansov powszechne są zabawy lalkami, które małpy robią sobie same z patyków. Badacze zaobserwowali, że często przytulały się do nich, układając się do snu, a nawet budowały dla nich oddzielne gniazda. Co więcej, takie zachowanie znacznie częściej obserwowano wśród młodych samic niż samców. Mamy więc za jednym zamachem myślenie abstrakcyjne, manifestację wyższych uczuć i zabawę.

W tym samym mniej więcej czasie kilku naszych rodaków obaliło z kolei mur dzielący nas od najbliższych z bydłą (bez obrazy dla bydła), mordując i torturując psy i koty. Przyszła więc pora, by zrewidować nasze poglądy na to, czy człowiek jest ukoronowaniem wszelkiego stworzenia.

Szarańcza na wokandę!

Proszę wstać, sąd idźcie! Właśnie w tej chwili powinien rozleć się szum tysięcy owadzich skrzyde-

łek. Ale nie, oskarżeni nie stawili się na salę sądową, proces odbył się zaocznie. Hm, czy to aby nie naruszało fundamentalnych praw owadów? Takie dylematy przeżywać mogli uczestnicy procesu, który odbył się roku pańskiego 1650 w pobliżu hiszpańskiego miasta Segowia. Oskarżony to stado szarańczy pustoszące pola. Wcześniej bezskutecznie próbowano wobec żarłocznych insektów zarówno perswazji, jak i metod nieco bardziej stanowczych: księża do ich rozpędzenia użyli relikwii, wody święconej, a nawet aktów publicznej pokuty.

Gdy nie dało się po dobroci, wytoczono proces. Świadcami byli święci patronujący poszkodowanym wioskom reprezentowani przez wieśniaków. Sędziami też byli święci - tyle że inni - przemawiający przez wyznaczonego zakonnik. Wyrok wydała Matka Boska. Głosił on, że owady będą ekskomunikowane, jeśli natychmiast się nie wyniosą. Jednak trudno mówić o niesprawiedliwym procesie, bo z reguły oskarżone zwierzęta reprezentował

advokat z urzędu, a w prawnych annałach odnotowano też wyroki uniewinniające.

Jakkolwiek osobliwy wydawałby się nam dziś ten werdykt, poprzedzały go znaczące precedensy. Ekskomunikowano wcześniej między innymi szarańczę w Ávili, szczury w Osmie, jaskółki koło Kordoby. Groza ekskomunikacji może dziś żyć szczeciń, ale przecież w procesach zwierząt zdarzały się jeszcze straszniejsze wyroki. 29 lat po wystosowaniu w imieniu Matki Boskiej ultimatum nieposłusznym owadom z okolic Segowii skazano w Londynie na śmierć psa (wraz z jego panią) za dopuszczenie się aktu miłosnego. Czyżby współżyli bez ślubu?

Sądy nad zwierzętami nie były fenomenem tylko europejskim. Sądzone je za podobne przewiny choćby w Chinach - począwszy co najmniej od średniowiecza aż do początku czasów nowożytnych. A jako że nie wytacza się procesów przedmiotom, tylko bytom podmiotowym, jest to dowód, że jeszcze niedawno postrzegaliśmy zwierzęta zupeł-

nie inaczej niż obecnie, gdy mają niemal żadnych praw i gradowane są do roli surowca.

Zwłaszcza że respektowanie podmiotowości nie tylko wtedy szukano winnych. Zdarzało się, że zwierzęta uznawano za święte. Przykładowo św. Guinefort była psem, śczerzc biorąc - wyzlicą. Kult jej żywy w XIII wieku w Villars Lyonu. Guinefort uratowała mowę przed węzem, po co - gdy ranna pilnowała kózka - poniosła męczeńską śmierć z ręki strażnika, który pomylił w ocenie sytuacji. Sanktuarionizowanych psów przyznawali pielgrzymów także w średniowiecznej Walii. I nie dziwnym prostemu ludowi, skoro na święty Franciszek wygłaszał zania do ptactwa, a święty Antoni udzielił komunii swemu koni.

Kiedy to się zaczęło? Być może w V wieku, gdy święty Augustyn odrzucił wygląd jako kryterium człowieczeństwa, co pozwoliło jego intelektualnym spadkobiercom zaliczać do ludzi również „psiołowych” (najpewniej wiany) ze względu na ich



Setki zabawek! Mądra Chaser rozróżnia je wszystkie. Aportuje, słysząc nazwę, grupuje według funkcji i kształtów

ność do życia społecznego. W tradycji chrześcijańskiej zapewne tak - dominująca w niej wcześniej myśl Arystotelesa, który uważał człowieka za rozumne zwierzę, mimo zaznaczenia w ten sposób pokrewieństwa między nami a resztą fauny, wytyczała jednak jasną (wtedy) granicę. W innych wielkich tradycjach świata od zawsze żywe były echa pierwotnych religii zoomorficznych akcentujących, że człowieka od zwierząt nie dzieli nic lub niemal nic. W samym tylko pniu wierzeń

hinduistycznych wśród najważniejszych bóstw znajdują się Hanuman z głową małpy i Ganesia z głową słonia. Warto też pamiętać o bogu ptaku Garudzie.

Nauka zawiniła, nauka odszczekuje

Bijmy się w piersi. Choć nieszczęsne starotestamentowe rozgrzeszenie z wzięcia we władanie ziemi i wszelkiego stworzenia najpewniej nie było bez znaczenia, za brutalizację stosunku ludzi wobec zwierząt w dużej mierze

odpowiada tradycja naukowa. To Kartezjusz, uważając zwierzęta za bryły mięsa, dopuszczał się okrutnych publicznych wiwisekcji - potrafił wsadzić palec w bijące serce psa, by poczuć skurcze. Psy w ramach „pokazów naukowych” zanurzano żywcem we wrzółku i obdzierano ze skóry. I nie był to precedens, ale świt nowej postawy wobec zwierząt, odtąd traktowanych przedmiotowo. W rozdziale dzieła „O pochodzeniu człowieka” noszącym znaczący tytuł „Władze umysłu-

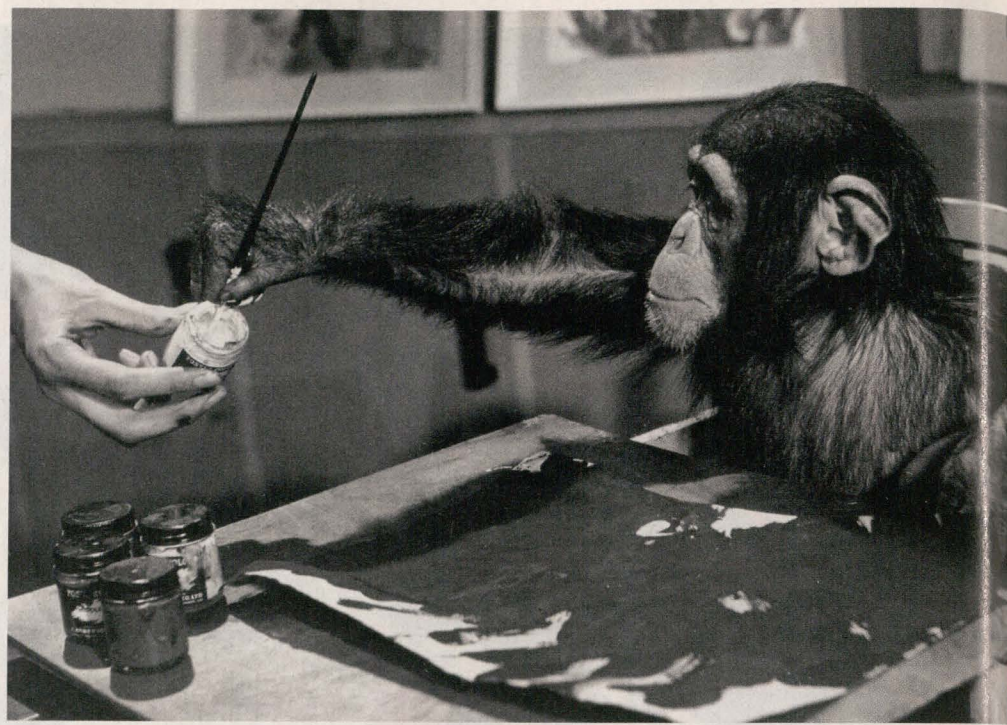
we człowieka a takie same władze zwierząt niższych” Karol Darwin pisał wstrząśnięty o przypadku psa, który konając w męczarniach, lizał jeszcze ręce osoby przeprowadzającej na nim wiwisekcję. Była to jedna z niewielu sytuacji, w której Darwin pozwolił sobie wyjść z butów opanowanego brytyjskiego naukowca i dał upust emocjom, sięgając nawet po wykrzyknik.

Tradycja przedmiotowego traktowania zwierząt wciąż dominuje, ale już widać, że powoli →

→ zaczyna się kruszyć. Dziś nauka dochodzi do diametralnie przeciwnych wniosków niż te, które motywowały Kartezjusza i jemu współczesnych. Imponujący dowód na złożoność zwierzęcej psychiki i potencjał inteligencji przedstawili niedawno naukowcy z Wofford College, psychologowie Alliston Reid i John Pilley. Po trzech latach trenowana przez nich cztery-pięć godzin dziennie Chaser, suczka rasy border collie, nauczyła się rozpoznawać nazwy ponad tysiąca przedmiotów oraz komend, także złożonych (na przykład: dotknij tego przedmiotu nosem, a tamtego łapą). Dziś w 9 przypadkach na 10, słysząc nazwę, wskazuje właściwy desygnat w grupie 20. Potrafi grupować przedmioty zgodnie z funkcją lub kształtem. Dotychczasowy psi rekordzista, inny border collie o imieniu Rico, znał około 200 słów. Słownik Chaser stawia ją pod względem zdolności intelektualnych na poziomie niemal trzyletniego ludzkiego dziecka.

Trudno byłoby z pewnością powiedzieć o Chaser, że ma ptasi mózdzek, chociaż... wróć! Przecież rekord należy właśnie do ptasiego mózdzku należącego do samczyka papuzki falistej o imieniu Puck. W 1995 roku znał on 1728 słów. Inna rzecz, że Chaser dała więcej dowodów na to, że rozumie ich znaczenie. Potrafi bez trudu rozpoznać w jednym komunikacie trzy związki rzeczowników z czasownikami.

Implikacje moralno-prawne ustaleń psychologów z Wofford są dziś trudne do oszacowania. Wyzysk zwierząt przez człowieka, nasze wobec nich okrucieństwo nie tylko razi, ale też nie ma żadnego logicznego uzasadnienia. Złożoność ich psychiki, może wręcz mentalna bliskość z człowiekiem, jest oczywista dla naukowców od lat. Jednak tak mocne przykłady jak fenomen Chaser, mając szansę przebić się do świadomości publicznej,



Szympanc Congo uwielbiał malować. Jeden z jego obrazów zachwycony Pablo Picasso powiesił w swojej pracowni.

mogą ją też zmienić. Zwłaszcza że casus mądrej suczki z Wofford daje dobry pretekst, by przypomnieć inne, nie mniej dające do myślenia przykłady sugerujące bliskość ludzi i zwierząt.

Myj warzywa przed jedzeniem

Zwana często najmądrzejszą małpą na świecie szympansica bonobo Kanzi, podopieczna naukowców z Atlanty, potrafi wpaść na to, by rozłupać kamień i jego ostrą krawędzią przetrzeć sznu-

Suczka rasy border collie, nauczyła się rozpoznawać nazwy ponad tysiąca przedmiotów i komend. Stawia ją to na poziomie prawie trzyletniego dziecka

rek, którym obwiązana jest paczka z łakociami. Ale przecież przykłady wykorzystywania przez małpy narzędzi, a nawet produkowania ich, jak to robi Kanzi, można mnożyć.

Człekokształtne z lasów Boscou na Gwinei radzą sobie z orzechami tak jak miejscowi ludzie.

Używają dwóch kamieni: jednego jako kowadła, drugim niczym młotem uderzają w położony na nim orzech. Szympancy z Wybrzeża Kości Słoniowej po otworzeniu w ten sposób orzecha pandany grzebią w nim gałązką, by dobrać się do niedostępnej części jądra. I nie jest to coś, z czym to zwierzę się rodzi - ono uczy się tego latami. Już Jane Goodall, pierwsza badaczka zwyczajów naczelnych, zaobserwowała, jak szympansy same, bez

przykładu człowieka potrafią wpaść na to, że można skorzystać z narzędzia i coś na tym zyskać - na przykład wygrzebać gałązką tłustego termita.

Zwierzęta tak jak ludzie potrafią być pomysłowe. Potrafią odkrywać nowe technologie i przekonały się o ich przydatności,

przekazywać wiedzę o nich z kolenia na pokolenie. I tak jak dzie miewają swoich wynalazców - wizjonerów, da Vincich, które widzą znacznie dalej niż stado.

Takim genialnym pionierem była młoda samica makaka zwana przez badaczy Imo, serwowana na japońskiej wyspie Koshima w latach 50. XX wieku. W 1953 roku Imo odkryła, że można myć bataty, którymi karmiła małpy miejscowy rolnik. Oplukane z piasku i ziemi smaczkowo zdecydowanie lepiej. Z czasem ten przyjął najpierw matki, a potem większość przetrwałych wicieli stada (opór nowej idei miały głównie stare, uważające się za liderów społeczności samicy, ale to przecież klasyczne zachowanie także wśród ludzi).

W 1956 roku Imo dokonała odkrycia donioślejszego odkrycia. Wtedy im ludzie na plaży, ale dla problemem było oddzielenie od piasku. Imo zauważyła,

po wrzuceniu ziaren do wody piasek opada pierwszy, co pozwala wybrać oddzielną ośmi pszenicę. I ten zwyczaj stał się tradycją grupy.

Czasami sceptycy dyskredytują zdolności intelektualne zwierząt, wskazując, że Prometeusz jakos do nich nie dotarł. To zarzut chybiony - małpy potrafią korzystać z ognia. Anne Russon, badaczka naczelnych, zaobserwowała orangutana, który wypuszczony na wolność rozpalał ogień, umieszczając żar koło suchego drewna, dmuchając nań i wachlując pokrywką od rondla. Potrafił nawet dolać nafty do paleniska.

Nie takiego - mógłby ktoś powiedzieć. Rzecz w tym, że nawet dziś nie wszyscy ludzie są do tego zdolni. Na przykład w Australii niektóre plemiona nadal nie rozpalają same ognia. Gdy wygaśnie, przynoszą go od sąsiadów.

Wiele zwierząt żyjących na wolności świadomie podąża do miejsc, gdzie na przykład po uderzeniu pioruna wybuchł pożar - szukają tam roślin i owadów jadalnych dopiero po ucieczce.

Szympanc walczy o dziecko

Posługiwanie się narzędziami, rewolucyjne wynalazki, podtrzymywanie tradycji - to niejedne elementy kultury zwierząt, które składają się też na kulturę człowieka. Listy nie zamyka nawet tworzenie sztuki - bo i to potrafią. Największą sławę zdobył szympans Congo, którego malarstwem zachwycał się Picasso (jednym z jego obrazów ozdobił nawet swą pracownię). Notabene obrazy Conga sprzedawały się całkiem nieźle na aukcjach. Nie tylko sztuki plastyczne, ale i muzyka znajdują wśród zwierząt swoich amatorów. Znane są liczne przypadki uczenia się przez naczelne zaśpiewów od biegłych w nuceniu pod nosem pobratymców.

Nawet tak wydawałoby się ludzka cecha jak próżność ma swe ko-

rzenie w mentalności zwierząt. Bo i one potrafią się stroić - widywano małpy paradujące dumnie ze zdechłym szczurem na głowie.

Zwierzęta potrafią być czułe na cudze cierpienie, wykazując się takimi pokładami empatii, jakich można by życzyć każdemu. Obserwowano, jak szympansy obejmowały przyjaźnie znanymi i nam gestem pocieszenia pokonanych w bójce kolegów. Największy łobuz w stadzie zapomniał o fochach, gdy badaczka udawała, że coś ją boli - zaniepokojony okazywał jej współczucie i wsparcie.

Szczególnie wzruszający, zapadający w pamięć jest przypadek szympansicy Lucy wychowywanej przez amerykańskiego psychologa Maurice'a Temerlina tak, jakby była ludzkim dzieckiem. Nauczona języka migowego na poziomie dwuletniego dziecka potrafiła na przykład, oglądając gazetę, wysłać proste komentarze typu: „To pies”, „To błękit”.

Oprowadzała gości po posiadłości, trzymając ich za rękę i nazywając mijane sprzęty czy rośliny. Gdy zdechł jej ulubiony kotek, długo była bardzo smutna. Gdy potem trafiła na jego zdjęcie, długo nań patrzyła, mówiąc językiem migowym: „Kot Lucy”. Później co prawda niejednokrotnie podważano ustalenia Temerlina, oskarżając go, że nie był obiektywny. Nie brak jednak przecież i innych przykładów dowodzących, jak głębokie i bardzo „ludzkie” w swej naturze emocje mogą cechować zwierzęta.

Jeszcze większy dramat niż Lucy przeżyła szympansica Washoe, której chore dziecko zmarło. Washoe nauczona języka migowego odtąd na widok opiekuna „wołała” znakami: „Przynieś dziecko, przynieś dziecko”. Stosunek do śmierci jest uważany za jedną z podstawowych wyróżników człowieczeństwa. Nawet tak intymna sfera emocji i refleksji nie jest jednak czymś właściwym jedynie kulturze naszego gatunku.

Zaobserwowano wśród małp rytuały czuwania po śmierci bliskich. Jak w przypadku córki przez całą noc stojącej w rozpaczy nad ciałem matki. Zwierzęta dzielą też nasze instynktowne lęki - choć raczej należałoby rzec, że to my dzielimy ich strach - i unikają miejsca, w którym zmarł ktoś z ich społeczności.

Oksfordzki zespół doktor Dory Biro przyglądał się też małpim matkom, które po śmierci dzieci bardzo długo nie potrafiły się z nimi rozstać. Nosiły ich zwłoki na plecach nawet tygodniami. Według badaczy były świadome, że dziecko odeszło, ale udając, iż wciąż żyje, zyskiwały czas na oswojenie się z tą tragedią.

Dziś jeszcze zamykamy oczy na nasze bliskie pokrewieństwo ze zwierzętami, podtrzymując kłamstwo, że różnimy się od nich zasadniczo, bo tak jest nam wygodniej. Nie ma jednak niczego takiego, co definiuje prymat czło-

wieka, a czego nie dostrzeżemy w zwierzętach. Po prostu pewne atuty i cechy rozwinęliśmy bardziej niż pozostała fauna. Trudno nam to dostrzec z antropocentrycznej perspektywy, ale przybysz z Marsa chyba nie widziałby między nami a resztą zwierząt większych różnic.

Zbliża się jednak czas, gdy zwierzęta znów zjawiają się w sądach. Tym razem by bronić swych praw. Stanie się tak prawdopodobnie wtedy, gdy pojawią się pierwsze tłumacze ich mowy na język zrozumiały dla człowieka. Mięso, które mówi, wyraża pragnienia i lęki, nie będzie już po prostu źródłem pożywienia i skór.

Na podstawie „Więc myślisz, że jesteś człowiekiem?” Felipe Fernández-Armesta, a także „Wyzwolenie zwierząt” Petera Singera, „O pochodzeniu człowieka” Karola Darwina, „Nature” i „New Scientist”.

REKLAMA

mobilny internet Orange Free z netbookiem HP Mini 210

1 zł ~~99 zł~~

hp gobi 2010 Qualcomm Incorporated. Wszelkie prawa zastrzeżone. Gobi i Qualcomm są zastrzeżonymi znakami towarowymi firmy Qualcomm Incorporated.

W Orange za drobne możesz cieszyć się wyjątkową jakością dźwięku oraz obrazu w nowym netbooku HP Mini 210 z bezprzewodowym dostępem do internetu oraz ekranem BrightView Infinity. Teraz dostępny w obniżonej cenie 1 zł w ofercie Orange Free.

Szczegóły na www.orange.pl
Cena netbooka dotyczy Orange Free 99 w umowie na 30 miesięcy.

orange

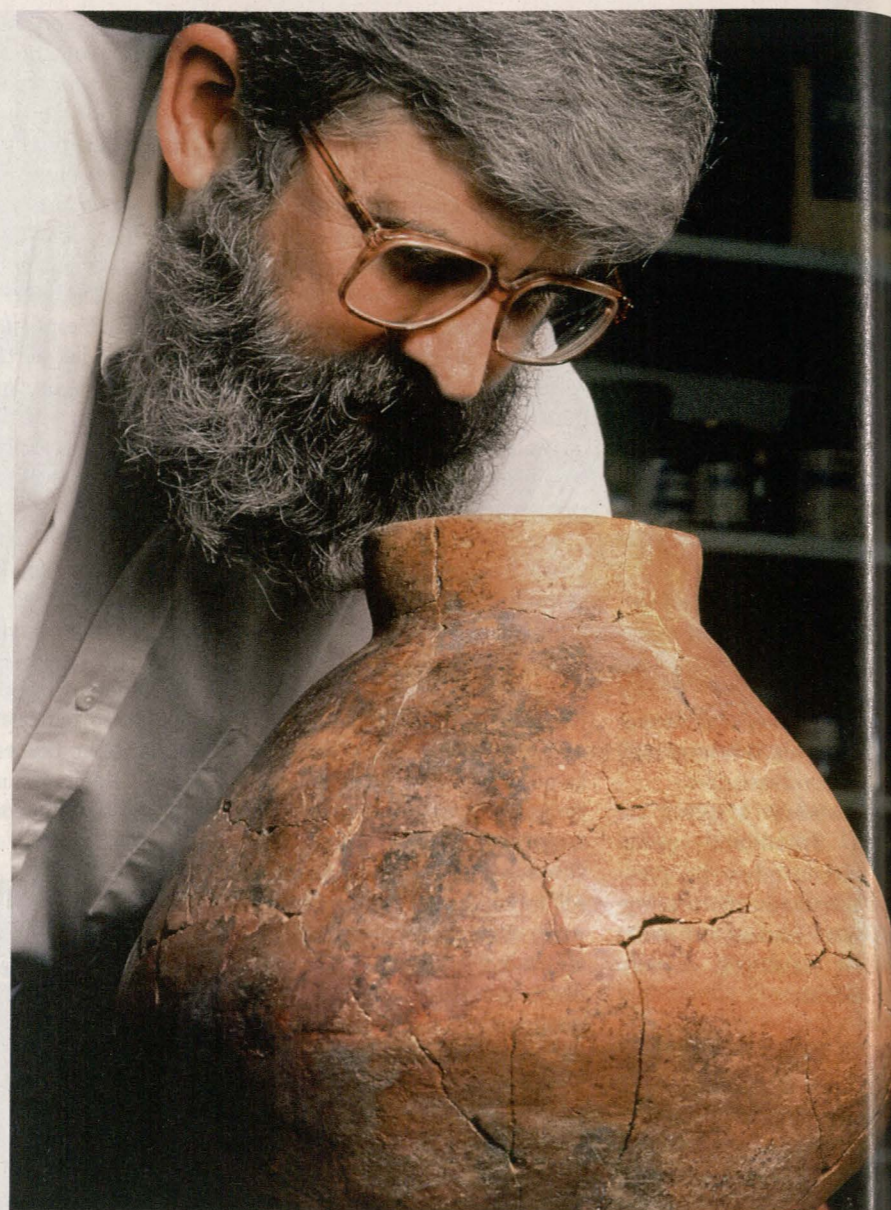
Wino stare jak świat

Wiadomo – wino im starsze, tym lepsze. Ale jak daleko w przeszłość sięga ta zasada? Co powiecie na trunek sprzed sześciu tysięcy lat?

PIOTR STANISŁAWSKI

Armenia wysunęła się w zeszłym tygodniu na prowadzenie, wyprzedzając nagle dotychczasowego lidera – Egipt. Konkurencja, w której oba państwa biorą udział, to produkcja wina. Ale nie współczesna, bo tu żaden z zawodników nie ma specjalnie czym się chwalić. Chodzi o wino historyczne, a właściwie prehistoryczne. Naukowcy pracujący pod egidą Towarzystwa National Geographic odkryli bowiem w armeńskiej jaskini niewielką, metrowej średnicy nieckę z elegancko ukształtowanym odpływem. Zapewne jeszcze kilkanaście lat temu jej zastosowanie pozostawałoby niejasne, a fachowcy przebabkiwaliby o religijnej funkcji tego miejsca – pewnie coś o składaniu ofiar czy rytualnych ablucjach. Tak działała archeologia w czasach, gdy najważniejsze były twarde dowody: kość, kamień i glina. Po opisaniu i sfotografowaniu znaleziska czyszczono je i zawożono w bezpieczne miejsce – do muzeum lub instytutu badawczego.

Dziś sprawy mają się inaczej, bo każdy szanujący się archeolog wie, że najważniejsze może być trudno dostrzegalne dla oczu. Od zimnego kamienia więcej może powiedzieć odrobina szarego pyłu leżącego



Doktor Patrick McGovern szuka inspiracji. Na dnie dzbanów znalazł ich już kilka – na przykład tę, która natchnęła go do opracowania przepisu na pyszne piwo Midas Touch

go gdzieś na dnie odkrytego naczynia – o ile tylko odpowiednio się ją zbada. To właśnie analiza takich resztek pokazała, że armeńska niecka to element neolitycznej winiarni, najstarszej z dotychczas znanych. Specjaliści znaleźli na dnie naczynia pestki i resztki wytluszczyn, które po badaniach genetycznych zidentyfikowano jako należące do winorośli właściwej – tego samego gatunku, który dziś uprawiany jest na niemal całym świecie. Wniosek był prosty – nieckę wypełniano owocami, które następnie udeptywano, a spływający sok zbierano do naczyń (te znalezione w pobliżu), poddawano fermentacji i... dalej już wiadomo. Wiek całej instalacji

ocenia się na sześć tysięcy lat – ma ponad 900 lat więcej niż dotąd najstarsze, pochodzące z Egiptu.

Zmiana podejścia archeologów do zabytków na dnie ich odkryć resztek jest zasługą między innymi Patricka McGoverna z University of Pennsylvania Museum of Archaeology and Anthropology. To bodaj najlepszy na świecie specjalista od bardzo starego alkoholu. W ciągu ostatnich 20 lat zdołał przekonać kolegów, że pół łyżeczki szarego pyłu dotąd niedbale wytrąsanego z odkrytych amfor czy dzbanów jest zazwyczaj znacznie cenniejsze niż samo naczynie. Doktor Patrick McGovern i jego współpracownicy, poddając

substancję licznym analizom z chromatografią cieczową i spektrometrią masową na czele. Efekt to określenie jej dokładnego składu chemicznego, a więc precyzyjna wiedza, czym była ona przed wyschnięciem.

A często była winem, piwem, miodem pitnym lub dziwną mieszanką ich wszystkich. Właśnie coś takiego McGovern odkrył w grobowcu króla Midasa, jak zwie się datowane na 740 rok przed naszą erą królewskie miejsce pochówku znajdujące się w ruinach miasta Gordion (tego od węzła). Odkopano je w 1957 roku, a wydobyte stamtąd naczynia spędziły 40 lat starannie zapakowane w pa-



Doskonały przykład współpracy nauki z biznesem – receptury wykopywane na archeologicznych stanowiskach przez badacza wprowadza w życie właściciel browaru Sam Calagione. Zresztą świetnie na tym wychodząc, bo jego trunki stały się sławne na całym świecie

piwowe torby, poustawiane na półkach dwa piętra nad pracownią Patricka McGoverna. Dopiero jeden z jego studentów, oglądając te staroście, odkrył prawdziwy skarb – odrobinę pyłu na dnie torby. Zaniósł go do doktora Pata, a ten poddał pył analizie, z której wypłynęły dość dziwne wnioski.

Złoty Dotyk Midasa

W naczyniu znaleziono ślady miodu pitnego, białego wina i piwa. Wymieszanych. Brzmi dość ohydnie, nieprawdą? Jednak najwyraźniej na dworze Midasa był to prawdziwie królewski napój. Patricka McGoverna mocno nurtowało to zagadnienie, bo kilka lat później

podjął współpracę z Samem Calagionem, właścicielem małego lokalnego browaru Dogfish Head w Milton w stanie Delaware. Ten nie bał się wyzwania i postanowił odtworzyć starożytny przepis. Kłopot w tym, że chromatografie i spektrometrie nie podadzą proporcji składników ani nie określą procesu tworzenia trunku. Już na wstępie okazało się też, że aby napój nadawał się do picia, trzeba mu nadać goryczkę, która zniweluje morderczą słodycz miodu i winogron. Niestety, w tym czasie w Azji Mniejszej nie znano chmielu. W jego zastępstwie użyto więc szafranu, co okazało się strzałem w dziesiątkę.

Kolejne eksperymenty doprowadziły do wyprodukowania napoju, który nie tylko wiernie odpowiadał temu, czego resztki znaleziono u Midasa, ale też okazał się całkiem smaczny. Tak smaczny, że Midas Touch (Dotyk Midasa), jak nazwano trunk, zdobył najwięcej nagród i wyróżnień ze wszystkich produktów browaru Dogfish Head. Zachęcony wynikami tandem naukowiec-browarnik wypuścił na rynek między innymi jeszcze Chateau Jiahu – mocne piwo oparte na tym, co doktor Pat wyskrobał z dna naczynia wykopanego w chińskiej neolitycznej osadzie Jiahu.

Tu do produkcji wykorzystano ryż, owoce głogu, miód i kwiaty chryzantemy.

Jest jednak trunek, na którego masową produkcję Dogfish Head się nie zdecydowało. To południowoamerykańska chicha. Ten produkowany do dziś na różne sposoby napój powstaje z kukurydzy. By przyspieszyć fermentację, zawartą w niej skrobię dobrze jest przekształcić w prostszy cukier. W przypadku klasycznego piwa robionego z jęczmienia ciężkiemu skrobi zajmują się enzymy zawarte w słodzie. Żeby rozłożyć skrobię kukurydzianą, stosuje się inny sposób – zucie. Ludzka ślina zawiera amylazę, która świetnie radzi sobie z tym zadaniem. Tak więc naukowcy i browar-

nicy w ramach eksperymentu spędzili sporo czasu, żując ziarna kukurydzy i wypluwając je do wspólnego naczynia. Ponoć chicha udała się wyśmienicie, a doktor Pat tłumaczył, że nie ma się czego brzydzić, bo alkohol i tak zabija wszystkie bakterie. Jednak napoju do stałej produkcji nie skierowano, tłumacząc się niedostatkiem szczęk do pracy.

Takie podejście do alkoholowej twórczości budzi sprzeciw specjalistów, którzy wzbraniają się przed nazywaniem podobnych mieszanek piwem, powołując się na Reinheitsgebot, czyli Bawarskie Prawo Czystości. To ogłoszona w 1516 roku zasada, wedle której piwo można produkować tylko z trzech składników – wody, słoju jęczmiennego i chmielu. Ta lokalna reguła rozpowszechniła się tak, że dziś ponad 95 procent produkcji piwa prowadzone jest zgodnie z nią. Produkty niezgodne z Reinheitsgebot uznawane są często za gorsze i mniej szlachetne. Tymczasem Sam Calagione podkreśla, że w obliczu przepisów sprzed blisko trzech tysięcy lat bawarskie prawo to zaledwie nowomodna fanaberia.

Piwo lepsze od chleba

No dobrze, ale czy poza radosnym opilstwem takie badania przynoszą wymierne korzyści? Zdaniem Patricka McGoverna pokazują, że piwo i wino odegrały w dziejach cywilizacji większą rolę niż nawet wynalezienie piecyzwa. Napój taki jak piwo ma wiele zalet. Po pierwsze, zawarty w nim alkohol dezynfekuje wodę i sprawia, że napój przez długi czas się nie psuje. Po drugie, jest doskonałym źródłem ważnej w diecie lizyny i witamin z grupy B, które poprawiają działanie układu nerwowego i odpornościowego. Po trzecie, przetworzona w produkcji skrobia zmienia się w proste do przyswojenia cukry. Co ciekawe, ta sama ilość ziarna ugotowana do postaci kaszy jest znacznie mniej wartościowa dla organizmu niż przetworzona w piwo. A więc pijąca piwo społeczność jest po prostu lepiej odżywiona niż ta, która tego napoju nie zna. Trudno do tego wniosku dojść bez naukowych badań, ale tu ujawnia się ostatnia, najważniejsza cecha piwa – niemal wszyscy je lubią, a więc nikogo nie trzeba przekonywać do picia. Odmienne stany świadomości robią swoje.

A co z armeńskim winem? Tu wartości odżywcze nie są wielkie, za to wpływ na rozum – znaczący. W pobliżu winiarni sprzed sześciu tysięcy lat odkryto liczne groby, a badacze wywnioskowali, że służyła ona produkcji na potrzeby ceremonii pogrzebowych. A więc alkohol od tysięcy lat służy temu samemu – zaspokojeniu zarówno ciała, jak i ducha. ●



iGrill – właściwie to nie wiemy, jak do tej pory dawaliśmy sobie bez tego radę. W końcu kuchenny termometr do kontrolowania temperatury pieczenia łączący się przez Bluetooth z iPhone'em to absolutnie podstawowe wyposażenie kuchni. Nieprawdą? Zwłaszcza za jedyne sto dolarów.

Święto zabawek

No to już wiemy, że jak co roku nie wiemy, co będzie najważniejsze w branży elektronicznej. Ot, normalna refleksja po kolejnym CES

Co roku na największych targach elektroniki użytkowej w Las Vegas ogromni, średni i całkiem malutki producenci dzielnie próbują przekonać wszystkich, że najważniejsze są właśnie ich zabawki. A specjaliści branży elektronicznej wróżą z CES, próbując przewidzieć, co tak naprawdę będzie się sprzedawać w kolejnym roku. Efekty tego bywają różne – na przykład w zeszłym roku tablety wcale na CES nie dominowały, jednak już kilka tygodni później opanowały zbiorową wyobraźnię za sprawą iPada.

W tym roku trwała walka o trzeci wymiar. Producenci już się zorientowali, że klienci wcale nie zamierzają masowo wykupywać telewizorów 3D, do których oglądania potrzebne są szpetne okulary. Dlatego wszyscy stają na głowie, by jak najszybciej wypuścić sensowny ekran pokazujący trzeci wymiar bez dodatkowych utrudnień.

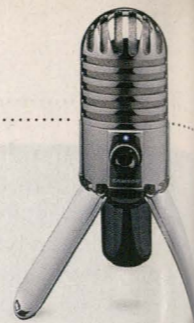
Czy to jest naprawdę najważniejsze? Można wątpić – miliony ludzi wydających miliardy dolarów na zupełnie nowy, jeszcze fajniejszy telewizor to raczej marzenia speców od marketingu. My w każdym razie przedstawiamy bardziej realistyczny miks produktów – mieszankę prawdziwych skarbów i kompletnie bezsensownych, acz uroczych gadżetów. Wszystkiego po trochu – jak to w życiu.



Motorola Xoom – dlaczego wybraliśmy akurat ten tablet? Ano dlatego, że ma na pokładzie Androida 3.0 – system, który ma zagrozić w tabletowej branży produkt Apple. No i jest jedna porównawcza cecha – Xoom ma wbudowany barometr!



Razer Switchblade to nie wiadomo co, bo takiego urządzenia jeszcze nie było. Ma 48 wyświetlaczy: jeden duży i 47 małych – na klawiszach. Klawiatura może więc dostosowywać się do naszych potrzeb. A główne zastosowanie maszyny to gry.



Samson USB – to z kolei klasyczny przedmiot grupy „ładne, ale po co?”. Posiada mikrofonowy port do komputera nadano wygląd rekwizytu z film science fiction z lat 60.



Samsung 9 to już nie żarty. Koreańczycy spięli się i zrobili komputer, który na poważnie konkuruje z MacBookiem Air wagą i rozmiarem oraz (uwaga!) estetyką. Niestety, nie ceną – tu mamy podobny pułap. Wysoki jak cholera – 1600 dolarów.



Motorola Atrix 4G to naprawdę wielka niewiadoma. Może stać się rewolucją, może pozostać gadżetem. Pomysł to stacje dokujące do telefonu, które zamieniają go w pełnoprawny netbook lub mały biurkowy komputer. Oba napędzane „wnętrzościami” telefonu.

TEŻ PYTANIE



Zadaj pytanie, a my na nie odpowiemy. Jeśli coś cię nurtuje, a nie wiesz, kogo zapytać, pisz na adres nauka@przekroj.pl. Za najciekawsze pytania przyznajemy nagrody

URSZULA DĄBROWSKA

1. Dlaczego Pekin w języku polskim to nie Bejdzing?

Ponieważ w przypadku tego słowa nadal stosujemy starą transkrypcję z chińskiego. Nowa, zwana pinyin, obowiązująca w Chińskiej Republice Ludowej od 1979 roku. W Polsce została zaakceptowana (przynajmniej oficjalnie) dwa lata później. Powoli staje się powszechna, a w publikacjach anglojęzycznych wręcz obowiązkowa. W rodzimych tekstach możemy też znaleźć nowe zapisy, na przykład Mao Zedong wypiera lepiej znaną formę Mao Tse-tung. Nazwa stolicy Chin jest w naszej pamięci dużo bardziej utrwalona, dlatego trudno ją zmienić. Przez wieki podobnie brzmiała w wielu językach europejskich: Pekin po polsku, hiszpańsku i francusku; Peking – w Angli i Niemczech. Bejdzing jest zdecydowanie bliższy oryginałowi i powoli przebija się do świadomości konserwatywnych i niechętnych zmianom Europejczyków, przede wszystkim za sprawą prasy amerykańskiej, która dziś używa głównie nowej formy.



2. Czym żywi się pleśń żyjąca na ścianie, suficie lub w narożniku?

Grzyb żywi się jak zwierzę – potrzebuje substancji organicznych. Nie ma jednak wysokich wymagań. Wystarczy mu papier albo drewno, czyli źródło celulozy. Rozkłada ją na cukry proste dzięki specjalnemu enzymowi. Jeśli ściana jest murowana, pleśń zadawała się tym, co fruwa w powietrzu. Mogą to być pyłki roślin, drobinki martwych owadów, a nawet bakterie. To może nie bać się, ale dla grzyba to dosyć, by rosnąć i się rozmnażać. Lepsze warunki zapewniamy mu meble z obiciem – pełne odżywczo naskórka, włosów i roztocza. Jedyne, bez czego grzyb nie jest w stanie się rozwinąć, to woda. Wilgoć mu sprzyja.



4. Dlaczego wargi są czerwone?

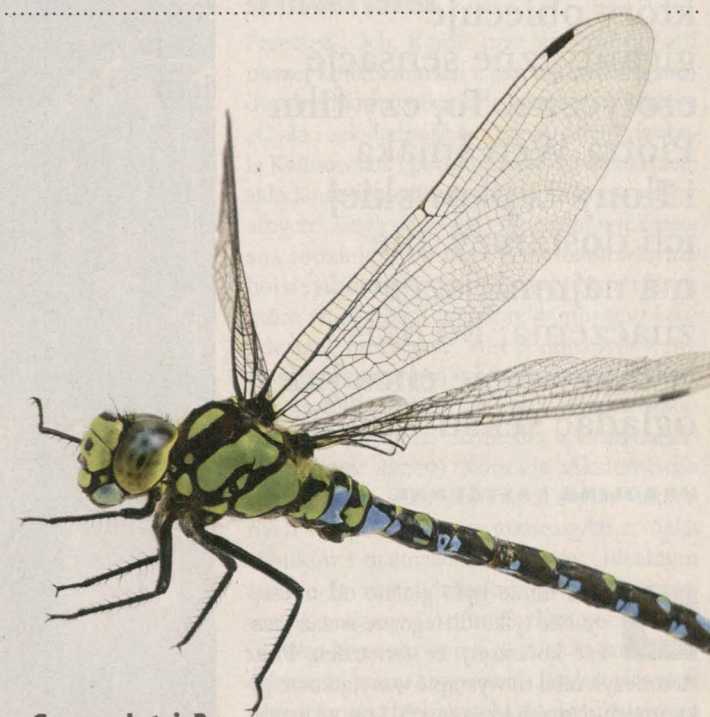
Bo są bardzo ukrwione. Po co? By sprawnie pracowały. A zadań mają bez liku: ssanie, jedzenie, picie, mówienie, wyrażanie emocji, całowanie. Są też ważnym narzędziem zmysłu dotyku. Dlatego warstwa skóry jest na nich bardzo cienka. Z łatwością prześwitują przez nią naczynia krwionośne: żyły, tętnice i naczynia włosowate. W nich płynie krew, która intensywną czerwoną barwę zawdzięcza hemoglobinie, białku transportującemu tlen. Efekt czerwonych warg jest mniej widoczny u osób

z ciemną karnacją, bo w ich skórze znajduje się więcej pigmentu, który maskuje kolor krwi. Czerwone wargi to wyjątkowa cecha ludzi – nawet najbliższe nam naczelnie jej nie posiadają. U kobiet to wręcz oznaka płodności. Duża ilość estrogenu – żeńskiego hormonu – w czasie wzrostu i dojrzewania pogłębia intensywny, karminowy odcień ust (testosteron działa wręcz przeciwnie). Dlatego czerwone wargi są atrakcyjne dla mężczyzny właściwie z każdego kręgu kulturowego.

3. Jak śnią ludzie niewidomi od urodzenia?

Tak jak żyją, czyli odbierając wrażenia z pozostałych zmysłów: słuchu, zapachu, dotyku, a nawet smaku. Widzącym ludziom takie sny wydają się niemożliwe. To, co zapamiętujemy z nocnych marzeń, to przecież właśnie obrazy – ludzi, krajobrazów, pomieszczeń i przedmiotów. W najlepszym wypadku dochodzą do tego rozmowy i inne dźwięki. Ale już wysniony tort nigdy nie smakuje jak prawdziwy. A mógłby, gdyby nasze wspomnienia smaku były wystarczająco silne. Niestety, wzrok jest zmysłem dominującym u ludzi i wrażenia

nim wywołane przystają wszystkie inne. Niewidomi siłą rzeczy poznają i zapamiętują świat inaczej – dzięki tym zmysłom, które u widzących są przytłumione. Dlatego spotkanie z brzoziakiem jest odbierane przez brzoziakię jego głosu, zapach, ciepły dotyk dłoni na ramieniu i wszystkie emocje związane z tym wydarzeniem. Tak dzieje się zarówno na jawie, jak i we śnie.



5. Czy owady tyją?

Nie. Dorosłe osobniki (zwane przez entomologów imago) w skrajnych przypadkach w ogóle nie jedzą. Gąsienice czy pędraki to nic innego jak ruchome przewody pokarmowe. Jeśli mają wystarczająco dużo pożywienia (a nawet jego nadmiar), po prostu szybciej rosną i przeobrażają się w dorosłego owada. I tak ich życie się skraca. Pod tym względem za dużo pokarmu działa na insekty podobnie jak na ludzi.

ju pokarm jest niezbędny do wzrostu. Jako larwy owady odżywiają się bez umiaru – im więcej, tym lepiej. Gąsienice czy pędraki to nic innego jak ruchome przewody pokarmowe. Jeśli mają wystarczająco dużo pożywienia (a nawet jego nadmiar), po prostu szybciej rosną i przeobrażają się w dorosłego owada. I tak ich życie się skraca. Pod tym względem za dużo pokarmu działa na insekty podobnie jak na ludzi.

Nasze nagrody:



Mary Roach „Bzyk. Pasjonujące zespolenie nauki i seksu” oraz „Duch. Nauka na tropie życia pozagrobowego” – wydawnictwo Znak; Gary Marcus „Prowizorka w mózgu” i Richard E. Nisbett „Geografia myślenia” – wydawnictwo Smak Słowa



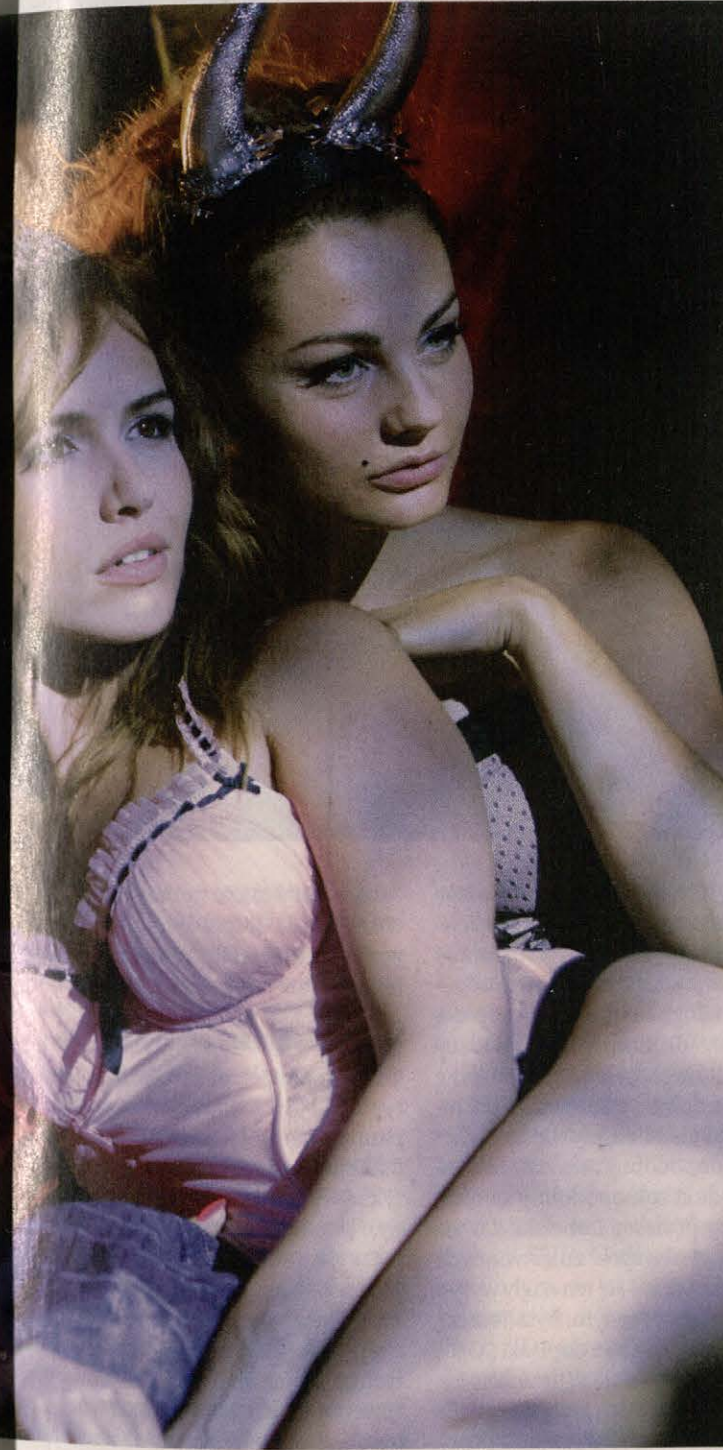
Polskie produkty seksopodobne

Na ekrany wchodzi właśnie „Och, Karol 2” – kolejny polski film, który obiecuje gigantyczne sensacje erotyczne. To, czy film Piotra Weresniaka i Ilony Łepkowskiej ich dostarczy, nie ma najmniejszego znaczenia, bo dziś widzowie nie chcą już oglądać seksu w kinie

KAROLINA PASTERNAK

O tym filmie było głośno od miesięcy. Nie tylko dlatego, że wciąż jeszcze kojarzony ze świętością Piotr Adamczyk miał tu wystąpić w wyjątkowo pikantnych scenach łóżkowych. I nie ze względu na Midasa polskiego rynku scenariuszy, czyli Ilonę Łepkowską w roli autorki filmowej historii. Nawet nie przez to (choć to akurat naprawdę wydarzenie, a kto wie, czy nie początek nowego trendu?), że „Och, Karol 2” jest bodaj pierwszym polskim remakiem. Nowa, uwspółcześniona wersja hitu „Och, Karol” Romana Załuskiego z 1985 roku budzi emocje głównie z powodu pierwowzoru.

Film Załuskiego, nomen omen także według scenariusza Łepkowskiej, to przecież jedno z największych kuriozów kina lat 80. W centrum zdarzeń tytułowy Karol – młody architekt o bujnym pozamałżeńskim życiu erotycznym. Jego zdesperowane kochanki postanawiają zamieszkać w jednym domu z jego żoną tylko po to, by móc na przemian dzielić z nim łóżko. Rzecz zrealizowana bez humoru i parodystycznego klimatu „Seksmisji” dziś ra-



czej straszny, niż śmieszny. I jeśli chcesz znaleźć choć jeden racjonalny argument stojący właśnie za tym tytułem, byłby nim gigantyczny głód seksu na polskim ekranie.

Seksowna ściema

Przecież „Och, Karol” przeszedł do historii naszej kinematografii z jednego tylko powodu – był bardzo pikantny. Jak pisze w książce „Ciało i seksualność w kinie polskim” Izabela Kalinowska, „podporządkowywał narrację składance wizualnych atrakcji cielesno-seksualnych”. Czyli oferował coś, czego współczesna rodzima produkcja kinowo-telewizyjna boi się jak diabeł święconej wody. Nawet filmy, które w ostatnich latach reklamowano jako odważne erotycznie, więcej obiecywały, niż dawały, obyczajową swobodę oferując głównie na billboardach. W nazywanej w kampanii promocyjnej „komedią ekstremalną” „Zamianie” (2009) Konrada Aksinowicza „ekstremalny seks” ograniczał się do namiętych wzdychań oraz wyrzucanych z łóżka staników i majteczek. Z kolei w „Idealnym facecie dla mojej dziewczyny” (2009) Tomasa Koneckiego i Andrzeja Saramonowicza, filmie o kręceniu porno (!), nie ma ani jednej odważnej sceny erotycznej. *Product placement* pewnej marki bielizny okazał się tu zdecydowanie ważniejszy niż łamanie tabu. Widzowie, którzy przyszli na „Idealnego faceta...” zwabieni nagą Magdaleną Boczarą na plakacie, w najodważniejszej w filmie sekwencji w wannie zobaczyli ją... po uszy zanurzoną w pianie. Podobnie było z fragmentami „Rozmów nocą”, które miały pokazać Marcina Dorocińskiego i Magdalenę Rózczkę w najmocniejszej w nowym polskim kinie scenie erotycznej. Tak miało być, a jak się skończyło? On podchodzi, strąca jej ramiączko sukienki, ona się odwraca, następuje cięcie. Rano budzą się nakryci koldrą po szyję.

Piotr Adamczyk czyli człowiek, który został Karolem, w jednej z wielu „pikantnych” scen w „Och, Karol 2”. „Pikanterii” dostarczyły (od lewej) Katarzyna Zielińska, Marta Żmuda-Trzebiatowska i Małgorzata Socha

W tym sezonie sytuacja się powtarza. Miesiące po premierze „Och, Karol 2” 25 lutego na ekranie wejdzie „Wojna żeńsko-męska”, adaptacja książki psycholożki, feministki i dziennikarki Hanny Samson nazywanej „pierwszą kobiecą powieścią pornograficzną w Polsce”. →

→ „To film dla bezpruderyjnego widza, otwartego na nowe doznania, także damsko-męskie” – czytamy w materiałach promocyjnych. – Myśm się bardzo starali, żeby robiąc film o seksie, oprzeć się jednak na kontrapunkcie. Zrobić film dla szerokiej widowni, seksu nie pokazując. Bardzo trudno jest pokazać stosunek na ekranie po prostu ładnie. Ja postawiłem więc na metaforę – tłumaczy w rozmowie z „Przekrojem” reżyser „Wojny...” Łukasz Palkowski, doceniony wcześniej za debiutancki „Rezerwat”.

Film o seksie bez seksu, z golizną na plakacie i koldrami na ekranie – czemu polskie kino jest tak pruderyjne? I czy kiedyś było inne?

Gierki po Gierku

„Cała jestem w maku” zmysłowo szeptane przez wijącą się w spazmach na stole Grażynę Szapołowską w „Magnacie”(1986), jęki Kaliny Jędrusik, gdy Daniel Olbrychski gwałtownie kocha się z nią w „Ziemi obiecanej”(1974), golusieńki Adam Ferency zasiewający swoim nasieniem ziemię w „Pogrzebie kartofla”(1990) – takich scen, które pojawiały się na dużym ekranie przed transformacją, dziś już raczej w kinie nie zobaczymy. Tylko czy rzeczywiście było ich dużo więcej? Przychodzi mi na myśl jeszcze dosłownie kilka: ze Stanisławą Celińską w „Krajobrazie po bitwie” Wajdy, Grażyną Szapołowską w „Bez końca” i „Krótkim filmie o miłości” Kieślowskiego, z Bogusławą Pawelec w „Przypadku” tego samego reżysera, z wczesnych filmów Agnieszki Holland.

– Nasze kino odważne w temacie seksu nigdy nie było – mówi „Przekroju” profesor Tadeusz Lubelski, jeden z najwybitniejszych filmoznawców, redaktor między innymi „Historii kina polskiego” i „Encyklopedii kina”. – Od końcówki lat 60. przez lata 70. nasi filmowcy usiłowali oczywiście na swój sposób nawiązywać do przemian obyczajowych idących z Zachodu, poszerzać granice. I te zmiany można było z przyjemnością obserwować, choćby w „Trzeba zabić tę miłość” Janusza Morgensterna.

Zdaniem profesora Lubelskiego to, co stało się w kinie w latach 80., osiągnięcia poprzedniej dekady zupełnie zaprzepaściło. Nagle seksu było, przynajmniej pozornie, bardzo dużo („Och, Karol!”, „Thais” Ryszarda Bera, „Sztuka kochania” Jacka Bromskiego, „Chce mi się wyć” Jacka Skalskiego, „Luk Erosa” Jerzego Domaradzkiego), tyle że swoboda w kręceniu tych filmów nie była przez władze dana bezinteresownie: cieszące się olbrzymią popularnością wśród wygłodniałej seksu (jak mogło być inaczej w szarej, ponurej Polsce Lu-



Pociąg Kaliny Jędrusik do Daniela Olbrychskiego w „Ziemi obiecanej”. Na DVD tego nie zobaczycie, gdyż Andrzej Wajda wyciął tę słynną scenę ze skróconej wersji filmu



Fot. Puffin/Est News



Fot. SPT



Fot. ITI

Po seansie „Przez dotyk” z Grażyną Szapołowską (po lewej) na ochłonięcie może się przydać zimny prysznic. Po prawej: buszujący w zbożu Mateusz Kościukiewicz i Olga Frycz we „Wszystko, co kocham”



Fot. Tim Film Studio

Jedyny, przepraszam, jedyne boa Marcina Dorocińskiego, jakie oglądamy w „Idealnym facecie dla mojej dziewczyny”; po lewej: Różzka czaruję Dorocińskiego w „Rozmowach nocą”

dowej) widowni hity miały odwracać uwagę od wydarzeń politycznych. Stanisław Kuszewski, krytyk popierający w swoich tekstach linię PZPR, wskazywał je jako antidotum na upolitycznienie kinematografii w okresie „sierpniowo-grudniowym”. – Te filmy, w typie „Widziałem” Marka Nowickiego, były w dużej mierze obrzydliwe, nieudolnie wzorowane na romansach zachodnich. Mieliśmy więc nie tylko produkt czekoladopodobny zamiast czekolady, ale także produkt seksopodobny zamiast seksu – tłumaczy profesor Lubelski. Co zabawne, jedną z pierwszych zmartwionych o to, czym może skończyć się ten nagły wysyp kina o zabarwieniu erotycznym, była (jeszcze zanim została scenarzystką i napisała „Och, Karola”)... Ilona Lępkowska. W latach 1983–1984 jeszcze jako publicystka przeprowadziła na ten temat cykl wywiadów dla „Filmu”.

Czy można zatem się dziwić, że po 1989 erotyka – nie dość, że niemile widziana przez wpływowy Kościół, to jeszcze kojarzona z komunizmem – zniknęła z polskiego filmu?

Bombonierka czy pralinka?

O wiele bardziej zaskakuje to, że nasza pruderyjność dziś już zupełnie nie odstaje od dominujących w światowym kinie. Szokujące badania opublikowane przez dwójkę amerykańskich naukowców Anemone Cerridwen i Deana Keitha Simontona w listopadzie 2009 roku niejednego producenta filmowego musiały przyprawić o poważny ból głowy Cerridwen i Simonton przeanalizowali dane z box office’u, recenzje i informacje o zdobytych nagrodach na próbie 914 filmów wyprodukowanych do kin między 2001 a 2005 roku. Aby dojść do rewelacyjnych wniosków s-

– wbrew powszechnemu przekonaniu – nie sprzedaje filmów. Wystarczy spojrzeć na premiery z kilkunastu miesięcy po opublikowaniu tego raportu, by znaleźć liczne dowody na słuszność tego twierdzenia.

„Zabójcze ciało”, „Chloé” (już gościły w polskich kinach), „Miłość i inne używki” (polska premiera 11 lutego) – te szeroko reklamowane i rzeczywiście emanujące seksem filmy zarówno z popularnymi (Amanda Seyfried, Anne Hathaway, Jake Gyllenhaal), jak i wybitnymi (Julianne Moore) aktorami, sprzedawały się w Stanach Zjednoczonych, i poza nimi bardzo słabo. „Zabójcze ciało” i „Miłość i inne używki” ledwo się zwróciły, a „Chloé”, która kosztowała 15 milionów dolarów, zarobiła w USA zaledwie 3 miliony.

Z dwóch przyczyn. Pomijając oczywiste ograniczenia wiekowe, choć akurat żaden

z wymienionych filmów nie miał najsurowszego w USA oznaczenia N-17, które rygorystycznie zabrania wchodzenia na seans niepełnoletnim, co wielu filmowców traktuje niczym nieformalny wyrok. Po pierwsze, zadziałała tu jednak reguła, która od dawien dawna rządziła dystrybucją tak zwanych filmów z momentami, a potwierdzają ją przypadki zarówno „Nagiego instynktu”, jak i „Oczu szeroko zamkniętych” czy „Niemoralnej propozycji”. Takie produkcje zawsze zyskiwały w kolejnych tygodniach wyświetlania i na etapie dystrybucji DVD. Czyli wtedy, gdy rozeszła się fama o tym, co faktycznie jest w nich do zobaczenia, kto się rozbiera, jak mocne są „momenty”. Dziś film, który nie zgarnie świetnych wyników w pierwszy weekend wyświetlania, nie ma szans na dalsze kinowe życie. Słowem: marketing szeptany nie zdąży zadziałać. A jak

się miewa rynek DVD w erze streamingu i Internetu, możecie ocenić sami, odpowiadając sobie na pytanie, kiedy ostatnio byliście wypożyczalni płyt, a kiedy ściągnęliście film z sieci.

Żeby zrozumieć drugą przyczynę spadku popularności filmów o zabarwieniu erotycznym, wystarczy wpisać w wyszukiwarce internetowej obok siebie dwa słowa klucze: „Anne Hathaway” i „Brokeback Mountain”. Jednym z pierwszych wyników będzie wideo z fragmentem kontrowersyjnego filmu o kowbojach homoseksualistach. Ale nie scena z Jakiem Gyllenhaalem i Heathem Ledgerem, których było najwięcej, lecz ta, w której Jack (Gyllenhaal) kocha się na tylnym siedzeniu samochodu z Lureen graną przez Anne Hathaway. A mimo to pikantne erotyczne spotkanie tych dwóch gwiazd w „Miłości” →

→ i innych używkach” reklamowano jako główny punkt programu w filmie. Kto pójdzie na to do kina, skoro w sieci może dostać to samo za darmo? A na dodatek różnica między oglądaniem tych scen w miejscu publicznym, czyli w kinie, a na prywatnym laptopie jest taka jak między częstowaniem się pralinką w liczonym towarzystwie a palaszowaniem bombonierki w domowym zaciszu.

Wyuzdana doktor Zosia

Czemu więc seks wciąż tak ochoczo wykorzystuje się u nas do promocji filmów, skoro badania dowodzą, że tak zwany przeciętny widz wcale nie chce go oglądać w kinie? Bo seks z plakatów nie ma zupełnie nic wspólnego ze stosunkiem seksualnym. – Seks odziera się dziś z fizyczności – tłumaczy specjalizujący się w tematyce seksu w popkulturze doktor Radosław Muniak z warszawskiej Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej, redaktor kwartalnika „Literacje”. – Seks, który nierozwalnie związany był dotychczas z ciałem, dziś już nie musi być cielesny. Pisał o tym Jean Baudrillard w „O uwodzeniu”. Proszę zwrócić uwagę, że w reklamach dezodorantów albo ubrań coraz częściej seksem emanują nie kobiety, lecz mężczyźni. Co więcej, z badań wynika, że głównymi odbiorcami takich reklam nie są kobiety i geje, lecz mężczyźni heteroseksualni. Rozneglizowany mężczyzna nie jest więc kimś, z kim chciałoby się pójść do łóżka. Ma po prostu cechę, której wszyscy pożądamy: jest seksowny. Seks jest dziś mile widzianą metką, jak Dolce Gabbana – dodaje doktor Muniak.

Zwiastun „Och, Karol 2”, w którym Małgorzata Socha, Anna Mucha, Katarzyna Glinka i Małgorzata Foremniak zmysłowo wyginają się przy rurze, zapowiada się obiecująco. – Ale czy pani naprawdę wierzy, że widzowie chcieliby zobaczyć swoją ukochaną Zosię z „Na dobre i na złe” [Małgorzatę Foremniak – przyp. red.] w scenie, która idzie o krok dalej? Przecież chodzi o znak, namiastkę wyuzdania, nikt więcej nie chce widzieć – tłumaczy doktor Muniak.

Ale w polskim kinie nie ma seksu także z innego powodu. – Języka erotycznego, którym moglibyśmy swobodnie posługiwać się w rozmowach o seksie, nie wytworzyła w Polsce nawet literatura. Albo używa się w niej dziwnych eufemizmów: „muszelka”, „ptaszek”, albo wulgaryzmów. Skoro mamy trudność z pisaniem o doznaniach erotycznych, to jak mamy je pokazywać? – pyta Muniak.

Tymczasem podobnych kłopotów nie ma polski teatr, o czym przekonują spektakle

Krzysztofa Warlikowskiego („Oczyszczeni”), Mai Kleczewskiej („Płatonow”, „Marat/Sade”), Krystiana Lupy („Persona. Marilyn”). Niektórzy twierdzą nawet, że jest wręcz zbyt rozerotyżowany. A kino na świecie? Dzieła Bruna Dumonta („Ludzkość”, „Dwadzieścia dziewięć palm”), Michaela Winterbottoma („Więzy miłości”, „9 Songs”), Patrice’a Chéreau („Intymność”) czy Gaspara Noé (o którym więcej piszemy na s. 46) to dowody, że seks nie jako znak ani modna metka, ale po prostu moment zbliżenia dwojga ludzi wciąż ma swoje miejsce w niezależnym kinie, a wręcz jest jego nieodłącznym tematem. Czemu więc nie ma go w polskim kinie artystycznym? Czy po prostu dlatego, że wciąż za dużo myśli się u nas

Szansa na zobaczenie w polskim filmie seksu, z którego po prostu czerpie się przyjemność, jest taka jak na to, że Piotr Tymochowicz okaże się fantastycznym politykiem

o zysku z filmu? A może dlatego, że – jak sugeruje w rozmowie z „Przekrojem” Izabella Cywińska – mamy problem nie tyle z seksem, ile w ogóle z opowiadaniem szczerych historii o miłości.

Seks nie może być przyjemny

– Nie mam nic przeciwko seksowi, ale czym innym jest seks, a czym innym miłość. Akt miłosny jest jej ukoronowaniem, zwieńczeniem. O pokazanie miłości jest najtrudniej, to dla tego szukamy właściwej formy – tłumaczy Cywińska. Reżyserka „Bożej podszewki” jest autorką jednej z najszczerzych, najintensywniejszych i jednocześnie najpiękniej sfilmowanych (zdjęcia Marcina Koszałki) scen erotycznych w nowym polskim kinie – między Karoliną Gruszką a Krzysztofem Zawadzkiem w „Kochankach z Marony”, a już marzy jej się nowy „akt miłosny”, jeszcze bardziej kontrowersyjny, w filmie, którego realizację planuje. – Byłaby to ośmiominutowa scena na granicy snu i jawy, w której młodziutka, ciężko chora dziewczyna oddaje się mężczyźnie w getcie głównie dlatego, że oboje myślą, iż zaraz umrą. Przeżycie staje się przez to jeszcze ważniejsze, jeszcze większe – opowiada Cywińska. Szybka, intensywna miłość – to było prze-

cież to, czym żyli młodzi ludzie pod okupacją i po czym nie ma niemal śladu w kinie.

A jednak na hasło „ośmiominutowa scena erotyczna” już słyszę trzask zamykanych ledno drzwi w Polskim Instytucie Sztuki mowej, TVP, a nawet u prywatnych producentów. Seks w polskim kinie artystycznym przecież sparaliżowany przez dokładnie same schematy, które pokutują w kinie komercyjnym. Jak chociażby ten o matce Polce, biecie ofierze. W komediach romantycznych miłość jest więc cierpieniem duchowym, biety związanym z oczekiwaniem na teledynego, w kinie artystycznym – cierpieniem zycznym (najlepszy przykład to „Nieruchomości” Łukasza Barczyka). Bo gdyby liczyć te najbardziej wyraziste sceny z naszego współczesnego polskiego kina, okazałoby się, że zazwyczaj w grę wchodzi przemoc, szokowanie. Oglądaliśmy więc gwałt małżeński („Pestka” Krystyny Janina byłej kochance („Na koniec świata” M. daleny Łazarkiewicz), własnej dziewczynie („Rewers” Borysa Lankosza), nastolatce („Cześć, Tereska”, „Wstyd”) czy ostarco córce pacjentki („Nie opuszczaj mnie” Stankiewicz).

Szansa na zobaczenie w polskim filmie seksu, z którego po prostu czerpie się przyjemność, jest taka jak na to, że nowy członek partii Janusza Palikota Piotr Tymochowicz okaże się fantastycznym politykiem. – Problem jest także z aktorami, którym nie odwagi, boją się takich scen, nie potrafią zrealizować ciała jako narzędzia pracy – przyznaje w rozmowie z „Przekrojem” Jacek Borcucha, reżyser „Wszystko, co kocham”, jednego z słownie kilku współczesnych filmów, w którym piękne sceny seksu udało się uchwycić (między bohaterami granymi przez Małgorzatę Kościukiewiczą i Olgę Frycz). To mocna, realistyczna scena, w której kocha się na krześle z kumplem Adrianem. Choć, co znamienne i co potwierdza opowiadanie Borcucha, w rolę tej ostatniej dwójki kochanków wcielił się nie Polacy, lecz Niemka Jentsch i Duńczyk Peter Gantzler. Gra męża Julii Maciej Stuhr, który w teatralnym „Aniołach w Ameryce” Krzysztofa Warlikowskiego nie miał problemu z rozbieraniem, tutaj nago pojawia się na ułamek sekundy, kazując pośladki.

Swoją drogą, czy nie jest to najlepsze polskie rozwiązanie tematu seksu w polskim kinie? – Czasem gdy teatr mierzy się z nim twarzą w twarę, kino odwraca się do niego plecami.



Yael Bartana trzy lata zbierała materiały do 11-minutowych „Marów koszmarów”. Kluczowe okazało się spotkanie ze Sławomirem Sierakowskim, który wystąpił w filmie i napisał tekst z Kingą Dunin

Co ja tutaj robię?

Swoje filmy nazywa halucynacjami politycznymi. Jako reprezentantka Polski na biennale w Wenecji chce je przekuć w jak najbardziej realny Ruch Odrodzenia Żydowskiego w Polsce. Kim jest Yael Bartana?

JACEK TOMCZUK

W Izraelu niektórzy internauci po opublikowaniu wiadomości, że jadę do Wenecji, by reprezentować Polskę, wysłali mnie do komory gazowej. Byli tacy, którzy dziwili się, że w ogóle mogłam przyjąć taką propozycję. A ja uważam, że to najlepszy sposób, by pokazać światu moje filmy, które dotychczas robiłam właśnie w Polsce – mówi „Przekrojowi” Yael Bartana. – W ponadstuletniej historii biennale tylko trzy razy zdarzyło się, żeby jakiś kraj reprezentowali obcokrajowcy: Koreańczyk Nam June Paik USA, Amerykanin Joseph Kosuth Węgry, a ostatnio Anglik Liam Gillick Niemcy. – Pracując nad projektem Yael, nie byliśmy nawet pewni, czy polski regulamin dopuszcza taką możliwość. Ale trudno byłoby mi dziś wskazać innego współczesnego artystę, który tak mocno i celnie dotykałby naszych narodowych problemów.

Bartana pracuje w Polsce od sześciu lat, nakręciła dwa filmy o mesjanizmie i utopii ko-

smopolityzmu, snując fantazję na temat powrotu trzech milionów Żydów z Izraela do Polski („Mary koszmary”). Pokazała początki nowego osadnictwa wymyślonego przez nią Ruchu Odrodzenia Żydowskiego w Polsce („Wieża i mur”). – Niektórzy w Izraelu wzięli tę inicjatywę na poważnie, pytali, czy mogą się przyłączyć. Inni oburzali się, że to doprowadzi do upadku państwa – opowiada Bartana. W Polsce również zrobił się ferment, w Łodzi miała się nawet odbyć manifestacja przeciw działalności ruchu. – Postanowiliśmy wyjść naprzeciw tym reakcjom i w Wenecji powołaliśmy prawdziwy ruch polityczny – mówi Cichocki. – Na razie układamy program. Pokażemy też ostatnią część filmowej trylogii – będzie to relacja z fikcyjnej uroczystości pogrzebowej lidera ruchu zamordowanego przez środowiska niechętnie powrotowi Żydów. Jego męczeńska śmierć to fundament, na którym powstanie ruch. Inspirowali się tym, co się działo po śmierci Lecha Kaczyńskiego.

Sebastian Cichocki chce, by mowy żegnające przywódcę nieistniejącego (jeszcze) ruchu wygłosili przedstawiciele realnych środowisk, na przykład więźniów ocalałych z obozów zagłady, ktoś z kręgu artystów, nacjonalistów...

Wybór Bartany jest jak symbol. Pierwsza dekada XXI wieku zaczęła się dla polskiej sztuki fatalnie – dwoje posłów RP w galerii Zachęta postanowiło uwolnić Jana Pawła II spod wielkiego kamienia, czyli bezprawnie zepsuło rzeźbę Maurizio Cattelana w imię obrony dobrego imienia Polaków i katolików. Kończy się w tej samej Zachęcie ogłoszeniem werdyktu mówiącego, że Polskę na biennale w Wenecji będzie reprezentowała artystka z Izraela.

Razem na księżyc

Do Polski sprowadziła Bartanę Fundacja Galerii Foksal. – W 2003 roku odwiedziliśmy ją w Amsterdamie. Studiowała wówczas w jednej z najlepszych w tamtym czasie szkół artystycznych na świecie – Rijksakademie. Studio miała w depresyjnym mieszkanku, sama →

→ była w depresji, bo tam nie ma izraelskiego słońca, jest za to złe jedzenie. Ale z drugiej strony Holandia to chyba najbardziej opiekuńczy kraj dla artystów. – Umówiliśmy się, że przyjedzie rozejrzeć się do Warszawy – wspomina Joanna Mytkowska, dziś dyrektor Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie. – Pracowaliśmy z Pawłem Althamerem, Arturem Żmijewskim, Santiago Sierrą, wiedzieliśmy, że dla sztuki najlepsze są trudne tematy.

A Bartana takie lubiła. – W Izraelu byłam częścią systemu. Służba wojskowa była dla mnie na tyle strasznym doświadczeniem, że przez pierwszy miesiąc nic nie mówiłam, chociaż nie pojechałam w żadne straszne miejsce jak Gaza czy terytoria okupowane. Mieli mnie wysłać na badania. Ale poszłam do wojska bez zadawania pytań, wierzyłam, że tak trzeba – wspominała w „Krytyce Politycznej”. Po służbie w armii wyjechała na parę lat do Nowego Jorku, tam pracowała w agencji reklamowej oraz skończyła School of Visual Arts.

W swych pierwszych filmach pokazywała, jak Izrael traktuje Palestyńczyków, podważała syjonistyczną ideologię, na której zbudowane jest państwo żydowskie, wyciągała na światło dzienne nacjonalistyczne podstawy izraelskiego patriotyzmu. Prawica jej nie cierpiała, dla lewicy była za mało radykalna. – Czuliśmy, że w Polsce ważnym tematem są stosunki polsko-żydowskie, ale nikt za bardzo nie wiedział, jak się do tego dobrać – opowiada Mytkowska. – Wziliśmy Yael po Polsce trochę po omacku, do Gdańska, Otwocka, Warki, Jedwabnego, Kalwarii Zebrzydowskiej, oglądaliśmy antysemityczne napisy.

– Polska wydała mi się jednocześnie przyjazna i obca, a ja wycofała, choć podniecona – wspomina artystka pierwsze wrażenia. Przez rok nie potrafiła wyjść poza historyczny banał. Sprawy nabrały tempa, kiedy znalazła gdzieś cytaty z Kazimierza Wielkiego, który powiedział, że jeżeli państwo jest w kryzysie, trzeba sprowadzić Żydów, bo oni wyciągną je z dołka. Artystka wpadła na pomysł, że historię Holocaustu połączy ze współczesnym Izraelem. – Bartana świetnie wyczuła, że wtedy Polskę i Izrael łączyła obsesja Zachodu. My wchodziliśmy do Unii i jak najszybciej chcieliśmy dołączyć do Starej Europy, wielu Izraelczyków szukało gorączkowo rodzinnych korzeni w krajach zachodnich, by zdobyć drugi paszport, nie chcieli identyfikować się z państwem, które od pół wieku nieustannie prowadzi wojnę – opowiada Mytkowska.

Polska była już Zachodem. Bartana rozważała nawet staranie się o polskie obywatelstwo: – Wasz paszport dawałby mi swobodę



„Wieża i mur” to gra Bartana z syjonistycznymi filmami propagandowymi z lat 30. mającymi nakłonić Żydów do osiedlenia się w Palestynie i budowania kibuców. Ten powstał w Warszawie w 2009 roku.

podróżowania nie tylko po Europie, ale też do krajów arabskich, gdzie jako obywatelka Izraela nie mogę wjechać. Ale mam chyba za słabe „papiery”, odpuściłam.

Po trzech latach poszukiwań nakręciła film „Mary koszmary”, w którym Sławomir Sierakowski w rewolucyjnym stylu namawiał: „Kiedy was zabrakło, cieszyliśmy się skrycie. Powtarzaliśmy: nareszcie jesteście sami we własnym domu (...). Dziś ze znużeniem patrzymy na nasze podobne do siebie twarze. Na ulicach wielkich miast wypatrujemy obcych i wsłuchujemy się w ich mowę. Tak, dziś już wiemy, że nie możemy żyć sami. Potrzebujemy „innego”, a nie ma innego bliższego nam niż wyl! Przybywajcie”.

Auschwitz jako przekręt

Po sukcesie filmu Bartana przyjeżdżała do Polski jeszcze częściej. – Nieustannie powtarza z uśmiechem: co ja tutaj robię? Jakby nie chciała na serio odpowiadać na to pytanie – opowiada Magda Mosiewicz, konsultant filmów Izraelki, na co dzień operatorka. Mytkowska: – Normalnie świat sztuki działa tak: artysta robi pracę, jest dobra albo zła, potem się ją pokazuje, są otwarcie, recenzje i koniec. Robiąc „Mary koszmary”, mieliśmy poczucie, że odkrywamy coś nowego, kreujemy stosunek do historii, polityki, że to ważne – mówi Mytkowska. – W Polsce świat sztuki jest gorący, rozdyktowany, w Izraelu sztuka mało kogo obchodzi, jest letnia, nie mówią już o Holandii. To strasznie jej się spodobało w Polsce.

– Musi przyjechać raz na trzy-cztery miesiące, by poczuć ten klimat, nie odkleić od Polski, porozmawiać ze znajomymi do siebie rano – mówi Mosiewicz. – Jak tylko coś dzieje, chce tam być: Parada Równości, biennale w Łodzi, Międzynarodowe Biennale w Warszawie, Międzynarodowe Biennale w Warszawie... Śledzi też polskie rytuały świąteczne, w e-mailach prosi o zdjęcia sprzedawcy Prezydenckiego, z marszów z 11 listopada... Kiedy wyszliśmy z Muzeum Powstania Warszawskiego, powiedziała: „Polacy są tani śmiercią podobnie jak Palestyńczycy”. Jest też na bieżąco z polską kulturą. Cichocki dodaje: – Na jej półkach piętrzą się książki dotyczące Polski, ostatnio widziałem u niej nagrafię Rybczyńskiego, Kobro, dokument o katastrofie smoleńskiej, „Strach” Grossa.

Jej przyjaciele mają wrażenie, że Bartana widzą w Warszawie częściej niż polskich znajomych. W Warszawie można ją spotkać w Muzeum Sztuki Nowoczesnej i w Nowym Wspaniałym Świecie – kawiarni i sklepie „Krytyki Politycznej”. – Ona przyjeżdża do ludzi, by dyskutować, odkrywać książki, naładować się pomysłami. To osoby jak Joanna Mytkowska, Sławek Sierakowski, Magda Mosiewicz, Wilhelm Sasik, Artur Żmijewski to dla niej nie tylko partnerzy do merytorycznej dyskusji. Yael traktuje ich jak swoją „polską rodzinę” – mówi Sławomir Cichocki.

– Łączy nas zaangażowanie w tematy społeczne i polityczne, ale także głęboka polska jaźń. „Krytyka...” próbuje nawiązywać do staw inteligencji zaangażowanej, tej dzwoniącej warstwy powstałej w połowie XIX wie-



„Będziemy silni naszą słabością”, czyli trzecia część filmowego tryptyku Yael Bartany

na styku kultury polskiej, żydowskiej i rosyjskiej, którą połączyła niezgoda na rzeczywistość, chęć zmiany. Ona jest w podobny sposób zaangażowana, mentalnie jest stąd – mówi Sierakowski, który zaproponował artystce objęcie funkcji redaktora artystycznego „KP” obok Artura Żmijewskiego. – Chcę, żeby Yael napisała też książkę „Polska. Przewodnik „Krytyki Politycznej” – dodaje.

– Mój dziadek Abraham pochodził z Białegostoku, wyjechał do Palestyny na początku XX wieku i umarł przed moimi narodzinami – mówi Bartana o polskich korzeniach. Znajomi zgodnie twierdzą, że historia rodzin-

na zbytnio jej nie interesuje. Sierakowski: – W Yael nie ma turystycznej nostalgii, to nie niemiecki emeryt we Wrocławiu oglądający miasto dzieciństwa. Jej paliwem nie jest pamięć o tym, co się tu stało, ale teraźniejszość i przyszłość, o której myślimy podobnie.

– Byłam w obozie koncentracyjnym niedaleko Gdańska i nie mam potrzeby jechać do Auschwitz. Właściwie zastanawiam się, czy takie miejsca powinny w ogóle istnieć, a jeśli tak, to po co? Mam wrażenie, że łatwo można je wykorzystać do manipulacji. Mój bratanek pojechał na taką wycieczkę i mówił, że gdy stąpał po kamieniach w Auschwitz, czuł, jak łączy go to z historią. Ja czuję, że to jest bardzo niebezpieczne i napędza negatywne emocje. Gdybym teraz pojechała do Auschwitz, to najpewniej bardzo bym to przeżyła. Albo byłabym cyniczna, bo to musi być trudne doświadczenie – mówiła w „KP” 41-letnia dziś artystka.

100 tysięcy zdjęć

– Ma obsesję na punkcie fotografowania, filmowania. Nieustannie to robi. Kiedyś poszliśmy na premierę filmu „Miasto ruin” do Muzeum Powstania Warszawskiego. Zaczyna się pokazywać, a Yael wyjmuję kamerę i kręci. Gdy się poznałyśmy w 2004 roku, mówiła, że ma 40 tysięcy zdjęć, więc pewnie teraz jest tego ze 100 tysięcy. Początkowo myślałam, że to bez sensu, przecież nie można ich wszystkich wykorzystać, obejrzeć. Ale ona to robi, sama nie wiem jak – opowiada Mosiewicz. – Zwykle prosi, by zakwaterować ją w hotelu z widokiem na Pałac Kultury i Nauki. Za każdym razem filmuje gmach przez okno, to już taki rytuał.

W Izraelu zrobiła film „Summer Camp” o tym, jak żydowski aktywiści odbudowują dom palestyńskiej rodziny zniszczony przez armię izraelską. Pojechała tam na dwa tygodnie i filmowała codziennie, miała 40 godzin materiału, a powstał film ośmiominutowy. Klasyyczny dokumentalista jeździłby tam co trzy dni na godzinę, żeby pokazać rozwój sytuacji. Miałby cztery godziny materiału i zrobiłby z niego półgodzinny film.

Magda Mosiewicz uważa, że Bartana pracuje metodą „na pajęczynę”: tworzy siatkę współpracowników, zleca im różne zadania. Ktoś pisze tekst do filmu, ktoś manifest fikcyjnego Ruchu Odrodzenia Żydowskiego w Polsce, ktoś projektuje jego logo, ktoś ma jechać do Auschwitz, by dokumentować wizytę Benedykta XVI... – Czasami ludzie są zdeorientowani, nie wiedzą, co z tego wyjdzie, ona zresztą też nie wie – śmieje się Mosiewicz. – Po artyście tej rangi wszyscy spodziewają się, że przyjdzie i powie: będzie tak i tak. Kręcimy tu, ty stań tam. Yael zjawia się na planie i zamiast kierować całością, robi zdjęcia.

Mytkowska: – Jest czujna i spostrzegawcza, słucha ludzi, przejmując ich energię. Niektórzy narzekają, że są traktowani przez nią instrumentalnie. Ale potem Yael pokazuje gotową pracę i jest tak doskonała, że wszyscy jej wybaczą. Jest arcyperfekcjonistką. Kiedy przyjechałam do Tel Awiwu, pokazała mi trzy wersje jednego ujęcia, pytała, które jest najlepsze, a ja nie widziałam żadnej różnicy. Długo montuje swoje prace, czasem nawet rok. Dlatego teraz będzie w trudnej sytuacji, bo do biennale zostało pięć miesięcy. Nigdy tak szybko nie pracowała.

REKLAMA

Senior Mobile Phone

CP-070

KORZYSTANIE Z NOWYCH TECHNOLOGII
POWINNO BYĆ ŁATWE
TRAK CP-070 TO TELEFON,
DZIĘKI KTÓREMU JEST TO MOŻLIWE!

- ELEGANCKA OBUDOWA
- POJEMNA BATERIA
- RADIO FM

WYBÓR NUMERU

DUŻE, WYRAŹNE KLAWISZE

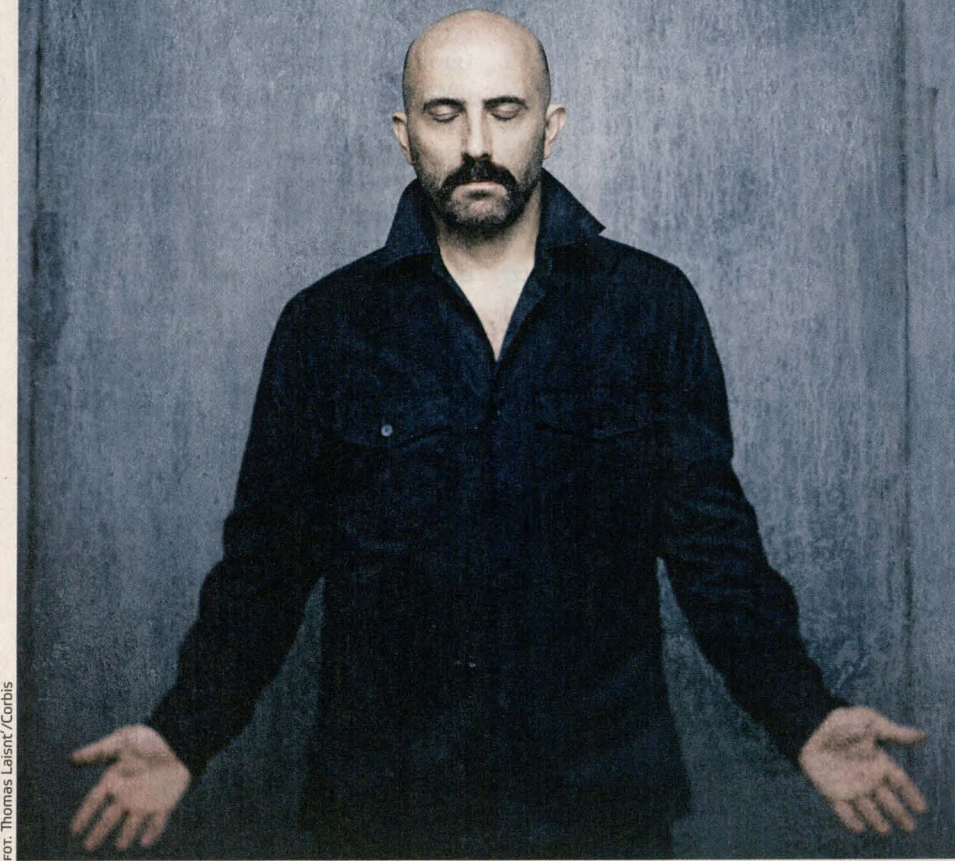
FUNKCJA LATORNI

mediakomp.net
3kropki.pl
helios-bp.pl

telefony-gsm.pl
telefonygsm.pl
monsterpc.pl

rocart.pl
hurt.com.pl
ArtKom GSM - Łódź

Arka Noégo



FOT. THOMAS LAISANT/CORBIS

UWAGA! Masz pięć sekund, żeby przewrócić stronę. Cztery. Trzy. Dwie. Jedną. UWAGA! Skoro zostałeś, zapraszamy do filmowego świata Gaspara Noé. Wchodzisz tu na własną odpowiedzialność

OLA SALWA

Gwałt. Na córce. Na ciężarnej kobiecie. Zabójstwo. Dziecka w łonie matki. Mord. Gaśnica miażdży czaszkę. Chrup! Mózg rozchlapany na posadzce gejowskiego klubu. Kazamaty gestapo. „Zemsta to prawo człowieka”. Agonia w brudnym kiblu w Tokio. Krew z podejrzanego koniowi gardła splywa po podłodze rzeźni. Dyrygentem tych filmowych koszmarów jest 48-letni reżyser Gaspar Noé, który już od premiery krótkometrażowego „Mięsa” (to ono

zaczyna się od sceny w rzeźni) w 1991 roku ma opinię jednego z największych prowokatorów i zarazem jednego z najambitniejszych twórców współczesnego kina. Jego filmy od początku atakują: z agresywnymi obrazami współgrają dźwięki o niskiej częstotliwości, szybkie cięcia montażowe lub przeciwnie – długie ujęcia kamery poruszającej się raz powoli, raz nerwowo. Całość ma wprowadzić nas w rodzaj transu. – Robienie filmów to dla mnie szamanizm. Jestem magikiem, który wycią-

ga królika z kapelusza. Przenoszę ludzi z jednego miejsca w drugie – wyjaśnia rzeczowo tonem w telefonicznej rozmowie z „Przekrojem”. – W końcu płacą za to, by na północne dwie godziny znaleźć się w innym wymiarze. Nie myli się. Za wejście w świat „Nieodwracalnego” zapłaciło we Francji 600 tys. ludzi, co w przypadku filmu tego typu jest lada osiągnięciem. Równie silnym magnetyzmem jak obsada (Monica Bellucci i Vincent Cassel) była ponura sława otaczająca scenę gwiazd na bohaterce. Przyjaciel Noé, również komediowy reżyser Harmony Korine („Julie & Donkey-Boy”), tak ocenia jego intencje: – Gaspar chce, aby jego filmy zmieniły w sposób, w jaki polubił stan zgorznięcia.

Mózg na półkę

„Nieodwracalne” to środkowy film w trójczęści Noé, który nakręcił trzy pełne fabuły i kilkanaście krótkich metraży. Swoją historię opowiada od tyłu, w dziewięciu długich ujęciach. W drugim widzimy, jak w klubie dla geów Rectum od uderzeń gaśnicą w głowę ginie mężczyzna. Kamera przygląda się momentom, by za chwilę zawisnąć na twarzy immitacji faceta, wyraźnie podnieconego sceną. Reżyser każe nam go zapamiętać, bo za pół godziny zobaczymy, jak brutalnie gwałcą kobietę. Z ostatniej sceny zaś dowiemy się, że była w ciąży. Jak doszło do zbrodni? Przypadkiem? Kobieta w złym momencie wyszła z łóżka? Nigdy nie została pomszczona. Zło ukazuje się na ogół pojawia się w takich okolicznościach.

W „Mięsie” rzeźnik katuje robotnika, bo uznał, że ten molestował jego córkę. We „Wkraczając w pustkę” Oscar ginie, bo chłopak krzyczy do chcących go aresztować policjantów, że ma broń. – Tak jest w życiu: właściwa ocena wydarzeń kończy się czasem tragicznie. U mnie to także chwyt dramatyczny służący temu, by losy postaci bardziej poruszały – wyjaśnia reżyser. U Noé jest spójność zabiegów podkręcających tempo lub dramatyzm, choć rzadko kryją one głębsze przesłanie. Jak słynne zdanie otwierające (i zamykające) „Nieodwracalne”: „Czas nie czeka na nikogo”. – Wstawiłem to zamiast słowa „koniec”. Oznacza to „czas pokaże”, bo jest właśnie cel fabuły: odkrywanie wydarzeń. Tyle tylko, że to zdanie sformułowane dosłownie nie robi takiego wrażenia – dodaje.

Wizualne efekciarstwo często idące w parze ze scenariuszowym banałem paradoksalnie dodaje filmom mocy. Ekranowa przemocność daje się bliższa, a więc groźniejsza. Zre-

żyserski, podkreśla, że opowiada o zwykłych ludziach, a nie o psychopatach. – We wszystkich nas tkwi diabeł – mówi ustami jednej z postaci. Co znamienne, Noé nie ocenia bohaterów („Nie ma przestępstw, są tylko czyny” – to inny cytat z „Nieodwracalnego”), nie potępia przemocy ani jej nie gloryfikuje. Mówi, że nie ma nic gorszego niż kino z przesłaniem: – Kiedy ktoś mówi o etyce lub moralności, robię się podejrzliwy i nabieram dystansu.

O co mu w takim razie chodzi? – Patrząc na przemoc, czujesz zastrzyk adrenaliny, a wtedy twój umysł oczyszcza się z doświadczeń nabywanych w ciągu tygodnia: kłopotów w pracy, kłótni z partnerem. Niezależnie od tego, czy obejrzyś dobry horror, czy zabawną komedię, efekt będzie ten sam: mózg na 90–150 minut wędruje na półkę – wyjaśnia.

Czyli – ekstremalna rozrywka. Ale w jego filmach jest też miejsce na spokój i dobro. Jak w końcowych scenach „Nieodwracalnego”, gdy Cassel i Bellucci leżą w łóżku: intymność i bliskość są sugestywne i uwodzicielskie. – Melodramat musi mieć trochę mroku, bo dzięki kontrastowi szczęście wydaje się piękniejsze.

Jednak zapytany, czy woli ciemność, czy światło, odpowiada wymijająco, że „chce pokazać pełnię”. Ale czas niszczy ją, bo filmowy świat Noé jest pustką. Piekłem samotności i frustracji, które agresywna forma tylko przykrywa. Najwyraźniej widać to w krótkometrażowym „We Fuck Alone”. Kobieta i mężczyzna masturbują się, oglądając ten sam pornograficzny film. W tle słychać płacz dziecka, więc najpewniej muszą być w jednym mieszkaniu. Nagość, erotyczne gadżety i migające światło przykuwają uwagę przez pierwszą minutę. Po czterech nudzą i męczą,

wprowadzając w stan podobny do tego, w jakim jest onanizujący się chłopak – nabuzowania i frustracji.

Czas zniszczy nas

– Ludzie pytają mnie, czy uśmiercam płody w moich filmach, bo moja żona jest w ciąży. Nie jest, chciałem pokazać przemoc między dorosłymi, której konsekwencje ponoszą dzieci – mówi reżyser.

Noé nie znosi, gdy ktoś doszukuje się w jego filmach wątków autobiograficznych. Dziwi się, gdy ludzie utożsamiają go z historiami, które opowiada, i oczekują, że będzie wyglądał jak „thusty, łysy zboczek”. – Nie przeżyłem żadnej traumy, nie byłem w więzieniu. Raz prawie wjechał we mnie tir, ale nic się nie stało.

Benoit Debie (operator „Nieodwracalnego” i „Wkraczając w pustkę”) przekonuje „Przekrój”, że owszem, reżyser „kocha prowokować, ale nie jest tak mroczny, jak wszystkim się zdaje. Chce tylko pokazać to, czego na ogół nie widzimy. Prywatnie to fajny i otwarty gość”.

Gaspar Noé żyje od 20 lat z tą samą kobietą, reżyserką Lucile Hadzihalilovic. W młodości ostro imprezował i eksperymentował z narkotykami, ale podkreśla, że jedynym dramatycznym wydarzeniem w jego życiu była ucieczka z rodzicami z opanowanej przez juntę wojskową Argentyny, gdzie Noé urodził się w 1963 roku. Ojciec, znany malarz prymitywista, i matka, pracownica społeczna, byli prześladowani za swoje lewicowe poglądy; osiedli w Nowym Jorku, a potem w Paryżu. Tutaj Noé zaczął studiować w szkole filmowej. Już za trzecią etiudę („Mięso”) otrzymał nagrodę dla najlepszego filmu krótkometrażowego w Cannes. Odtąd każdy jego kolejny film poja-

wiał się w konkursie głównym najważniejszego festiwalu świata.

Choć nie lubi, gdy ludzie zarzucają mu prowokację („To brzmi jak nazwa francuskiej choroby”), jest w tej postawie trochę kokieterii, bo zarazem przyznaje, że do czasu pojawienia się pierwszej negatywnej recenzji „Wkraczając w pustkę” czuł się nieswojo. Nie uważa się też za buntownika: – Występuję przeciwko konwencjom klasycznego i hiperkomercyjnego kina, ale nie walczę z przemysłem. Bawię się językiem filmowym jak Godard czy Tarrantino. Naciągam go do granic, aby zbudować rollercoaster przez niektórych zwany filmem.

Dodaje, że nie eksperymentuje przesadnie, by mieć za co kręcić. Na realizację „Wkraczając w pustkę” czekał ponad 12 lat, bo nie miał całego budżetu, ale gdy zajął się innym projektem – i to z Bellucci i Casselem – pieniądze się znalazły. „Nieodwracalne” zresztą było poligonem doświadczalnym przed „Wkraczając w pustkę”: film mający poetykę halucynacji i narkotykowego odlotu wymagał przygotowań, więc Noé eksperymentował z „płynącymi” ujęciami, sam też stał za kamerą.

Do swojego ostatniego dzieła nie ma dystansu. Gdy krytycy uznali, że bohater „Wkraczając w pustkę” odradza się na nowo, zaczął w wywiadach – niepytany – objaśniać swoje intencje: – Bohater nie opuszcza swojego ciała! To przedagonalna halucynacja będąca interpretacją „Tybetańskiej Księgi Umarłych”.

Noé nie wierzy w życie po śmierci, jest ateistą i uważa, że religia zniewala ludzi, zamiast objaśniać im świat. – No dobrze, to co się stanie z nami po śmierci? – pytam na koniec. Gaspar Noé nie ma wątpliwości: – Ci, którzy zostaną, będą się bawić dalej.

Koncept i wizja

„Wkraczając w pustkę” z rozmachem i w rytmie techno

Czołówka najnowszej filmu Gaspara Noé jest jak cios w szcękę zwiędziony zalotnym spórzeniem. Ekran rozbłyśnie stroboskopową feerią nazwisk, barw i czcionek pulsującą w rytmie techno, z której ostaje się słowo enter. Zanim doczekamy się końcowej planszy z napisem The void, upłyną 154 minuty projekcji. I to jakiej!

W pierwszej scenie główny bohater Oscar zażywa środki halucynogenne. Kilka minut później ginie od postrzału w obskurnym

tokijskim wychodku, a kamera przejmując punkt widzenia jego unoszącego się nad miastem (wciąż naćpanego?) ducha. Noé daje klucz do całości już w pierwszym akcie, gdy każe Oscarowi prowadzić rozmowę na temat „Tybetańskiej Księgi Umarłych”. Po wyszczególnieniu etapów reinkarnacji Noé ilustruje je z dosłownością godną najlepszych prezentacji w PowerPoincie, uzupełniając całość wątkiem kazirodzym i psychoanalitycznym.

Przez większość seansu kamera zawieszona jest wysoko – nieustannie płynie i spogląda na akcję prostopadle w dół. Pomijając trudne do wyobrażenia wyzwania logistyczne, strategia Noé wymagała wielkiej inteligencji zespołu aktorskiego. Pozbawieni

mimiki, często zmienieni w barwne kleksy wpisane kompozycyjnemu w obraz na prawach przedmiotu wykonawcy mają tu do dyspozycji tylko głos i (ograniczoną kątem widzenia) gestykulację.

Film jest dosłowny, naiwny, ostupiająco ambitny i beznadziejnie narcystyczny. Jest zarazem jednym ze wspanialszych filmów ostatnich lat. Jak to pogodzić? Odpowiedź stanowią nasze rozdzielone w trakcie seansu gęby – odwykliśmy od twórczości tak wariackiej i zamaszystej zarazem.

Relacja wiernego widza z Noé ma zabarwienie sadomasochistyczne. Atak jest jego ulubioną formą elektryzowania publiczności. Opowiada o rzeczach ostatecznych albo nie opowiada wcale. Kiedy w finale jego ka-

mera wnika do kanału rodowego w trakcie kopulacji i wielki penis wytryskuje w stronę widowni hektolitry (wyczarowanego komputerowo) nasienia, wybuchamy śmiechem i bijemy brawo, bo metafizyczne szaleństwo reżysera osiągnęło apogeum. Opowiedział o początku życia, pokazując... sam początek życia na tyle wiernie, na ile pozwala filmowe medium. Naiwność i wielkość wykluczają się w wielu innych dziedzinach sztuki, ale nie w kinie. Potęgą wizji uświęca lichotę konceptu.

MICHAŁ OLESZCZYK

„Wkraczając w pustkę”,

reż. Gaspar Noé,

Francja/Niemcy/Włochy 2009, 154', SNH, premiera 21 stycznia

Czterej pancerni i teatr

Od półtora roku nie ma w polskim teatrze fajniejszej zabawy niż masakrowanie naszych telewizyjnych i kinowych wspomnień

ŁUKASZ DREWNIAK

Pod reżyserski tasak idą ulubione seriale i sagi filmowe Polaków. Przewodzi w tym procederze wałbrzyski Teatr Dramatyczny imienia Jerzego Szaniawskiego. W ramach programu „Znamy, znamy” i „Znamy, znamy do kwadratu” zaadaptowano na scenę „Dynastię” i „Czterech pancernych i psa”, dopisano nowy epizod „Gwiezdnych wojen”, a nawet własną wersję przygód agenta 007. Warszawa (Teatr Lalka) odpowiedziała „Janosikiem. Naprawdę prawdziwą historią”, Olsztyn (Teatr Jaracza) sięgnął po kultowego czeskiego „Lemoniadowego Joe”. Czemu stare seriale czy serie filmowe nagle tak inspirują bataliony rodzimych twórców? Ruch w interesie adaptacyjnym to próba nawiązania rozmowy z konkretną generacją widzów.

Dać w zęby

Na początku lat 90. polski teatr z konfuzją obserwował fenomen publiczności serialowej. Ale nie poddawał się walce o jej względy. Pamiętam, jak aktor Piotr Skarga (gwiazdor pierwszego polskiego tasiemca „W labiryncie”) planował założenie w Warszawie sceny, na której co wieczór grano by dalsze perypetie bohaterów tego serialu. Prezentowane dwa-trzy razy do roku na żywo, a potem rejestrowane dla telewizji „Spotkania z Balladą” również były namiastką stałej komediowej serii.

Zastanawiano się, jak teatr może naśladować operę mydlaną. Postawić na ciągłość fabuły czy unieruchomić bohaterów w nieustannym „teraz”? Użyć wszystkich serialowych chwytów w jeden wieczór czy raczej zachęcić publiczność do regularnego chodzenia na kolejne odsłony tej samej opowieści? Kabaret sobie z tym poradził (improwizowany serial „Spad-



Natalia Korczakowska pyta, co by było, gdyby „Dynastię” nakręcił Almodóvar albo von Trier

kobiercy” z udziałem Górskiego, Bałtroczyka, Andrusa i innych), teatr hamletyzował. Idea walnej rozprawy z teleserialami powróciła dopiero wtedy, kiedy artyści zrozumieli, że nie warto naśladować czy parodiować oryginałów. Teatr nie będzie telewizją ani kinem. Ale może dać w zęby wychowankom telewizji.

Serial masowej wyobraźni

Na początku tego minirodziału powinna pojawić się typowa postać z pilota serialu, która od razu ginie i potem już się nie pojawia. Mamy kogoś takiego. To Jan Klata. Gdyby nie jego „Trylogia” w krakowskim Starym Teatrze, prawdopodobnie całej tej mody by nie było. Klata zmagal się w swoim spektaklu nie tylko z Sienkiewiczem, ale też z oglądanymi przez Polaków od 30 lat filmami Jerzego Hoffmana.

Adaptację pisał z nim Sebastian Majewski, jego stały współpracownik, dramaturg, dadaista i realista, dyrektor artystyczny Te-

atru Szaniawskiego w Wałbrzychu. Rozmowa z Sarmatami nałożyła się Majewskiemu prace nad autorskim surrealistycznym spektaklem „Z rodziny Iglaków”. Krewniacy rodziny Poszepczyńskich w czterech pierwszych odsłonach zmagali się z wałbrzyskimi realiami: a to próbowali układać reżyserski spektakl, a to znów kopali tunel do Brazylizacji, żeby zdobyć nieosiągalną kawę aromatyzowaną, nawet zabierali widzów w sentymentalną podróż autokarem po mieście. Zdaniem Majewskiego „Iglacy” byli sprawdzaniem w teatrze „teatralnej formy powtarzalnej”. Sebastian Majewski zdezorientował wałbrzyską publiczność, Majewski zapytał więc: „No to co chcecie oglądać?”. Ano to, co już znali na pamięć z lektury szkolnej i filmy z młodości. Majewski ośmielił się, że zasada inżyniera Mamonina obowiązuje nie tylko w muzyce popularnej. – Chcesz powtórki? – jęknął mściwie. – No to będzie mieć.

Jedną z pierwszych odsłon projektu „Znamy, znamy” był spektakl „Niech żyje wojna!!!” duetu Monika Strzępka-Paweł Demirski wykorzystujący wątki i bohaterów scenariusza „Czterech pancernych i psa” (spadkobiercy Janusza Przymanowskiego nie zgodzili się na użycie tytułu). PRL-owski serial ukazywał wojnę jako kuźnię przyjaźni i miłości. – Kiedy szukaliśmy tematów do przedyskutowania w ramach naszego cyklu, okazało się, że większość z nich opowiedziano za pomocą sztuki filmowej i dlatego ciągle w nas żyją – mówi Sebastian Majewski. – Obraz odbieramy dziś silniej niż słowo. Wszyscy znamy serial „Czterej pancerni i pies”, a prawie nikt nie przeczytał książki Przymanowskiego. Pan kiedyś przeczytał? Gratuluje.

Strzępka i Demirski nie drwili z jego propagandowych tez, pojedynkowali się z naszym myśleniem o przeszłości uformowanym na głupich wojennych filmach i książkach.

Rozliczali się z przenoszeniem wojen na patriotyczny oleodruk za pomocą kina i narodowej hagiografii. Anarchiczna, kabaretowa struktura spektaklu była wymierzona przeciwko powadze i świętości. Zmieszano w nim dwa równie fałszywe mity: oto epizod z życia „Pancernych” przechodzi tu w obraz płonącej w powstaniu Warszawy. Wojna nie jest wesołą zabawą, ale rzezią i kloaką. W finale Szarik – stary sowiecki wiarus, pies wojny – zmuszał bohaterów do minuty milczenia za samą wojnę i jej sens. A my oglądaliśmy niekończący się ciąg etiud odmowy, gagów rozbijających powagę holdu. Straszne przedstawienie. Widz czuł się tak, jakby rozgrzana do czerwoności lufa Rudego przebiła mu mózg, strzelając dalej.

Przedstawienie udowodniało, że nie da się już odwoływać do jakiegoś wspólnego doświadczenia historycznego. Rozmowa stała się niemożliwa. Bo co nas naprawdę łączy? Nie lektury pokoleniowe, lecz obejrzany w dzieciństwie serial, przeżyty mocno film albo piosenka z niego. – Kino jest bardziej skazane manipulacją niż literatura – twierdzi Majewski. – Zadaniem teatru jest więc rozmowa z narzuconym nam obrazem. Bo popkultura nie jest bezkarna. Nie powstaje tylko w celach komercyjnych, ale przemycia podkorowe wizje i interpretacje faktów.

Serial jest fundamentem pamięci zbiorowej, kodem społecznym i kulturowym umożliwiającym natychmiastowe porozumienie. To jest podstawa, od której można zacząć rozmowę o nowej rzeczywistości i nowym języku teatralnym. Można na nim wykonać te same operacje – dekonstrukcje fabularne do niedawna wykonywane na klasyce. Dziś nie mamy już w głowie literatury i historii, mamy telewizję.

Świat ulepiony na zawsze

Żadna ze scenicznych adaptacji seriali i cykli filmowych nie wykorzystuje oryginalnych scenariuszy. Młodzi reżyserzy – Monika Strzępka, Natalia Korczakowska, Wiktor Rubin, Krzysztof Garbaczewski i Łukasz Kos (który równolegle do wałbrzyskiego projektu zrealizował w warszawskim Teatrze Lalka „Janosika. Naprawdę prawdziwą historię”) współpracowali z równie licznym zastępem nowych autorów, którzy po prostu napisali te historie po swojemu. Jolanta Janiczak („James Bond: Świnie nie widzą gwiazd”), Sebastian Majewski („Dynastia”), Paweł Demirski („Niech żyje wojna!!!”), Michał Walczak („Janosik”), Marcin Cecko („Gwiazda Śmierci”) niezależnie od siebie założyli, że do teatru przy-

dziemy z gotowym światem w głowie, znając na pamięć całe odcinki. Bo seriale naszego dzieciństwa poustawiały nam estetykę na całe życie, zmieszały postacie fikcyjne z aktorami. Funkcjonowały w nas jako inna, nie do końca realna, ale jednak dotykalna rzeczywistość. Światy ulepione z telewizyjnych obrazów nie zniknęły wraz z końcem emisji, wierzymy, że gdzieś trwają. Tuneli między rzeczywistością serialową a naszą jest niewiele. Znajdujemy je przypadkiem, dziwiąc się, że w ogóle istnieją. O „Dynastii” przypomniałem sobie, kiedy zmarł John Forsythe. A może Blake Carrington? W pierwszej chwili coś mi się pomyliło i byłem przekonany, że to był któryś z mniej znanych prezydentów USA, Johnson albo Carter. – Oglądałam ten serial przed rozpoczęciem prób – potwierdza to rozpoznanie reżyser Natalia Korczakowska – nie przestając myśleć o tym, że to, do czego aktorzy będą mogli się odwoływać w czasie spektaklu, to zapis w pamięci ludzi na widowni, w zbiorowej nieświadomości. Niesamowite, jak ten mit kapitalizmu mocno w nas tkwi. Na wieść o tym, że będę adaptować „Dynastię”, wykształceni ludzie kłócili się o to, co było w tym filmie prawdą, a co nie, tak jakby chodziło o ważne wspomnienie z dzieciństwa.

„Dynastia” stuningowana Mannem

Emitowana pod koniec lat 80. „Dynastia” nie była nigdy obrazem prawdziwej Ameryki, ale prawdziwie pokazywała świat naszych pragnień, wpuszczała nas w labirynt intryg i miłostek amerykańskich arystokratów nafty. – „Dynastia” stanowiła element bomby propagandowej, którą kapitalizm amerykański zafundował Europie w celu kupienia jej dla swoich celów. Narzucono nam nasze pragnienia – tłumaczy Korczakowska. – Serialowa Ameryka była Ameryką, jaką powinna być w rzeczywistości. I co zrobić z tym obrazem dziś, kiedy sami prawie doścignęliśmy ideał?

Z oryginalnej „Dynastii” ocalało w wałbrzyskim przedstawieniu Korczakowskiej ledwie parę migawek: aktualne i byłe żony Blake’a tarמושą się za kudły, trwa walka o głosy w zarządzie rodzinnej firmy. Bardzo ważny jest wątek chorego na AIDS homoseksualnego Stevensa, odrzuconego syna Carringtona. Korczakowska zastanawia się, co by było, gdyby „Dynastię” nakręcił von Trier albo Almodóvar. Tuninguje „Dynastię” Sofoklesem i Mannem, żeby zrobić z niej inną wersję „Aniołów w Ameryce”. – Potrzebowałam dysonansu – tłumaczy. „Dynastia” jest przeciwieństwem świata zdrowia, „Czarodziejska góra” – choroby. A „Filoktet” →

→ mostem między nimi. W ten sposób teksty znajdują się w ciągłym napięciu.

Skoro „Dynastia” telewizyjna była mitem greckim przerobionym na pop, w którym tragiczne sploty i zderzenia rodzina-państwo i jednostka-społeczność zaadaptowano do amerykańskiej wrażliwości, równie dobrze można teraz wybrać kierunek odwrotny. Przerobić popserial na tragedię. Grać ją jako metaforyczną kronikę upadku Ameryki. I opis naszego krachu miłości do niej.

Teatralne wersje seriali traktują telewizyjny hit jako fałszywą rzeczywistość, która przesłoniła nam jakąkolwiek realność. Tym brutalniej trzeba ją zniszczyć. Tylko wstrząs zmusi nas do myślenia. Zdaniem Majewskiego: – Paradoks polega na tym, że powiedzenie „Znamy, znamy” kończy się dla wielu widzów już na tytule serialu czy filmu. Potem są tylko skojarzenia i wyobrażenia. Nasze zabiegi „demaskatorskie” pokazują, jak można na głębszym poziomie polemizować z zakorzenionym w świadomości dziełem.

Bond na Gwieździe Śmierci

Publiczność, która przyjdzie do teatru na powtórkę z rozrywki, może się poczuć oszukana. Nowe wcielenia serialowych bohaterów mają do wykonania zupełnie inną misję. Na przykład „James Bond: Świnie nie widzą gwiazd” w reżyserii Wiktora Rubina. Z początku i pozorów na jawny pastisz oryginału. Niby jest w nim każdy element stanowiący o tożsamości serii filmowej: przystojny aktor chodzi w nie-nagannie skrojonym smokingu, strzela z waltera, walczy z arabskimi terrorystami, ulega potrzebie zdobywania kobiet jak seksualnych trofeów. Oczywiście pada słynna kwestia: „Nazywam się Bond, James Bond”. Jest Q i jego zabójcze zabawki, szefowa M i flirt z sekretarką Money Penny. Wszystko, co trzeba, tylko zmiksowane i w nowym kontekście. Rubin stosuje zasadę hiperboli: bohaterowie za dużo gadają, dziewczyny Bonda wydają się przytłoczone swoim seksapilem. Nawet Bond rozbił się na dwie postaci – siebie i swój język. Pan Język komentuje akcję, opisuje świat, nadając mu nowe znaczenia, ale w gruncie rzeczy to taki gogolowski nos: uwolnił się od swego właściciela tylko po to, by być gorszym niż on. – Chcieliśmy przetestować nie tylko to, co się w „Bondzie” mówi i robi, ale też badaliśmy ty, kto mówi i kto „jest mówiony” językiem serii filmowej – tłumaczy Rubin. – Próbowaliśmy przewartościować myślenie o języku rozrywki. Rozbieraliśmy „Bonda” z opakowań, wyciągając na wierzch ukrytą ideologię, walcząc ze sposobem myślenia, jakie ten film generuje.

Zasada – „robić Bonda przeciwko Bondowi” – zmienia się powoli w jego spektaklu w relację z zemsty kobiet na supermacho. To one stają się bohaterkami filmowego teatru. Uprzedmiotowiona Money Penny, wściekła Leila, nawet nieletnie arabskie terrorystki biorą odwet na bohaterze. Bond ginie. Jak każdy samiec alfa zaplątany w inną epokę, inną narrację, inny teatr.

Fani „Gwiezdnych wojen” nie mają czego szukać w Wałbrzychu. W spektaklu Krzysztofa Garbaczewskiego nie znajdziemy filmowych kostiumów i gadżetów. Przedstawienie jest grane w podupadającym kinie Zorza. Scenę zasłania tandetny ekran z prześcierałką. Zimno i mroczno, ledwie kilkanaście osób na widowni. Nie ma teatru, jest tandetny film, jakby epizody IV-VI nakręcił Ed Wood. Aktorzy prawie nie pojawiają się przed widzami. Oglądamy równoległy obraz z czterech kamer miksowany na ekranie w czterech kwadratach. Akcja dzieje się w zaułkach, zde-wastowanych pokoikach na zapleczu kina. Obraz jest brudny i zaśniewany, dźwięki kalekie, głosy nieczytelne. Czasem wszyscy wyko-

Teatr zawsze robił z byle jakiej literatury wielką sztukę. Ciągnął profanum za uszy do sacrum

nawcy zbierają się w wolnej przestrzeni przed pierwszym rzędem, żeby zatańczyć dziwny taniec. Ktoś przebiega przez widownię, ktoś nieruchomieje, usiłując przejść pod prześcierałką na drugą stronę ekranu.

Postaci bardzo podobne do kosmicznych bohaterów przeżywają ziemskie udręki. Lukas, który mógłby być Lukiem Skywalkerem, ale nie jest, walczy z dziewczyną podobną do księżniczki Lei. Ben – czyli Obi-Wan Kenobi – to facet w długim płaszczu. Przechadza się wraz z Lukiem w gąszczu gumowych kolorowych rur i objaśnia, czym jest moc, tak jakby tłumaczył zawiłości nowoczesnej poezji. Garbaczewski hermetyzuje popkulturową mitologię, przenosi zdarzenia do przestrzeni wewnętrznej bohaterów. Rezygnuje ze sztafażu scenie fiction wzorem „Alpha-ville” Godarda, gdzie podróż na inną planetę zastępował przejazd bohatera samochodem do innego miasta. Zdegradowany świat jest obszarem wykoślawionego, źle odrobionego przez nas mitu. Gwiazda Śmierci to postać zafascynowana samounicestwieniem,

a nie straszny kosmiczny pojazd niszczący całe planety. W finale Lukas jedzie do smodromu, żeby wystrzelić się w kosmos. Ale aktor tylko wychodzi z kina na rozbratną ulicę. Fikcja nie zdążyła się nawet zacząć w naszych głowach, to dalej jest piękną Wałbrzych.

Zabić wspólne kłamstwo

W najgłośniejszej produkcji wałbrzyskiego cyklu Strzępka i Demirski dokonali z nami, przygotowując własną wersję „Człowieka z marmuru i żelaza”. Głośno mówili, dlaczego nie powstał w wolnej Polsce film „Człowiek z pluszu”. W bezkompromisowy, chwilami knajacki sposób wytykali „architektem zbiorowej wyobraźni”, przedstawicielom „mistrzowskiego pokolenia”, nie chcieli pokazywać brzydkiej strony rzeczywistości. Co więcej, przeszkadzali w powstawaniu takich filmów, stali się beneficjentami kapitalizmu. Skoro nie powstał film Wajdy o wykluczonych, niech żyje z życia dobrze sytuowanej rodziny z młodym finansystą, powiedzmy Leszka Balceronczyka. W finale spektaklu „Był sobie Andrzej, Andrzej i Andrzej” aktorzy przerwali w pluszowe ubranka misiów i tulałków odgrywają zapętlone w niesamowitość sceny z sitcomu. Według Strzępki i Demirskiego polscy twórcy, zamiast tworzyć sztukę zaangażowaną, wybrali tę, którą zagłaskiwania społeczeństwa na śmierć.

Dlatego młodzi reżyserzy muszą być w wątpliwość naiwny odbiór dzieł, do których w dorosłości lepiej nie wracać.

Teatr zawsze potrafił zrobić z byle jakiej literatury wielką sztukę. Nobilitował gatunek szemrane. Ciągnął profanum za uszy do sacrum. Ten akt ma głęboki sens, bo zdarza się Wiktora Rubina: – Wysokobudżetowe filmy rozrywkowe i wszelkie seriale czy show teatralne to sprytnie narzędzie władzy. Mają piąć myślenie i legitymizować zastawiony pokład. Hitler miał Leni Riefenstahl, kapitalizm ma Warner Bros.

To, co polski teatr robi dziś z serialami i filmami, jest niczym innym jak praniem popkulturowych mitów, wyprzedaniem ich zbiorowej pamięci, szukaniem nowego tonu. Skoro nic innego nie możemy powiedzieć jeszcze raz kłamstwo, które łączy. I zabijmy je. Grzebanie w masowej wyobraźni nie może być przyjemne, nawet jeśli zaczyna się obiecująco. To nieprawda, że my tylko te piosenki, które już znamy. Najbardziej lubimy te piosenki, które zaczynamy znać, a kończą nieoczekiwanie.

Jadziem z tą elektryką

Mamy pierwszy hit 2011 roku. I to tylko dlatego, że warszawski cwaniak elegancko odnalazł się w komputerowo oporzędzonym bicie

MARCIN FLINT

Jacek Jędrasik zegnał się ze swą poprzednią agencją reklamową w takt dźwięków Kapeli Czerniakowskiej. Sylwester Kozera, ostatni z oryginalnego składu słynnego zespołu, zaśpiewał mu wówczas „Nie masz cwaniaka nad warszawiaka”. Nawiązał do Projektu Warszawiak, niszowej kapeli, którą Jędrasik założył przed paroma laty z aktorem Łukaszem Garlickim i specjalistą od dźwięku Szymonem Orfinem. Dziś Jędrasik, copywriter na pełnym etacie i artysta po godzinach, wciąż uważa się za reprezentanta niszy, ale zaraz jedzie na sesję dla brytyjskiego „Guardiana”. Na ekranie telefonu Orfina zaś w ciągu jednego dnia wyświetliło się 60 nieodebranych połączeń, w tym zapewne wiele od potencjalnych wydawców, a Projekt Warszawiak pełni funkcję ambasadora stołecznej Stolicy Kultury 2016.

Surowy bit, mocny tekst

„Cwaniak” długo czekał na swój moment. – Cztery lata temu zrobiliśmy bit, który wydał nam się suchy i surowy. Wiedzieliśmy, że potrzebujemy mocnego tekstu. A że od liceum słuchaliśmy warszawskich numerów granych przez Orkiestrę z Chmielnej i inne kapele, przypomniał nam się właśnie ten. Połączenie okazało się energetyczne, zapadające w świadomość odbiorcy. Zrozumieliśmy, że pomysł na stare kawałki w nowych aranżacjach można rozszerzyć – opowiada „Przekroju” Jędrasik.

Niewiele jednak usłyszałyby o tym, gdyby nie wideoklip przygotowany przez Krzysztofa Skoniecznego i Marcina Starzeckiego z Łukaszem Garlickim w bardzo wielu rolach – od postawiającego do robotnika. W serwisie YouTube ma już ponad milion wyświetleń. Dla porównania: „W pięciu smakach”, singel z „Grandy” Moniki Brodki, ma ich dziesięciokrotnie mniej.

Oprócz sztandarowego hitu Projekt Warszawiak może pochwalić się jeszcze kilkoma numerami. „Tango apaszowskie” przywołał na myśl trip-hop. „Jadziem, panie Zielonka” może skojarzyć się ze ścieżką dźwiękową



Polacy pokochali „Cwaniaka”. Teledysk na YouTube obejrzało milion osób (Szymon Orfin, Łukasz Garlicki)

„Rejsu”. W „Stachu” melodie wycierają zza przesterów, a na pierwszym planie błyszczą gościnnie występująca wokalistka Anna Sroka. Najciekawiej jednak wypada „Ząbkowski”, kompozycja autorska, gęsta, ciężka, bardziej rapowana niż śpiewana, zainspirowana autentycznymi praskimi przeżyciami. Taki Rick Rubin po polsku z samplem grupy Morphine.

Piosenka o ich Warszawie

Warszawski folklor przegląda się dziś z wdziękiem w avant-popie Płynów, rocku Komet, hip-hopie Eldoki czy literackim reggae Pablopavo. Przedsięwzięcie nawet dwie muzyczne wyprawy przez dzieje miasta – niefortunna Marcina Przybylskiego i bardziej udana pod wodzą fenomenalnej Karoliny Cichej. W radiu wciąż słyszymy Szwagrakolaskę. A jednak to Projekt Warszawiak jest dziś na ustach wszystkich.

Miał łatwiej za sprawą Garlickiego, bo nie każda formacja może się pochwalić aktorem z serialową popularnością, ale z rolami u Gadzi na myśl trip-hop. „Jadziem, panie Zielonka” może skojarzyć się ze ścieżką dźwiękową

–hoped projektach Działoszyn Band (razem z muzykami Łąki Łan) oraz Kobyły z Saturna, jego popularność nie wyprowadziła grup z głębokiego undergroundu. Tymczasem „Nie ma cwaniaka na warszawiaka” nie sposób zignorować, bo wpisuje się w wieczne żywą dyskusję na temat „Warszawa kontra reszta świata”. Kto chce, zobaczy największą polską wieś, gdzie miłość kupuje się w galerii handlowej, obiad w kebabowni, a za patriotów uchodzą rośli łysi młodzieńcy. Inny dostrzeże kosmopolityczną, żywą metropolię, która przyjmie każdego i ma to, czego brakuje wszystkim innym miastom nad Wisłą – dystans do siebie.

Lada moment przed Projektem ważna próba – jego twórcy muszą wypracować formułę prezentowania się na żywo i ruszyć z koncertami. Konfrontacja z publicznością pokaże, co zespół potrafi, i przygotowuje grunt pod oficjalną premierę minialbumu. To ważne, bo rodzimy słuchacz szybko się ekscytuje, ale jeszcze szybciej zapomina, a zazdrośni tradycjonalisci już ostrzą sobie zęby na Warszawiaka. ●



Z WOJCIECHEM
TOCHMANEM
ROZMAWIA
KATARZYNA
JANOWSKA

Wojciech Tochman

Ma 42 lata, jest reporterem, specjalizuje się w tematyce społecznej i wojennej. Już w trakcie studiów dziennikarskich na Uniwersytecie Warszawskim (dyplom otrzymał w 1993 roku) zaczął pisać do „Gazety Wyborczej”. Do pracy przyjmowała go sama Hanna Krall. W 2000 roku ukazał się debiutancki zbiór jego reportaży „Schodów się nie pali”, za który dostał pierwszą nominację do nagrody Nike. Inne jego książki to „Pogranicze”, „Jakbyś kamień jadła”, „Córka” i „Wściekły pies”. Tochman pracował też w TVP, w latach 1996–2002 był gospodarzem autorskiego programu „Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie” poświęconego osobom zaginionym. W radiu TOK FM współprowadził reportażową audycję „Wrzenie świata”. Tak samo nazywa się kawiarnia (i miejsce spotkań wszystkich zainteresowanych reportażem), którą z Mariuszem Szczygłem i Pawłem Goźlińskim otworzył we wrześniu w Warszawie.



Pojednania nie będzie

Ci, którzy trzymali w ręku maczetę, wierzyli, że czyszcą świat – mówi **WOJCIECH TOCHMAN**, wybitny reporter, autor książki „Dzisiaj narysujemy śmierć” o ludobójstwie w Rwandzie

Kiedy kupowałam twoją najnowszą książkę „Dzisiaj narysujemy śmierć”, młody sprzedawca spojrzał na mnie i zapytał z troską: „To dla pani? Ostrzegam, opisy są hardcore’owe”. Albo ja wyglądam na czytelniczkę co najwyżej modowych żurnali, albo ty przesadziłeś z okrucieństwem. – Napisałem książkę o nas, ludziach. To banalne.

– Zło jest banalne. I powtarzanie tego w kółko to banał. Ale czy dlatego zło już nie musimy się przyglądać? Czy możemy sobie odpuścić, machnąć ręką: niech sobie będzie? Napisałem książkę o ludziach, którzy 16 lat temu doświadczyli z rąk innych ludzi najgorszego i niewybaczalnego. Działo się to w Rwandzie, ale mogło się zdarzyć gdziekolwiek indziej. Teraz ty chcesz o tym rozmawiać. To dobrze. Bo zgoda na ciszę wokół zła, które człowiek wyrządza drugiemu, jest zgodą na to, co zrobili kaci. Bo o co chodzi ludobójcom? Przecież nie tylko o zabicie, o fizyczne unicestwienie grupy etnicznej czy religijnej, lecz także o wymazanie ofiar z naszej pamięci. Dlatego w Rwandzie mordercy niszczyli dowody osobiste i spisy ludności Tutsi, dlatego w Srebrenicy serbscy żołnierze burzyli meczety, dlatego naziści palili synagogi. Wymazać, zetrzeć, tak by po unicestwionych nie pozostał żaden ślad. Kat żąda od nas ciszy.

Z twojej książki można się dowiedzieć, że jeszcze sto lat temu trzy plemiona: Tutsi, Hutu, Twa, żyły w zgodzie. Od czego zaczęła się wzajemna niechęć?

– Historycy i antropolodzy wciąż się spierają, czy to plemiona, czy raczej kasty, warstwy społeczne w ramach jednego narodu. Wszyscy w Rwandzie mówią jednym językiem, w to samo wierzą, tak samo budują domy, jedzą, świętują, bawią się. Hutu to chłopci, Tutsi – arystokraci, właściciele stad bydła, a Twa – jednoprocentowa mniejszość – to posługacze, wypalacze węgla drzewnego. Podział, który doprowadził do apokalipsy w 1994 roku, w dużej mierze jest zasługą kolonizatorów, którzy do Rwandy zawitali sto lat przed ludobójstwem. Biali podkreślali różnice w cechach fizycznych i osobowościowych poszczególnych grup. Tutsi mieli być inteligentni, delikatni, wysocy, szczupli, jaśni. Nie biali, ale i nie czarni. Hutu – tępi, mocni, krępi, czarni jak noc. To był czysty rasizm. I dzisiaj jednak wielu tak patrzy na mieszkańców Rwandy. Często oni sami wzajemnie tak siebie widzą. Belgijscy administratorzy nie chcieli mieć wątpliwości, kto jest kim, więc na początku lat 30. ubiegłego wieku wprowadzili dowody osobiste, w których wielkimi literami każdy miał wpisane Tutsi, Hutu lub Twa. W Rwandzie uważa się, że to był początek tego, co dokonało się kilkadziesiąt lat później. Bo dokumenty

w tej formie obowiązywały do 1994 roku. Kto miał dobre papiery, ten miał prawo do życia. Na Tutsi czekała maczeta.

Uderzyło mnie, że powodem nienawiści była też uroda. Kobiety Tutsi były nieosiągalnym obiektem pożądania mężczyzn Hutu.

Nieosiągalnym do czasu rzezi.

– Rzeczywiście panuje tam przekonanie, czasem uzasadnione, że wśród Tutsi są ludzie o nieprzeciętnej urodzie. Posągowe kobiety o niezbyt ciemnej karnacji, poruszające się jak modelki na wybiegu, pięknie ubrane. W czasie ludobójstwa cierpiały one szczególnie mężczyźni. Przystojni są również mężczyźni. Jedną z moich bohaterek mówi o jakimś Tutsi: „Był piękny, jak piękny potrafi być tylko Rwandyjczyk”. To budziło nienawiść wśród wielu Hutu, którzy ulegali stereotypom i nie dostrzegali urody wśród swoich. A przecież oni wiedzą najlepiej, że przez kilkadziesiąt lat zawierano tam mieszane małżeństwa, więc i uroda im się wymieszała. Tam nie ma już czystych Tutsi albo czystych Hutu. Jedna matka może mieć dzieci Tutsi i Hutu, jeśli ojcem jednego dziecka był Tutsi, a drugiego Hutu. Bo tę cholerną przynależność etniczną dziedziczy się tam po ojcu. Tak ludzie kiedyś się umówili i tak jest do dziś. Zdarzało się więc w czasie ludobójstwa, że kobieta Hutu oszalała z nienawiści do Tutsi oddawała mordercom swoje jedno dziecko, a reszta jego rodzeństwa patrzyła na śmierć brata lub siostry. Wydawało się, że po Auschwitz już niczego gorszego człowiek nie wymyśli. Jednak w kwestii okrucieństwa jako gatunek mamy niczym nieskrępowaną wyobraźnię. Ale lubimy myśleć, że okrutni ludzie są daleko, w Afryce, dzicy. Jakbyśmy zapomnieli, gdzie dokonano największego ludobójstwa. Nie jesteśmy mniej dzicy niż Afrykanie. W Polsce trwa debata o udziale Polaków w Holocaulście. O tym, że większość naszych dziadków nie zrobiła nic, by ocalić choć jednego Żyda. Można próbować ich zrozumieć, strach, który czuli, lecz to biernie przyglądanie się złu było złem. Niektórzy Polacy byli jednak gorliwi – wskazywaliśmy Niemcom ukrywających się Żydów. Zdarzało się, że urządzaliśmy na nich oblawy lub wyrzucaliśmy ich z kryjówek, kiedy kończyły im się pieniądze. Jedwabne nie było jedynym miejscem polskiej hańby. W jednej wsi na Podlasiu Polacy zabili maczugami 20 młodych Żydów. Taką właśnie maczugą, choć częściej maczetą, jeden z moich rozmówców zabił dwoje dzieci i ich rodziców. →

→ **Boję się odnoszenia każdej tragedii do Holocaustu. Zawsze staram się pamiętać, że w każdym czasie byli ludzie przywoici. Moze zbyt obsesyjnie szukasz w ludziach zła?**

- Rwanda to nie „każda tragedia”. To było jedno z największych ludobójstw w historii ludzkości. W „Dzisiaj narysujemy śmierć” piszę i o tych przywoitych. Cały rozdział poświęcam kobietom Sprawiedliwym.

Podczas rzezi zgwałcona została niemal każda kobieta Tutsi. Czytając tę książkę, czułam, że przemoc w Rwandzie była podszyta seksualnością, erotycznym napięciem, które doprowadzało ludzi do niewyobrażalnego bestialstwa.

- Piszę, że oni tam żyją w kazirodczym uścisku, bez możliwości uwolnienia się. Kraj małżeński, a ludzi dużo. Jest ciasno, blisko. Intensywna bliskość między ludźmi często wyraża się przez seks. Nie ma bliższej relacji.

No, może bliskość matki i dziecka jest równie silna. Ale nie o tym mówimy. Tak, seks w Rwandzie wibruje. To się czuje. Dlaczego? Bo taka jest natura człowieka? Jeszcze nieposkromiona przez Kościół, który działa tam niewiele ponad sto lat? W odróżnieniu od innych ludobójstw to w Rwandzie miało charakter sąsiedzki. Zabójcy i ofiary znali się, mieszkali drzwiami w drzwi. Widowali się codziennie, widzieli, jak rosną ich dzieci. Sposób zabijania zakładał bliskość kata i ofiary.

Żeby ściąć maczetą, trzeba podejść do człowieka. Trzeba go dotknąć, spojrzeć mu w oczy. Wyobrażam sobie ten moment jako stan wielkiego uniesienia. Chyba nie ścina się komuś głowy bez emocji. Jest w tym perwersyjna bliskość: czujesz oddech konającej ofiary, jej krew cieknie po twoim ciele, osiągasz spełnienie. Blisko, ciało przy ciele. Widać nienawiść i miłość to równie silne uczucia. Patrz, znowu banał!

Mało znany jest wątek polskich księży i żołnierzy obecnych w Rwandzie w 1994 roku.

Do rzezi doszło między innymi w polskiej parafii w Kigali. Polscy zakonnicy byli świadkami mordu. Jeden z nich mówi, że to zachodnia cywilizacja przyniosła śmierć do Rwandy. Ma rację?

- Plecie bzdury. Bronię w ten sposób siebie i swojego Kościoła, który jest uwikłany w to ludobójstwo. Pytania o to, co stało się wtedy na placu przed ich świątynią, misjonarz uważa za atak na Kościół. Ten lęk polskiego księdza przykuł moją uwagę: czego on tak się boi? **No właśnie, przed czym tak bardzo broni się twój rozmówca?**

- Przed prawdą. W parafii Gikondo w Kigali polscy pallotyni biernie patrzyli na zabijanie swoich parafian, a zaraz potem zwiłali za granicę. Wcześniej jednak mieli odwagę wyjść z plebanii i pójść do kościoła obleżonego przez morderców. Po co? Po Najświętszy Sakrament! Bo w tym kawałku ciasta z mąki i wody widzieli Chrystusa, a nie w Jego wyznawcach czekających na ścięcie. Ocalili chleb. Na obronę życia zabrakło im odwagi.

A ty jak byś się zachował? Czy ty byś nie uciekł?

- Mierz się z tym pytaniem w książce. Uciekłbym. Skorzystałbym z przywileju białej skóry i wsiadł do pierwszego samolotu. Stchórzyłbym, czyli postąpiłbym źle. Bo zostawienie tych ludzi w największej potrzebie było złem. Dziś warto o tym rozmawiać, a nie wypytywać mnie: kto za panem stoi? Kto pana finansuje? Mord, którego dokonano 9 kwietnia 1994 roku

„Mam taką fantazję, że papież leci do Kigali. Całuje tę ziemię mokrą od krwi i woła: zatrzymajcie się! Na zatrzymanie zbrodni nigdy nie jest za późno!

WOJCIECH TOCHMAN

przed kościołem w Gikondo, nie jest niczym prywatną sprawą. Mam prawo i chcę o tę sprawę pytać. Mam prawo się dziwić. Nie temu, że misjonarze uciekli. I nie temu, że wrócili zaraz po tym, jak schowano maczety, zanim ciała zdążyły ostygnąć. Chodzi o to, jak oni wrócili, jak triumfują. Jakby nic się nie stało.

Duchowni są uwikłani w ludobójstwo nie tylko jako bierni świadkowie. Księża Tutsi ginęli. Habit nikogo nie ocalił. Również habit zakonnic przed niczym nie chronił. Tylko bycie Hutu gwarantowało życie. Mimo to niektórzy księża Hutu bronili wiernych Tutsi i razem z nimi ginęli. Byli i tacy duchowni, którzy wskazywali miejsca, gdzie ukrywały się ofiary. I tacy, którzy gwałcili i mordowali. Kościół do dzisiaj nie skonfrontował się z tym grzechem. Jan Paweł II oświadczył, że Kościół nie jest odpowiedzialny za ludobójstwo w Rwandzie. Przyznał, że „wszyscy członkowie Kościoła, którzy zgrzeszyli w okresie ludobójstwa, muszą odważnie ponieść konsekwencje czynów, które popełnili przeciwko Bogu i przeciwko bliźniemu”. Szkoda, że nie możemy go dzisiaj zapytać, co wiedział o ewaku-

acji z Rwandy duchownych oskarżonych o ludobójstwo i dlaczego Watykan sprzeciwiał ich ekstradycji. Zadałem te pytania biskupowi Henrykowi Hoserowi, który dziś urząd w diecezji na warszawskiej Pradze, a wcześniej przez 21 lat był w Rwandzie. Nie wyraził zgody na publikację swoich odpowiedzi.

Uważasz, że to, co wydarzyło się w Rwandzie to wina Kościoła. Chyba posuwasz się za daleko.

- Kościół ponosi część winy. Arcybiskup, Hutu, był członkiem komitetu centralnego partii, która doprowadziła do ludobójstwa. Był najbliższym doradcą prezydenta Hutu, który przez lata prześladował Tutsi i imponował z Chin setki tysięcy maczet w jasnym słonym celu. Arcybiskup o tym nie wiedział. A Jan Paweł II już po wszystkim nie wiedział o oskarżeniu o ludobójstwo duchowni uważają się w europejskich parafiach?

Zaraz, zaraz... Oskarżasz Kościół, księży, papieża. Co mogli zrobić? Co papież mógł zrobić?

- Wyraźne ostrzeżenia ONZ wysyłała z Rwandy kilka tygodni przed ludobójstwem. Zamiast jednak, że Kościół, tak mocny w Rwandzie nie był sprawną służbą wywiadowczą i papież tkwił w nieświadomości aż do początku zabójstwa. Jednak kiedy zaczęto mordować, natychmiast się o tym dowiedział. To oficjalnie wiadomo. I co? Coś powiedział? Powiedział. Ale go tam nie usłyszał. Widać za cicho mówił. A ja mam taką fantazję, że on wtedy wsiadł do samolotu i leci do Kigali. Wszyscy go oskarżają, mówią mu: Ojczy Świety, to niebezpieczne! On jednak jest dzielny i leci. Całuje tę ziemię mokrą od krwi, wstaje i woła: zatrzymajcie się! Mógł tupnąć tym swoim czerwonym butem i powiedzieć jak Tadeusz Mazowiecki, kiedy wygłaszał sprawozdanie ze zbrodni w Bośni: panowie! Na zatrzymanie zbrodni nigdy nie jest za późno! Co mogłoby się wydarzyć na lotnisku w Kigali? Scenariusz jest dwa: papież mógł zostać usłyszany i wysłuchany. Miał tam ogromny autorytet. Większość katolików w Rwandzie to Hutu. Może rodzina Leonarda, bohatera mojej opowieści, by żyli. Może te dzieci, których niepokornych ciała oglądałem w szkole w Murambi, nie wchodziłyby w dorosłość. I scenariusz drugi: mogli papieża zabić. Czy stawka nie była w tego ryzyka? Dlaczego ten święty człowiek nie zrobił?

Albo zginełby papież i milion Tutsi. Papież głową Kościoła i głową państwa. Taki człowiek nie wsiada do samolotu i nie mówi ot tak po prostu: proszę mnie zawieźć do Rwandy w sam środek rzezi.

- No właśnie, taki człowiek nie mówi ot tak po prostu: proszę mnie zawieźć w sam środek rzezi. Szkoda. Zginęliby papież i milion Tutsi? Czyli scenariusz numer dwa. Równie prawdopodobny jak pierwszy. Jan Paweł II nie zaryzykował.

Mineło 16 lat od ludobójstwa i pod oficjalnie ogłoszonym pojednaniem czai się strach.

- Oni zarażają nim następne pokolenia, rodzice przekazują dzieciom swoje lęki przed sąsiadami. Trudno budować pojednanie, kiedy tylko jedna część społeczeństwa, ta mniejsza, która jest przy władzy, może oficjalnie opłakiwać swoich zamordowanych. Mówię o Tutsi. Ale trzeba pamiętać, że ludobójstwo było jedynie etapem wojny. Tutsi, którzy uciekli z kraju przed prześladowaniami pod koniec lat 50., wrócili do Rwandy na początku lat 90. Przeszli z Ugandy, gdzie wcześniej zbudowali silną armię. W trakcie zwycięskiego marszu przez kraj dokonywali zbrodni na Hutu. Ale do Kigali nie dotarli. Powstrzymało ich rwandyjskie wojsko dzięki pomocy Francji. Zbrodni na Hutu dokonywano także po ludobójstwie w 1994 roku, kiedy dwa miliony wyszły z Rwandy w obawie przed odwetem. Uchodźcy Hutu, wśród których ukryli się ludobójcy, skierowali się głównie do Konga. Tutsi ruszyli za nimi i wpełnili ich z powrotem do kraju. Chcieli się o tym dowiedzieć. To oficjalnie wiadomo. I co? Coś powiedział? Powiedział. Ale go tam nie usłyszał. Widać za cicho mówił. A ja mam taką fantazję, że on wtedy wsiadł do samolotu i leci do Kigali. Wszyscy go oskarżają, mówią mu: Ojczy Świety, to niebezpieczne! On jednak jest dzielny i leci. Całuje tę ziemię mokrą od krwi, wstaje i woła: zatrzymajcie się! Mógł tupnąć tym swoim czerwonym butem i powiedzieć jak Tadeusz Mazowiecki, kiedy wygłaszał sprawozdanie ze zbrodni w Bośni: panowie! Na zatrzymanie zbrodni nigdy nie jest za późno! Co mogłoby się wydarzyć na lotnisku w Kigali? Scenariusz jest dwa: papież mógł zostać usłyszany i wysłuchany. Miał tam ogromny autorytet. Większość katolików w Rwandzie to Hutu. Może rodzina Leonarda, bohatera mojej opowieści, by żyli. Może te dzieci, których niepokornych ciała oglądałem w szkole w Murambi, nie wchodziłyby w dorosłość. I scenariusz drugi: mogli papieża zabić. Czy stawka nie była w tego ryzyka? Dlaczego ten święty człowiek nie zrobił?

Czy wybaczenie jest możliwe?

- Pojednanie po tym, co się stało, to powrót do zgodnego współżycia w ramach jednej wspólnoty. Wybaczenie dotyczy relacji indywidualnych. Między konkretnym katkiem a konkretną ofiarą. Chyba nie jest możliwe. Bo jak ocalony ma wybaczyć komuś, kto zmuszał go do gwałcenia własnej matki i jednocześnie obcinał jej głowę? Oczekiwanie od syna tej kobiety, by przebaczył mordercy, wydaje mi się nieludzkie. Dlatego nikogo w Rwandzie o przebaczenie nie śmiałem zapytać.

W książce dajesz głos katom. Zrozumiałeś dzięki temu, skąd bierze się zło?

- Ono jest w nas. Ludobójstwo to długi proces, który to zło ma w nas obudzić i zdetonować.

Ciężka fizyczna robota.

- Żeby zabić milion, trzeba mieć przynajmniej ze sto tysięcy chętnych do zabijania. Trudno w jeden dzień przekonać tyle osób: jutro będziecie mordercami. Ludobójstwo nie dzieje

się spontanicznie. Ale kiedy przez lata umiejętnie się nad tym pracuje - w przypadku Rwandy to było kilka dziesięcioleci - efekt jest gwarantowany. Szaleńcy, którzy dochodzą do władzy, szybko się tego uczą. Pierwszy etap - język nienawiści, potem dehumanizacja przyszłych ofiar. Tutsi nazywano karaluchami, Żydów - wszami. A więc w tych, których zamierza się unicestwić, zwykli ludzie mają dostrzec szkodnika. On zagraża tobie, twoim dzieciom, twojemu dobytкови. Bois się go. Ale możesz go wytepić, wysypać trutkę, zagazować, zasypać wapnem, odkazić. Jeden z morderców mówi mi: wierzyliśmy, że robimy dobrze. Ci, którzy trzymają w ręku maczetę albo sypią cyklon B, wierzą, że czyszczą świat.

Piszę wywiad z tobą, słuchając „Abbey Road” The Beatles, i zastanawiam się,

po co mi ta książka, ta pieśń Hioba rozpisana na wiele głosów? To, że człowiek może być bestią, wiem z książek Krall, Grynberga, Hatzfelda, z twoich o Bośni i wielu innych. Co ma dla mnie wynikać z książki, w której nie ma cienia nadziei, w której nieszczęśliwi są wszyscy: ci, którzy przeżyli, ofiary, kaci, świadkowie? Matki nie kochają dzieci, bo są owocem gwałtu. Dzieci nie są w stanie wspominać matek, na wybaczenie nie ma szans. Co mam z tym zrobić?

- Też jestem bezradny. Też bym się opierał czytaniu tego. Ale świadomość, że ta książka istnieje, nie dawałaby mi spokoju. Nie żartuję: żeby ktoś nie kazał mi kiedyś czegoś takiego czytać, napisałem to sobie sam.

A ja muszę to znieść prywatnie, w swoim domu. Pytam: po co?

- Sama sobie odpowiedz. Mam chować głowę w piasek i chwalić katów czy spojrzeć zabitym ofiarom w twarz? A kiedy odważysz się zrobić to drugie, możesz, będąc na przykład nauczycielką, powiedzieć dzieciom, dlaczego mowa nienawiści jest nie tylko niemoralna, ale i niebezpieczna. Będąc bibliotekarką, możesz zorganizować spotkanie o książkach, które o tym mówią. Ksiądz może o tym powiedzieć w kazaniu. Chrześcijanin czy muzułmanin, jeśli wierzy w siłę modlitwy, może pomodlić się za ofiary. Za świadków, za sprawców. Stolarz, kucharka czy lekarz mogą pójść do Ochojskiej i zapytać, na co się mogą przydać. W ostateczności można dać pieniądze, żeby profesjonalna organizacja pozarządowa coś sensownego z nimi zrobiła, ale to najłatwiejsza droga. Każdy może się o zabijanych upomnieć.

Chciałbym żyć w kraju, w którym ludzie pytają swojego posła, premiera, biskupa nie o krzyż przed pałacem, lecz o innych ludzi, którzy gdzieś na świecie cierpią: co możemy zrobić w sprawie tej czy tamtej „Rwandy”? Co może

zrobić nasz kraj, nasza Unia Europejska, nasz Kościół? Na powstrzymanie zbrodni nigdy nie jest za późno.

Zadajesz sobie pytanie, gdzie jest granica między mówieniem prawdy a epatowaniem cierpieniem? Mam wrażenie, że tym razem ją przekroczyłeś. Pisziesz, że chłopców zmuszano do gwałcenia własnych matek, a w tym czasie matce ścinano głowę. Dlaczego uznałeś, że to jeszcze można opisać?

- A jakie miałem prawo uznać, że to jest niedopuszczalne, skoro się zdarzyło? Dlaczego proste cięcie maczetą można opisać, a to, o czym powiedziałaś, już nie? Czy to będzie w porządku wobec ofiary, która zginęła w tak makabryczny sposób? Nie opowiem o jej śmierci, bo dla czytelniczki, która akurat słucha The Beatles, to może być zbyt odrażające? To wszystko się wydarzyło. Wszystko, do czego człowiek jest zdolny, wszystko, co zrobił, powinno zostać opisane. Odrzucam argument, że coś jest zbyt straszne, ponad ludzką miarę. To zrobili ludzie. Ale staram się pomóc moim czytelnikom. To, co dostają od moich rozmówców w Rwandzie, surowe i nieprzetworzone, ubieram w formę. Forma opakowuje, łagodzi. Bez formy byłoby ci jeszcze trudniej.

Myślisz, że swoimi książkami coś zmienisz?

- Moja wiara w tę sprawę jest umiarkowana, nie jestem naiwny. Ale chciałbym, żeby mój czytelnik zastanowił się, czy mam rację, kiedy mówię: wszyscy jesteśmy uwikłani. Ze Rwandy to nasza sprawa.

Ale w jakim sensie to jest nasza sprawa?

Co ja mogę zrobić? Nie przywrócę tym ludziom życia, nie mogłam zatrzymać rzezi, jest mi przykro, ale im to w niczym nie pomaga.

- W 1995 roku, latem, mniej więcej w czasie mordu w Srebrenicy, opublikowałem krótki reportaż w „Gazecie Wyborczej” pod tytułem „Mydło”. Opowiadał o tym, że na Jarmarku Dominikańskim w Gdańsku facet wystawił na sprzedaż kostkę mydła i napisał: mydło z zamordowanych w obozie w Stutthofie, głównie z Żydów. Kosztowało dwadzieścia parę złotych. Przez kilka dni nikt tego mydła nie kupił, ale też nikt nie zwrócił uwagi temu człowiekowi, że tak nie wolno robić. Fakt, że to mydło wcale nie było z ludzi, nie ma tutaj większego znaczenia. Kiedy wiesz, co się stało w Rwandzie, i rozumiesz to, nie przejdiesz obojętnie obok mydła z Żydów, które ktoś wystawia na sprzedaż.



Chilli ZET.
Radio w pogoni
za kulturą
www.chillizet.pl

Pracujące dziewczyny

Co łączy Cher, Christinę Aguilera, Lady GaGę i prawie 50-letnią Betsy Boudoir? Każda z nich, choć na inny sposób, jest artystką burleski, która wraca w wielkim stylu

TEKST OLA SALWA
ZDJĘCIA KATHARINA BOSSE

Niezbędne są pióra. Dużo piór, najlepiej zebranych w wachlarz. Do tego gorsety, bielizna wyszywana cekinami i suknie z satyny lub brokatu. Buty? Koniecznie na wysokich obcasach. Akcesoria dowolne: gigantyczny kieliszek szampa, przezroczysta wanna, atrapa windy, parasolka. Co jest zbędne? Doskonałość. Nie musisz mieć ani wybitnej urody, ani sylwetki. Wystarczą dobre chęci i odwaga, by rozebrać się na oczach obcych ludzi. – Istota burleski to wierność – zarówno jej duchowi, jak i indywidualności kobiety, która ją uprawia – nieco pompatycznie przekonuje Dita von Teese. W swoich występach 39-letnia amerykańska gwiazda burleski łączy skecze, taniec, śpiew i striptiz. Popularność tej mieszanki stylów i sztuk wywodzi się z XVIII-wiecznej Anglii rośnie z każdym miesiącem. W ciągu tygodnia w Londynie, Nowym Jorku czy Las Vegas odbywa się kilkanaście przedstawień, organizowane są przeglądy i festiwale. W lutym w polskich kinach pojawi się musical „Burleska” z Christiną Aguilera i Cher. Na szczytach list przebojów króluje była artystka burleskowa (oczywiście Lady GaGa), która wciąż →



The World Famous Pontani Sisters: Angie, Tara i Helen. Wszystkie zdjęcia pochodzą z książki Kathariny Bosse „Nowa burleska”

For: Katharina Bosse/Laif/FEK Pictures

→ nawiązuje do tej estetyki - najpierw dużo i bogato, a potem skąpo.

Czy to groteska?

Typowy występ trwa kilka minut. Artystka wychodzi na scenę w podkreślającym kobiece kształty kostiumie, często wystylizowana na diwę kina, na przykład Betty Grable, Ava Gardner lub nieśmiertelną Marilyn Monroe. Numer ma swoją minifabulę: dama rozbiera się do snu przy asyście pokojówek (von Teese w „Crazy Horse”), kobieta uwięziona w windzie w panice rozrywa ubranie na sobie (Betsy Boudoir), piękność wylania się z ogromnej muszli (Evangeline the Oyster Girl). Chodzi o to, by olśnić, rozbawić, a przede wszystkim zaostrzyć apetyt publiczności, która czeka na kulminację show, czyli negliz. Na ogół niepehny, bo intymne miejsca przykrywają naklejki (tassle) lub stringi. To element kuszenia (angielskie *tease*), a nie striptiz jest tu kluczowy. Budowanie napięcia i drażnienie to jeden z najważniejszych atutów burleski, bo w czasach, gdy nawet pornografia jest na wyciągnięcie ręki, nagość stała się nudna.

Inny powód popularności? Oglądanie show nie jest zakazane ani nie wiąże się ze wstydem, w odróżnieniu od wyprawy do klubu z tańcem na rurze. Występy odbywają się w miejscach, w których w cenie biletu widz dostaje też kieliszek szampana oraz kolację. No i może zabrać ze sobą żonę.

Spór o to, czy show jest anty- czy profeministyczny, to najbardziej kontrowersyjny element burleski. I do tego nierozstrzygalny. Katharina Bosse, autorka książki „Nowa burleska”, przekonuje, że oglądanie występów ją wzbogaca. – Nie czuję, by kobiety na scenie mi zagrażały lub były moimi rywalkami. To rodzaj niewierającego erotyzmu.

Inni, czyli przeciwnicy - jak choćby dziennikarka „Daily Mail”, która opublikowała na stronach dziennika zjadliwy reportaż - nazywają burleskę groteskową i uważają, że kostiumy oraz puder są przykrywką →

Zasada burleski jest prosta: najpierw dużo i bogato, a potem skąpo. Do tego kieliszek szampana oraz kolacja. No i można zabrać żonę



Alice in New Orleans (czyli „Alicja w Nowym Orleanie”) pozuje na tle miasteczka w Luizjanie. Bosse, zestawiając burleskę z prowincją, chciała pokazać, jak dzięki zjawiskowym artystkom amerykańska ulica nabiera teatralnej niezwykłości i blasku

Fot. Katharina Bosse/Laif/EK Pictures



Dirty Martini (nazwana tak na cześć drinka na bazie wódki) prezentuje swoje wdzięki podczas burleskowego konkursu piękności Miss Exotic World. Koronę zdobyła w 2004 roku



Z lewej: **Queen of Hearts**, czyli Królowa Kier łączą burleskę i sztuczki cyrkowe. Na dole: **Dixie Evans** zwana dawniej Marilyn Monroe burleski. Dziś prowadzi Exotic World Burlesque Museum, na tle którego dla nas pozuje



Fot. Katharina Bosse/Laif/EK Pictures

→ pozwalającą żonatym facetom w średnim wieku bez poczucia winy ślinić się na widok nagich ud i pośladków.

W epoce wiktoriańskiej burleska była mieszczańską wersją zarezerwowanej dla arystokracji kultury wysokiej, czyli baletu i dramatu opery. Na scenie artyści parodiowali modne przedstawienia czy dramaty Szekspira. Do Ameryki rozrywka ta dotarła w trochę innej formie. Przywiozły ją ze sobą Brytyjskie Blondynki, które na scenie grywały męskie role, a ich przedstawienia miały zabarwienie erotyczne. W latach 20. XX wieku narodziła się nowa odmiana burleski, czyli ta zakończona striptizem. Ponoć jedna z artystek spontanicznie zaczęła się rozbierać, widownia oszalała, a właściciele teatru od razu podchwycili pomysł. Erotyczny taniec i golizna okazały się jedyną przewagą, jaką obskurne przybytki Dolnego Manhattanu miały nad teatrami Broadwayu oraz kinem. Co się podobało gawiedzi przygnębionej prohibicją, a następnie wielkim kryzysem, irytowało burmistrza Nowego Jorku Fiorella La Guardia, który zorganizował naloty na lokale braci Minskych oraz ich konkurentów. Tancerki często wychodziły w kajdanach, które wcale nie były rekwizytami w show. Do końca lat 30. prawnicy

wynajdywali luki prawne, by chronić teatry przed zamknięciem, ale potem musieli ustąpić. W kolejnych dekadach burleska stała się rozrywką niszową. Wyobraźnię rozpałały hollywoodzkie seksbomby oraz piękności łaszące się od 1953 roku ze stron „Playboya”. Gdy wkrótce dostępna stała się też ostra pornografia, dziewczyny rozbierające się z błyszczących sukienek straciły atuty.

Dziewczyna nie z sąsiedztwa

W połowie lat 90. burleska zaczęła odżywać. Dita von Teese, wówczas początkująca striptizerka, która właśnie przerzuciła się ze zwykłego rozbierania na to z kostiumów retro, wspomina, że większość widowni stanowili fetyszyści. Występy innej artystki, World Famous *BOB*, odbywały się głównie w klubach gejowskich w nowojorskim East Village. Burleska stanowiła odświeżający kontrast dla dominującego w modzie minimalizmu, a rozbierające się na scenie kobiety różniły się od odchudzonych do kości modelek i aktorek o wyglądzie dziewczyn z sąsiedztwa. Publiczność zafascynowała z dawnymi gwiazdami Hollywood, które zawsze były glamour i nigdy nie można było zobaczyć ich bez makijażu, w dresie czy z potarganymi włosami. Burleska, pa-

radoksalnie, połączyła dawny przepych i bajkowość z przeciętnością: kobiety na scenie są ściśnięte gorsetem, natapirowane i umalowane jak Marilyn Monroe, a z drugiej strony nie wstydzą się (przynajmniej oficjalnie) swojego cellulitu, zmarszczek czy fałd tłuszczu. – Gdyby ktoś chciał zatrudnić do przedstawień wygimnastykowane piękności i choreografów, popełniłby błąd – przekonuje w jednym z wywiadów Dirty Martini, na oko rozmiar 50. – Ludzie uwielbiają burleskę także dlatego, że same wszystko tu wymyśliły. Prezentowanie mniejszych lub większych zdolności przed ludźmi łączy tę formę rozrywki z popularnymi talent show w rodzaju „Idola” czy „Mam talent”. I, tak jak w tych programach, tylko nieliczne zostają gwiazdami.

Dita von Teese należy do hollywoodzkiej elity, a jej honoraria za książki o sztuce burleski, własną linię biustonoszy Wonderbra, reklamowanie wody Perrier czy likieru luksusowej marki Cointreau idą w miliony dolarów. Dla porównania: przeciętna artystka w Londynie dostaje od 70 do 400 funtów za noc występów. Lady Rizo, która od lat i z sukcesami uprawia burleskę w Nowym Jorku: – Rozbieraniem zarabiają na życie striptizerki, my co najwyżej na następny kostium.



MUZYKA

Rubin oszlifował diament

Konkurencja? Jaka konkurencja? Nowa, urockowiona Adele konkurencji nie ma

BARTEK WINCZEWSKI

Tadele musiała odetchnąć z ulgą, kiedy przeczytała pierwszą niepoehlebną recenzję drugiego albumu Duffy, swojej największej konkurentki w boju o retrosoulowe królestwo porzucone przez Amy Winehouse. 22-letnia wokalistka z Londynu wie już, że choć los znów kazał im się zmierzyć w walce o słuchaczy, tym razem będzie łatwiej, bo walijskiej koleżance powinęła się noga. Problem z konkurencją zatem szczęśliwie sam się rozwiązał.

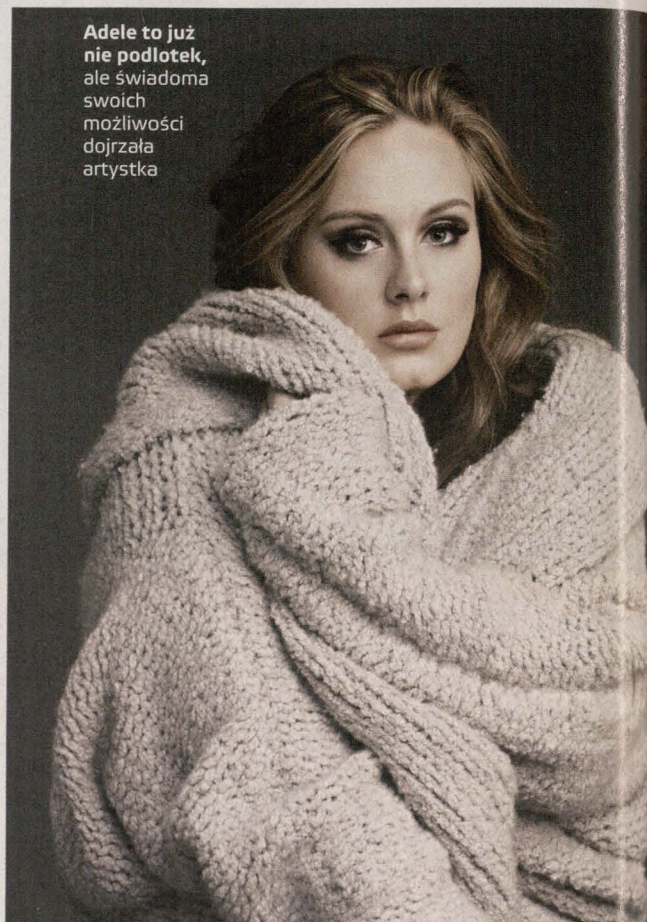
Ale nie on był głównym zmartwieniem Adele. Na wydanym w 2008 roku debiucie „19” nie brakowało wprawdzie świetnych, doskonale zaśpiewanych, przebojowych piosenek, jednak samej pannie Adkins brakowało jeszcze wówczas życiowej i artystycznej dojrzałości, pewności siebie i obycia z wielką sceną. Brakowało także odpowiedniego opiekuna – kogoś, kto w studiu wycisnąłby z niej wszystko,

co najlepsze, i pomógłby jej obrać właściwy kierunek. Minęły trzy lata i oto wraca do nas zupełnie inna Adele. Już nie podłotek z głosem dojrzałej soulowej diwy, ale właśnie dojrzała artystka, która w końcu wie, czego chce, i – co najważniejsze – potrafi swoje cele realizować. Nie wiem, na ile to zasługa jej samej, a na ile odpowiedzialnego za dużą część „21” legendarnego producenta Ricka Rubina. Decyzja, aby zainteresowanie muzycznym dziedzictwem czarnej Ameryki przenieść ze słodkich ballad Motown na zakorzenione w bluesie, gospel i rockabilly amerykańskie Południe, była najlepszym, co dotąd zdarzyło się w karierze młodej Brytyjki.



„21”, XL

Adele to już nie podłotek, ale świadoma swoich możliwości dojrzała artystka



Yann Tiersen w kiepskim nastroju

Autonomia bretońska

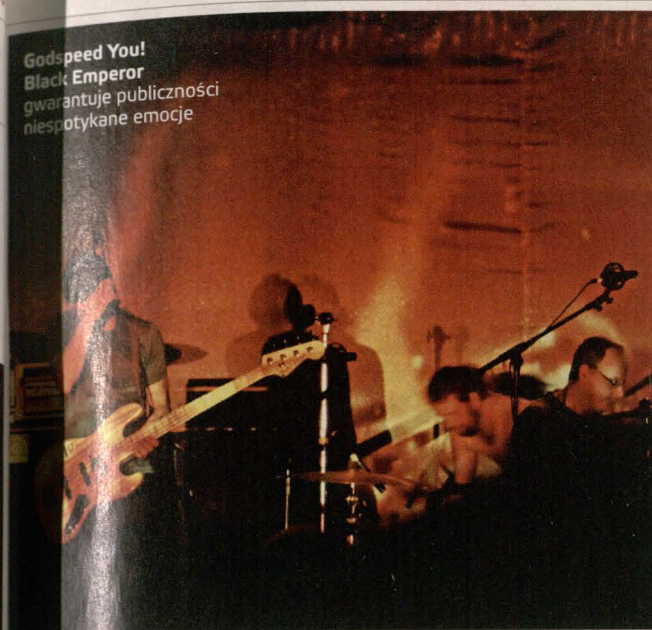
Yann Tiersen nie umie milczeć o palestyńskiej niedoli. Nie umie też o niej zaśpiewać

Ludzie mają go za Francuza, utożsamiają z „Amelią” i przypisują mu etykietkę *world music*. Tymczasem Yann Tiersen to wojujący Bretończyk („Nienawidzę Francji!” – mawia aż nazbyt często), do kina trafił przypadkiem i niechętnie doń wraca, a poza ścianami multipleksów nie gra słodkich walczyków ni żawych ballad – ku rozczarowaniu przypadkowych uczestników jego koncertów. Gra rocka. Na żywo żywiołowego, w studiu najbliższej mu do sentymentalnych lamentacji

A Silver Mt. Zion i Mogwai. Tym bardziej że na „Dust Lane” Tiersen całkowicie przestawił się na język angielski. W przebojowym „Fuck Me” wspólnie z krajanką Gaëlle Kerrien afirmuje miłość, powtarzając radośnie tytułową frazę. W „Chapter 19” sięga po zapiski Henry’ego Millera z żydowskiego getta w Brooklynie. Polityczną równowagę przywraca kompozycja „Palestine” inspirowana służbową wizytą artysty w Autonomii. Nie potrafił o niej zaśpiewać, więc kazał Mattowi Elliottowi literować słowo „Palestine” na tle gitarowej galopki. Smutna to płyta mimo kolorów multinstrumentalizmu Tiersena (jest i akordeon), ale trudno się dziwić – odpowiedzialny za brzmienie Ken Thomas to człowiek kojarzący z Throbbing Gristle i Sigur Rós. Tiersen stracił niedawno matkę jednego z przyjaciół.

MARIUSZ

Yann Tiersen „Dust Lane”, EMI Music Poland



Godspeed You! Black Emperor gwarantuje publiczności niespotykane emocje

Kanadyjskie tornado zbliża się do Polski

Uwaga! W tym miejscu zawsze recenzujemy nowe płyty. Tym razem jednak zapowiadamy występ grupy Godspeed You! Black Emperor. To będzie jeden z najważniejszych koncertów 2011 roku

MARIUSZ HERMA

The car is on fire and there’s no driver at the wheel” – jeśli czytając te słowa, pomyśleliście o znakomitej polskiej kapeli, to dobrze. Jeśli o jednym z najciekawszych zespołów w historii rocka, to jeszcze lepiej. Przytoczony werset rozpoczął słynny już, przynajmniej w kręgach pozaradiowych, monolog z debiutanckiej płyty Godspeed You! Black Emperor. Apokaliptyczny album „F#A#00” miał nie tylko unikatowy jak na 1997 rok tytuł – internetowy festiwal abstrakcyjnych znaków miał się dopiero rozpocząć. Niepowtarzalne były brzmienie płyty (scalało post-rock, ambient, muzykę filmową i uliczną agitację) oraz konstrukcja (trzy utwory trwające od kwadransa do dwóch). A siła emocjonalnego rażenia była tak potężna, że doświadczonych nią jakby mniej wzruszało potem „Kid A” Radiohead czy „Ágætis Byrjun” Sigur Rós. Za to GY!BE nigdy nie doświadczył popularności, która stała się udziałem wspomnianych kolegów z Europy, bo zupełnie zrezygnowała z życia medialnego. Nie fotografują się, nie udzielają wywiadów, niewiele o nich wiadomo. A już zupełnie nic na pewno.

Kanadyjski kolektyw swoją nazwę zaczerpnął z japońskiego dokumentu traktującego o gangu motocyklowym Black Emperors. Narodził się jako trio, ale jak mawiał gitarzysta Efrim Menuck: „Každy, kto grał na jakimś instrumencie i wydawał się równym gościem, po prostu do nas dołączył”. W składzie rozrosniętym do dziewięciu osób – trzy gitary elektryczne i dwie basowe, para bębniarzy, skrzypce oraz wiolonczela – GY!BE wydali cztery wybitne płyty, by później zawiesić działalność na długie siedem lat. Oficjalnie muzycy woleli rozwijać inne, często jeszcze dziwniejsze projekty, na czele z A Silver Mt. Zion. A nieoficjalnie? Tak wściekała ich ciągnąca się wojna w Iraku, że na scenie potrafiliby myśleć tylko o niej.

Zakończenie bliskowschodniej inwazji ogłoszono 31 sierpnia 2010 roku. Już w grudniu GY!BE czynili honory pana domu podczas brytyjskiej edycji festiwalu All Tomorrow’s Parties. Teraz pojawią się u nas!

Godspeed You! Black Emperor, 22 stycznia, Poznań, klub Eskulap, godzina 20

Upiór w balecie

„Czarny łabędź” Darrena Aronofsky’ego, czyli bajka, która niepostrzeżenie zmienia się w thriller

KAROLINA PASTERNAK

Już sekwencja otwierająca „Czarnego łabędzia” jasno daje do zrozumienia, że po sentymentalnym „Zapaśniku” Aronofsky powraca do mrocznych klimatów bliższych „Pi” czy „Żródłu”. Obserwujemy niepokojący sen głównej bohaterki Niny (Natalie Portman), w którym młodziutka balerina wciela się w rolę Królowej Łabędzi, a zabiegający o jej względy zalotnik ni stąd, ni zowąd zmienia się w Złego Czarnoksiężnika. Stąd przechodzimy w sen na jawie, bo świat, w którym żyje Nina, jest całkowicie odrealniony. Pokój młodej kobiety wygląda jak sypialnia kilkulatki pełna pluszowych zabawek i różu. Nina nie ma przyjaciół ani kochanka. Jej życie wypełniają mordercze próby i marzenia o tym, że kiedyś zajmie w teatrze miejsce primabaleriny Beth (Winona Ryder). Marzenia się ziszczą, gdy zostanie obsadzona w podwójnej roli Czarne-

chodzi w mroczny thriller o świecie zawodowego tańca.

Natalie Portman nie gra Niny, ona jest Niną. I nie chodzi tu tylko o fizyczną metamorfozę, wystająca spod trykotu zebra aktorki, która schudła do roli 10 kilogramów. Przecież dla zakleszczonej w rolach słodkich piękności Portman rola u Aronofsky’ego jest tak samo przełomowa jak dla Niny rola w „Jeziorze łabędzim”. Determinacja, z jaką Nina/Natalie podchodzi do danej jej szansy, nie jest więc wystudiowana, czuć ją, a nawet słychać w każdej scenie: w ciężkich westchnieniach i w przyprawiających o dreszcze chrupnięciach wątych kostek uwiecznionych w baletkach. Specjalistom od dźwięku należy się Oscar.

Wielu krytyków zarzucało filmowi wtórność – że zbyt otwarcie odnosi się do „Wstrętu” Polańskiego czy „Podwójnego życia Weroniki”



Życie Niny przypomina sen na jawie. Natalie Portman zagrała w „Czarnym łabędziu” swą najważniejszą dotąd rolę

go i Białego Łabędzia w słynnym balecie Czajkowskiego.

Postaci przypominają bohaterów bajki: perfekcyjnej i cnotliwej Niny Aronofsky przeciwstawia jej wyzywającą konkurentkę Lily (Mila Kunis), matkę Niny (Barbara Hershey), ekstancercę noszącą piętno zawodowej porażki – choreografa (Vincent Cassel), mężczyznę u szczytu kariery. I gdy wydawałoby się, że wiadomo, czego po tych narysowanych grubą kreską postaciach możemy się spodziewać, Aronofsky zaczyna jątrzyć. Ninę prześladowuje sobowtór, a jej umęczone próbami ciało ulega kolejnym etapom destrukcji. Bajka o tańczącej królowiźnie płynnie prze-

Kieślowskiego, by w finale przewrotnością przebić „Podziemny krąg” Finchera. Dla mnie te zarzuty są nieuzasadnione. W „Czarnym łabędziu” jest tyle samo twórczego przetworstwa, ile pomysłów zupełnie oryginalnych. Jak choćby ten, że za seksualne przebudzenie bohaterki odpowiada tu wreszcie nie (jak w większości filmów!) mężczyzna, lecz... ecstazy. I to za jakie przebudzenie! Zobaczcie państwo sami.

„Czarny łabędź”, reż. Darren Aronofsky, USA 2010, Imperial Cinepix, 110', premiera 21 stycznia

Król Bólu" to ponad 800 stron w twardej oprawie – cztery opowiadania (mikropowieści?) premierowe i cztery powtórki. Osiem zaprojektowanych przez pisarza światów, w których przewija się na różne sposoby opracowywany motyw transhumanizmu – przekraczania granic ludzkiej cielesności i psychiki, z którym wiążą się pytania o sens człowieczeństwa w nowych dla niego sytuacjach. Oraz motyw drugi – równie istotny – czyli nowy podział społeczny na kastę wyższą i plebs niekorzystający z cudów rzeczywistości wirtualnej, biotechnologii i tak dalej. Motyw trzeci, najbardziej tajemniczy, po którym Dukaj sięga zastanawiająco często, to postać proroka-prawodawcy-półboga (czy może nawet boga w ludzkiej skórze), który swą niedefiniowalną mocą potrafi zakłócić stabilny porządek (albo uczłowieczyć nie ludzi, wariantów jest zresztą parę, mieści się w nich także Astromancer – kosmiczny geniusz inteligentnej materii czy coś w tym rodzaju).

Wspominam o paru tylko motywach, bo streszczenie całej różnorodności Dukajowych światów zdaje mi się w tym miejscu pozbawione sensu. Ktoś ciekaw, ten sam przeczyta. Od siebie dodam tylko, że raz jest lepiej, raz gorzej. Na przykład koncept jednego z tekstów premierowych – „Serca mroku” – polegający na przeniesieniu Conradowskiego „Jądra ciemności” na ponurą planetę podzieloną między mocarstwa z Trzecią Rzeszą włącznie i przerobienie Marlowa na nazistowskiego oficera, a Kurtza na polskiego zbiega o nadprzyrodzonych mocach mam za kompletnie idiotyczny, tym bardziej że mimo sutych dekoracji Dukaj nie mówi oczywiście niczego bardziej interesującego niż Conrad przed laty. Inne teksty są lepsze, ale tak czy inaczej obcuje tu z odmianą literatury, którą z braku lepszego słowa nazywałbym „politechniczną” – jest projekt, warunki brzegowe wymyślonego świata, a następnie mniej czy bardziej byskotliwa, ale zawsze drobiazgowo realizacja pomysłu.

Dukaj jest zwykle wielce sprawny i konsekwentny, pracuje nad zróżnicowaniem języka kolejnych projektów, wymyśla często bardzo udane neologizmy. Niekiedy jest naprawdę brawurowy – przywołana wyżej kwestia „kto jest lepperem tego socjaliska?” (czyli: kto zarządza tym blokowiskiem?) ze znanego już od paru lat „Cruksa” kaže składać ręce do okładek. Podobnie jak (tamże) dialogi w rodzaju: „– Tera? Szlawon, cmitu w minutu! A już! Czasu nie mam dla twoja! – Nie krakaj, nie krakaj. Sznuara tylko na jednego mołojca mi dasz.



Dukaj i biedni ludzie

...czyli literatura politechniczna

MARCIN SENDECKI

– Turaj, urwo niebieska! – Liżesz mi, Brudzio! Co ci krędzi kwadransik?” – i tak dalej, i temu podobnie.

Podoba mi się też bardzo determinacja, z którą w „Linii oporu” – opowiadaniu być może najpoważniejszym w tomie – Dukaj tak precyzuje to, co chce powiedzieć, i szuka dla tego sposobu wystąpienia, że tekst staje się partiami niemal nieczytelny. To jest ładne i słuszne, pytanie tylko, czy warta skórka wyprawki? Czy najlepszy użytek, jaki możemy zrobić z, powiedzmy, paru napomknień Nietzschego albo fragmentu „Dociekan” Wittgensteina, to jest właśnie wpisanie ich w fantastyczną fabułę? Osobiście wątpię. Doceniam, że Dukaj mierzy się z rzeczą wielce trud-

na, skądinąd na własną prośbę. Fantastyka bowiem jest tak podatna na mimowolną śmieszność, że sprawienie, by ją traktować choć trochę poważnie; a Dukaja tak właśnie traktować wypada, jest zadaniem, którego umięć podolać tylko nieliczni. I Dukaj daje sobie radę, natomiast nie udaje mu się sprawić, by to, co pisze, rzeczywiście poruszało i – poza dostarczeniem satysfakcji fanom, że coś tam nieoczekiwanego wymyślił – oferowało estetyczne i intelektualne wstrząsy.

Dobrze to widać w umiejętnie stylizowanym na Lema „Oku potwora”, w którym wszystko jest dopięte na ostatni guzik, a jednak spływa (po mnie w każdym razie) jak woda

po kacze. Bo tak się składa, że w „Niezwyciężonym”, „Edenie”, wrocie z gwiazd”, może przede wszystkim w „Opowieściach o świecie Pirxie”, dokonał z siennej fity tego, co Chandler z kryminałem podrzędny gatunek i uczynił z niego kształt sztuki. I jeśli nawet mralny patos Lema i Chandlera razi się nieco anachronicznie, to wciąż jest żywy, dotkliwy, poruszający. Jak to w prawdziwej sztuce – wciąż jest wybitnie i dobrego i sprawnym przedstawicielem „wzrędnego gatunku”, nawet jeśli ma większego odeń leppera na socjalisku.



★★★★
Jacek Dukaj „Król Bólu”, WL, Kraków, 2010, s. 828, 59 zł

Wrona nie pokona?

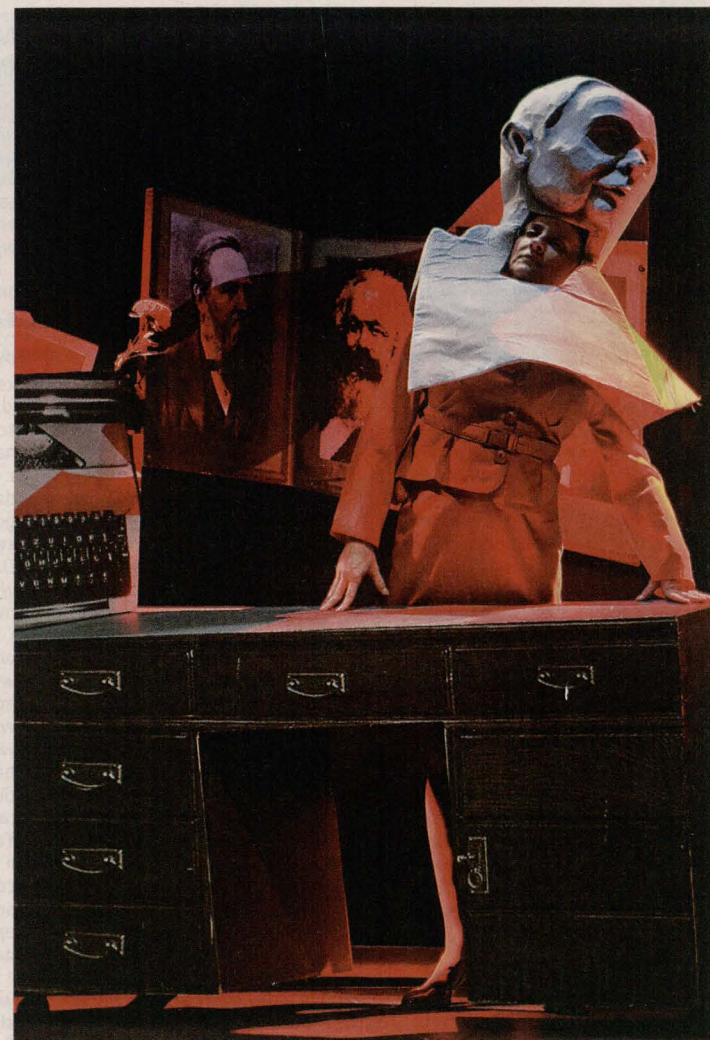
W warszawskim Teatrze Kamienica Jerzy Bielunas wyreżyserował dwa znakomite spektakle według powieści Białoszewskiego i Dukaja

JACEK SIERADZKI

Nic do niczego nie pasuje. Reżyser do tematu. Ambicje do miejsca. Bajkowa forma do rozpaczy wniosków. Jerzy Bielunas, wrodzawski reżyser i pedagog, dawno został zaszufłankowany jako specjalista od widowisk muzycznych i kabaretowych wieczorów. Wychodziły mu różne. Smakowicie, gdy zestawiał spektakl z aktorsko interpretowanych piosenek Brassensa czy Cave’a, natomiast podczas gali Przeglądu Piosenki Aktorskiej zdarzało mu się wdepnąć w kicz. Niemniej zdobył niezłą markę – w swoim gatunku. Gdy spróbował granice te przekroczyć, realizując karkołomny pomysł widowiska muzycznego na kanwie „Pamiętnika z powstania warszawskiego”, pies z kulawą nogą zdarzenia nie zauważył. Sam, mając zaproszenie na spektakl w ramach wrocławskiego Przeglądu, pojechałem na inny koncert.

Tymczasem spektakl był świetny. Mateusz Pospieszalski, grający dotąd muzykę równo w bębny rąbaną, znalazł patent, żeby opatrzyć dźwiękami prozę Białoszewskiego w całej jej własnej muzyczności. Trochę w tym było chorów, trochę bluesowych ballad, rockowa dynamika w scenach walk i ucieczek. Bielunas zainscenizował rzecz o losach cywili z powstania na barykadzie zbudowanej ze stołów i szaf, zwykłych mebli. Młodzieńskich wykonawców – spektakl był dyplomem czwartego roku wrocławskiej szkoły teatralnej – zostawił w współczesnych ciuchach. Nie wcielali się dosłownie w tamtych warszawików, opowiadali ich przeżycia, zachowując całą gamę emocji oryginalnej liryzmu, rozpacz, wściekłość, opór, zadziorność, wisielczy humor. Nagrodę dostali nieprawdopodobną! Ratusz Wolni „kupił” spektakl do Warszawy i zaprosił nań kombatantów powstania. Ryzykując, bo konwencja była odległa od akademii... Wyraz twarzy dzieciaków na scenie, gdy im w finale do owacji wstała dwusetka siwiutkich weteranów, nie zapomnę do końca życia.

Gotową inscenizację wprowadził na afisz warszawski Teatr Kamienica, czyli prywatna scena Emiliana Kamińskiego żyjąca z widzów i ściągająca do siebie „chlebodawców” metodami niekiedy lekko karczemnymi. Ale,



Ta kobieta w czerwieni to Agnieszka Matysiak w śpiewającej roli członka. W tle portrety historycznych przodków członków

można rzec, właśnie po to, żeby zrobić na taki „Pamiętnik” czy teraz na „Wrońca”, kolejną pracę tandemu Bielunas-Pospieszalski. Jeszcze bardziej karkołomną. Jacek Dukaj fascynująco opisał stan wojenny widziany oczami siedmioletniego gorączkującego chłopca. Strzępy rozmów dorosłych układały mu się w bajkową, zdefiniowaną epopeję ze straszliwym ptakiem wrońcem porwijącym dobrych ludzi, z milipantami, złomowcami, bubekami. I z całą traumą doros-

łych przepoczwarzana w dziecięcej wyobraźni. Bielunas dopilnował, by wszelkie odniesienia do rzeczywistości z miejsca do słowność zabiłaby spektakl. Mieliśmy więc krzywe i płaskie sukki milicyjne jak z filmów animowanych, sąsiada robociarza (Emilian Kamiński), co „tymi rękami” budował kraj, więc ma siłę i status herosa z komiksów, członka partii upajającego się fioriturami stentorowego głosu Agnieszki

Matysiak. Siedmiolatek był lalką wprowadzoną przez ubranego w czerń animatora i dubbingowaną (kapitałnie) od pulpitu z boku przez Martę Ledwoń. Wielki telewizor, centralny element dekoracji, śnieżył szarością, „kradnąc kolory” światu.

Oto rozrywkowy teatr, kombinując niekomercyjnie i pod prąd, pozostał imponująco wierny nie tylko fabularnej wyobraźni Dukaja, ale i jego widzeniu tamtych wydarzeń, dramatycznemu i czarnemu. Bo przecież „Wroniec” to projekcja lęków, od których mało kto był wtedy wolny. Lęków tak łatwo zapomnianych, a przecież oczywistych w świecie odciętych telefonów, nieustannego niepokoju o rodzinę i przyjaciół, wszechmocy aparatu nacisku. Nie ma tu nic z happy endu. To koszmar, który śnił się wtedy dorosłym budzącym się w nocy z krzykiem, czy gdy ich przycisną, zdają się sprostać...

Słabo to wszystko kumają ówczesne siedmiolatki, a dziś stare konie, świecie przekonane, że z ową grozą znaną im w teorii poradziłyby sobie lepiej niż my wtedy. Teatr im owego zadufania z głowy nie wybiję. Ale chwala Bogu, że przynajmniej próbuje. Przez 20 lat Niepodległej nikt z artystów do tego kulcowego niedawnego doświadczenia nawet nie ośmielił się zbliżyć. Dziś skromna i na co dzień mało ambitna scenka wyręcza – i może trochę zawstydzają – mainstreamowe mołochy.

Kamienica chce grać „Wrońca” w południe i wieczorem, zapewne oddzielnie dla szkół i dla dorosłych. Pytanie, czy przyszłość narodu karmiona nie brakiem „Teleranka”, ale nadmiarem telechłamu, przyswoi emocjonalnie tamten ból. By przyszłości narodu, która kupiła bilety na 19, z pewnością będzie wściekła. Nie od tego ma przecież miłe sceny w centrum stolicy, żeby uznani fachowcy od ryżki śmieli podsuwać im przed oczy zepchniętą w bok pamięci czarną szarość.

„Wroniec” Jacka Dukaja, adaptacja i reżyseria Jerzy Bielunas, muzyka Mateusz Pospieszalski, scenografia Honorata Mochalska, kostiumy Anna Czyż, choreografia Maciej Florek, reżyseria scen animowanych Aneta Gluch-Klucznik, Teatr Kamienica w Warszawie

Warsztat szalonego artysty

Pojazdy Zbigniewa Libery daleko nie zajadą. Nic dziwnego. Skonstruował je, patrząc tylko na reklamy

STACH SZABLŃSKI

Co robi łączniczka? – pytał w 2005 roku Darek Foks w eksperymentalnej książce brauwrowo ilustrowanej przez Zbigniewa Liberego. Pytanie na dziś brzmi jednak inaczej. Co robi Libera? Co robi autor obozu koncentracyjnego z klocków lego, ikona sztuki krytycznej w rok po triumfalnej retrospektywie? Odpowiedź brzmi: Libera robi samochody.

Na wystawie w Zachęcie było wszystko z wyjątkiem jednego – artysta nie pokazał nic nowego. Czas na to nadszedł teraz. A może jeszcze nie nadszedł? Z dala od reflektorów oświetlających artystyczne sceny wielkich instytucji, w kameralnych okolicznościach Fundacji Profile Zbigniew Libera przedstawia wystawę „Rzeczywistość jest płaska – w toku prac”. I rzeczywiście oglądamy nie gotową rzecz, lecz szkic, a może dopiero proces namysłu. Jego przedmiotem są samochody (i jeden rower).

Libera pokazuje modele osobliwych pojazdów o zdeformowanej, nieregularnej geometrii. Na pierwszy rzut oka wyglądają jak auta po brutalnych crash testach, ale ich geneza jest subtelniejszej natury. Pojazdy powstały na podstawie reklamowych fotografii samochodów. Odwzorowane na płaszczyźnie trójwymiarowe obiekty (auta) przedstawione są w skrótach perspektywicznych, między obrazem a rzeczywistością istnieje przepaść, którą oczywiście przesadzamy bez wysiłku jednym usem. Jesteśmy ludźmi cywilizacji wizualnej, bezbłędnie czytamy obrazy, zatrzymuje się nad przepaścią i zdobywa się na spojrzenie niewinnego wizualnego analfabety. Bierze obraz dosłownie. Artysta odwraca proces reprezentacji, zamiast odwzorowywać trójwymiarową rzeczywistość na płaszczyźnie, usiłuje odwzorować dwuwymiarowy porządek obrazu w realu. Re-



Na przełomie XX i XXI wieku Libera był żołnierzem w „zimnej wojnie artystów ze społeczeństwem”. Dziś chyba panuje rozejm, może nawet pokój. Artysta zajął się konstrukcją pojazdów

zultaty są – jak możemy się przekonać, oglądając modele Libery – dziwaczne, pokraczne i groteskowe. Obrazy kłamią! Czy jednak ta demaskacja nie jest zbyt rozbrajająca oczywista, aby stać się nowym medium dla twórczości Libery? Cóż, skoro o tym mowa, to artysta planuje coś o wiele bardziej konkretnego niż metaforyczny wehikuł intelektualnej konstrukcji. Oprócz modeli i wizualizacji na wystawie znalazł się film. Jesteśmy w warsztacie szalonego mechanika, mieszkającego w Polsce Niemca, pasjonata motocykli i konstruktora nietypowych pojazdów. Ów oryginał jest współpracownikiem Libery w dziele budowy trójwymiarowego samochodu za-

projektowanego na bazie dwuwymiarowych reprezentacji. W warsztacie widać już kawałek podwozia, coś wyłania się z niebytu. Na oko to „coś” daleko nie zajadzie, ale jak powiedziano w tytule, „prace są w toku”, więc za wcześnie na ocenianie rezultatów i wylewanie dziecka z kąpielą. Libera – jak każdego mężczyznę – należy oceniać po tym, jak kończy, a nie jak zaczyna.

Zbigniew Libera
„Rzeczywistość jest płaska – w toku prac”, Fundacja Profile, Warszawa, do 19 lutego, www.fundacjaprofile.pl



Na daczycy

Młoda artystka na tropie PRL-owskiego dygnitarza

Wystawę tworzą dwa filmy. Na pierwszym jest zima. Komunistyczny gitarzysta polują na dziki, leje się kawałki i wódka pita z luf dwururek. Wśród tabli są: Gomulka, Cyrankiewicz, a także Franciszek Szlachcic, generał Młody wicepremier za wczesnego Cierkiewicza.

Na drugim filmie trwa lato. Jesteśmy w Magdalence, w wybudowanej z modrzewiowych bali daczycy Szlachciców. Mieszka tu syn Franciszka: Roman. Przyjaciele nazywają go „kremlowski księciem”. To żart, do tego dość ciekawy. Roman Szlachcic kiedyś rzeczywiście był PRL-owskim księciem, jeździł na Morze Czarne i do Jugosławii, w czasie akcji płynął wolniej niż rzeczywistość, gdzie sam Andropow dał mu w prezencie zegarek. To jednak było dawno. Dziś Roman Szlachcic żyje jakby w innym świecie, w oddanej rodzinie. Coraz większej, bo poza Jolaną dorobił się legalnej córki z żoną Aaricią i na boku syna z głównym szwarzcharakterem Kriss de Valnor. Dodajmy, że płodząc go, miał zapisać pamięci, więc nadal jest czysty niczym harcerz. Większa rodzina to większe kłopoty, bo ciągle ktoś się gubi albo zostaje porwany, dlatego nasz waleczny wiking nieustannie musi wyruszać na ratunek. I jak na złość nigdy nie może skończyć wszystkich w jednym miejscu.

Co my jednak właściwie robimy w domu Romana Szlachcica? Tym wiedzinom towarzyszy uczucie zanoszenia, jakbyśmy wpadli z nieznaną wiedzianą wizytą i zastali gospodarza w bieliźnie. Do daczycy w Magdalence przysłała Anna Senkara (rocznik 1968), dla której PRL pozostaje w najlepszym razie wspomnieniem z dzieciństwa. To samo w sobie jest ciekawe – jest to Polska Ludowa pojawia się w świecie młodych, to zwykle na poziomie scynacji popkultury i ikonosferą tamtej epoki. PRL jako rzeczywistość pozostaje na jest jednak bytem nieobecny.

Senkara wkroczyła z kamerą w wspomnień Romana Szlachcica i stała z niego niejednoznaczny materiał. Czym jest bowiem „Szlachcic”? Będzie o upadku „domu panującego”? O dium ubocznych skutków wędrownego chologicznego portretu człowieka, który nie załapał się na czas i teraz żyje przeszłością? Tak czy inaczej Senkara zabiera nas do daczycy, za modrzewiowymi drzwiami czeka kawałek historii, ciekawej, choć mrocznej i krwawej migawki z polowania PRL-owskich baronów, zaczerpniętej z rodzinnego archiwum Szlachciców.

STACH SZABLŃSKI

Anna Senkara „Szlachcic”, Zachęta, Warszawa, do 20 lutego

Wiking sfrancyzyzowany

Zamiast raz na zawsze skończyć z „Thorgalem”, Grzegorz Rosiński zamienia go w komiksowy odpowiednik „Mody na sukces”. Właśnie udzielił licencji na kolejną serię – „Kriss de Valnor”

SEBASTIAN FRĄCKIEWICZ



Kriss de Valnor to przeciwieństwo Thorgala – wojowniczką podstępna, egoistyczna, chociaż odważna i tajemnicza

o go lat od premierowego albumu wspaniała przygodowa opowieść zrobiła się jałowa i opłataną jak telewizyjny tasieniec. Czas akcji płynie wolniej niż rzeczywistość, liczne doświadczenia nie zmieniają Thorgala. To wciąż obrzydliwie podziwiany bohater, waleczny, niezłomny, oddany rodzinie. Coraz większej, bo poza Jolaną dorobił się legalnej córki z żoną Aaricią i na boku syna z głównym szwarzcharakterem Kriss de Valnor. Dodajmy, że płodząc go, miał zapisać pamięci, więc nadal jest czysty niczym harcerz. Większa rodzina to większe kłopoty, bo ciągle ktoś się gubi albo zostaje porwany, dlatego nasz waleczny wiking nieustannie musi wyruszać na ratunek. I jak na złość nigdy nie może skończyć wszystkich w jednym miejscu.

„Thorgal” z albumu na album robi się coraz bardziej karykaturalny. Nie pomogła nawet zmiana scenarzysty – w 2007 roku Jeana van Hamme’a zastąpił Sente. Ale skoro seria nadal świetnie się sprzedaje, wydawnictwo Lombard i Grzegorz Rosiński postanowili pójść na całość i wyekspluatować dzielnego Aegirssona do granic możliwości. Co tam będziemy prowadzić jeden cykl, stworzymy całe thorgalowe uniwersum! Przecież z głównego bohatera zbyt wiele już nie da się wyciągnąć. Dlatego stworzono nową, poboczną serię „Kriss de Valnor”, której pierwszy album „Nie zapominam o niczym!” właśnie ukazał się w Polsce. Najbardziej zabawne jest to, że Rosiński stworzył tu tylko okładkę. To kulturalna franczyza, produkt na licencji. Za rysunki

– porządne, ale bez autorskiego, oryginalnego sznytu – odpowiada Giulio De Vita, a scenariusz napisał Sente. Kriss to przeciwieństwo Thorgala: podstępna, egoistyczna, ale odważna i tajemnicza kobieta. De Vita i Sente, tworząc swój komiks, tej tajemniczości ją pozbawili. Wybrali dość standardowy sposób na wytłumaczenie podłego charakteru wojowniczkki – wyjątkowo trudne dzieciństwo pełne upokorzeń. Można by jeszcze machnąć na to ręką, bo „Nie zapominam o niczym!” jest i tak o wiele ciekawsze niż ostatnie „Thorgale”. Ale wystarczyłoby poprzestać na jednym albumie. Tymczasem to dopiero początek cyklu. Aż strach pomyśleć, co będzie później. Zobaczymy, z kim Kriss przeżyła swój pierwszy raz? Może scenarzysta ujawni intymną

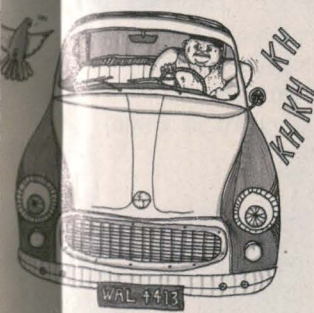
korespondencję łączniczki z Thorgalem? Czy napisze o tym Pudelek? Belgijski edytor Lombard planuje następne poboczne serie komiksowe, tym razem poświęcone Jolanowi i Louve. Cóż, na naszych oczach Rosiński rozmienia swój dorobek na drobne, a klasyka obrazkowej fantazy zamienia się w komiksową „Modę na sukces” – choć na razie jeszcze jesteśmy w stanie się połapać, kto z kim ma dziecko.



Giulio De Vita (rysunki), Yves Sente (scenariusz), „Nie zapominam o niczym!”, Egmont, Warszawa 2010, s. 56, 22,99 zł

Alpaga pod blokiem

Jesteś młoda/młody i chcesz zrobić dobry komiks? Poproś ojca, by napisał do niego scenariusz. Paweł Płóciennik doskonale na tym wyszedł



nie za to przedstawia życie zupełnie niebohaterskie – codzienność nastoletków w PRL. Mamy rok 1980, warszawskie osiedle Za Żelazną Bramą i czwórke przyjaciół: Zmywaka, Gonza, Depesza i Typuciuć. Ten ostatni to Jarosław Płóciennik (rocznik 1963), czyli scenarzysta komiksu. Typucia za namową syna, Pawła Płóciennika (rocznik 1987), młodego rysownika publikującego głównie w zinach, postanowił przelać swoje wspomnienia na papier, a potem historię zilustrował. Bohaterowie opowieści wiedzą, kim jest Wałęsa, ale nie interesują się polityką.

O wiele bardziej zajmuje ich przesiadanie na osiedlowym murku, picie alpagi oraz bijatyka z gitami. Ich największą namiętnością jest rock – granie w garażowej kapeli i zdobywanie winyli z importu.

Familijny projekt wprowadził do polskiego komiksu sporo oddechu, zajmując się nietkniętym tematem. Autorzy ze szczegółami oddali realia ówczesnej Warszawy, z powodzeniem zmierzli się z młodzieżowym językiem tamtych czasów i pokazali trochę niepoprawne politycznie oblicze lat 80. Jedyny mankament to warstwa graficzna. Paweł

Płóciennik zapewnia, że siernieżna estetyka albumu wynika z celowej stylizacji. Trudno jednak dać temu wiarę. To raczej problemy warsztatowe wynikające z konieczności opracowania na potrzeby tego projektu nowej stylistyki, ale w trakcie lektury szybko się z nimi oswoimy. SF



Jarosław Płóciennik (scenariusz), Paweł Płóciennik (rysunki), „Sprane dzinsy i sztama”, Warszawa 2010, Timof Comics, s. 104, 36 zł



ŁADNE RZECZY

Baluj z głową

Starsi Panowie mieli go w sercu, my celujemy w północne rejony karnawałowego ciała. Umajamy się!

OLA SALWA



Zając w wersji sado-maso, czyli JC Castelbajac w akcji

Przyjmujemy taktykę tyczkarzy i uważamy, że im wyżej, tym lepiej. Poprzeczkę ustawiamy sobie na wysokości od dwóch i pół metra do nawet czterech, byle tylko zmieścić się w sali balowej. Strój w tym sezonie jest mniej ważny. Idziemy na ławkę rezerwowych i rezygnujemy ze slalomu po sieciówkach, w których królują błyskotki, półprzezroczyste draperie, obcisłości oraz mniej lub bardziej nastroszone ramiona.

Nie zazdrościmy serialowemu gwiazdom noszącym zwiewności lub satyny od polskich projektantów celebrytów. Wybieramy czerni, stalową szarość lub biel w wersji skromnej, żeby głębokość dekoltu nie odciągała uwagi od tego, co mamy w głowie. Przepraszam - na głowie. Choć w tym wypadku tych przyimków używamy zamiennie, bo stylizacja fryzury lub

NO ŁADNIE!

Nowa królowa

Biblia stylu ma nowego proroka, szepnęły zapewne ofiary mody. My, zobligowani do dziennikarskiego obiektywizmu, stwierdzamy fakty: Carine Roitfeld kieruje paryskim „Vogue” tylko do końca stycznia. Potem na tym stanowisku zastąpi ją dotychczasowa szefowa działu mody Emanuelle Alt. Roitfeld kierująca magazynem od 2001 roku zmieniła go z jednego z wielu lokalnych wydań w zadziorny zurnal dyktujący trendy, głównie dzięki stylizowanym przez siebie sesjom zdjęciowym. Nieoficjalnie mówi się, że to właśnie z ich powodu Roitfeld musiała odejść - w grudniowo-styczniowym numerze pisma pojawiła się sesja z dziećmi w zbyt dorosłych strojach i pozach. Oficjalnie caryca Carine odchodzi, aby zająć się nowym projektem. Francja elegancja.

Modelka na pokazie Christiana Diora (pod wodzą Johna Galliano) wygląda jak kurczak z pomponem. Na sąsiedniej stronie też Galliano, tyle że już pod własnym nazwiskiem - miesza czepiec z peruką „na owieczkę”



nakrycia głowy jest pochodną naszej wiedzy o historii mody, fantazji i - na samym końcu - umiejętności przetłumaczenia tego na kształt kapelusza lub tapiru. Jeśli dręczym nas chwilowa pustka, po kryjomu szukamy inspiracji na wybiegach. John Galliano, rozkochany w przesadzie, teatrze i wielkim krawiectwie, w jednej ze swoich kolekcji proponuje tapir i loczki à la luksusowa pastreczka oraz pstrokatą wersję czapki gwardzisty chroniącego brytyjską monarchię. Nieskromność i krzykliwość idealnie zgrzywają się z radosnym nastrojeniem karnawału. Stąd już tylko kilka kroków do słynnych pudrowanych fryzur, które opanowały dwory i salony XVIII-wiecznej Europy. Gigantyczne konstrukcje ozdabiane klejnotami, ptasimi piórami, kwiatami były nie tylko wrzaskiem mody, ale także informacją o bogactwie i statusie ufryzowanej damy.

Najwięcej na sobie miała oczywiście królowa Maria Antonina, którą na co dzień i od święta stylizowała Rose Berlin nazywana przez złośliwych ministrem mody. W jednym tylko nie będziemy jej naśladować - cokolwiek się zdarzy, nie traćmy głowy!



Włosy upięte w mysie uszy i kokarda u Chanel



OBYCZAJÓWKA

Wypalarka do trawy

Wspomnienia konsumpcyjnego bachora komuny



MICHAŁ WITKOWSKI

Kiedy mój ojciec na początku lat 80. po raz pierwszy wyjechał do Enerefu, moja pozycja w klasie skoczyła na drugie od góry miejsce, zaraz po Gabrysi Kwitek, której stary jeździł do Kuwejtu. Mogłem zgromadzić wokół siebie pokazną grupkę podziwiających moje prezenty uczniów, ale musiałem liczyć się z tym, że wieść, iż Gabrysia Kwitek rozdaje w szatni złote czekoladowe dukaty z Marks & Spencer, pokaźnie mój elektorat przerzedzi. Z dumą obnosiłem się z pachnącymi owocami długopisami, gumami do żucia i całym tym reakcyjnym sklepikiem. Za oknem szkoły stan wojenny, a na ręku pomarańczowy swatch! Ze stołówki dobiegają przypalone zapachy, a z mojego piórnika jedzie Peweksem. Nieważne. Gabrysia i tak miała więcej bluz z wypukłymi postaciami z kreskówek i myła włosy bardziej pachnącym szamponem. Na nią nie było sposobu. Pierwsza miała wideo i pierwsza zasiała w nas ziarno przekłętą kulturę masowej, puszczając nam „Rambo” i „Rocky’ego”. Dziś podobna dziewczynka, aby wyrzeźić porównywalny efekt, musiałaby chyba być przywożona do szkoły przez szofera roll-royce’em. I to co najmniej przez rok.

W grę wchodził też Marcin Kucharski, który zamiast strzępów wybrał całość i w której klasie wyjechał do Ameryki na zawsze. Wcześniej jednak wyjeżdżał tam jego ojciec i Marcin zajmował wraz ze mną drugie miejsce. Pierwsze ani drgnęło przez całą podstawówkę. Gabrysia ma przezroczysty tornister, Gabi z gwiazdkami na paznokciach je lizaka, jakiego nikt nie widział... Gabi „na mleku” wyciągnęła polaroida! Gabi na wuefie miała

różowe adidas, Gabi się skaleczyła i racyła nałożyć na palec plaster z nadrukowaną Myszką Miki! Gabi częstuje - rozdaje szklane kulki ze szlaczkiem w środku!

Kiedy więc mój stary po raz pierwszy wrócił z Rajchu, szedłem do szkoły na drżących nogach, ale napędzany adrenaliną. Moja pozycja miała się poprawić, ba - skoczyć na drugie miejsce. W uszach miałem wciąż opowieści o tym Enerefie. Otóż nie wystarczy tam podtrzeć się papierem. Nic z tych rzeczy. Po podtarciu należy użyć specjalnego, nasączonego w perfumie płatka ze specjalnej plastikowej szkatułki obok kibelka. I jeszcze tym na mokro. Dokładniej. W niedzielę kłęczą przed swoimi domkami i zajmują się czymś tak niesłychanie małosłownym jak wypalanie specjalnym palnikiem trawki rosnącej nielegalnie między płytami chodnika. Nie wystarczy też ściąć trawy, ale dodatkowo trzeba zebrać ścięte kłosa specjalnym odkurzaczem. Nie bardzo wiedziałem, jak się na te informacje zapatrywać, w każdym razie małosłowność wzmiankowanych czynności już wtedy mnie uwierała.

I gdy 4 czerwca 1989 roku „w Polsce skończył się komunizm”, a ja czekałem na rodziców w samochodzie, kiedy zobaczyłem ich dumnych, jak schodzą po schodach osiedlowej biblioteki po oddaniu głosu, zapytałem, co to znaczy. (Na marginesie mówiąc, biblioteka nie ostała się wskutek zmian, zajęło ją fitness studio). Odpowiedziano mi, że będzie u nas coś jak Eneref. Starzy rozumieli, że wymiar materialny przemian jest dla mnie ważniejszy niż ten wolnościowy. Takie już były konsumpcyjne bachory komuny. I pomyślałem sobie tak: będzie więc Eneref. Będziemy siwymi panami patrzącymi na świat przez okulary w złotych oprawkach. Będziemy się podcierali perfumowanymi chusteczkami i wypalali trawę między szczelinami chodników. Jak dotąd składały się z samych szczelin. I pomyślałem, że gdyby Polacy mieli się w weekend zajmować czymś tak małosłownym, przestaliby być Słowianami. To, czy mu trawa rośnie między płytami, czy nie, prawdziwy Polak ma głęboko w dupie. Nie pomyliłem się - żaden ze wzmiankowanych wynalazków się nie przyjął. Choć co lato spodziewam się tego ciosu. Że w jakiś długi weekend zobaczę sąsiada na kolanach. ●



Jakże to tak? Mnie nie ma, a wy sobie hulacie? „Dziennik” trochę poprawia mi komfort wewnętrzny, bo niby jest, a jakoby go nie było, ale i ten quasi-byt – jak wszystko, co quasi – nie syci całkowicie

1 STYCZNIA

Od dawna nie gromadzę nieprzeczytanych w porę gazet; nie odkładam periodyków, w których „jest coś niezmiernie ważnego” – po pewnym czasie – a niekoniecznie są to lata, miesiące czy nawet tygodnie – i tak żadnej istotności w tych papierach nie pamiętam, wszystko drętwieje, marnieje, kona. W Internecie – jak przekonują specjaliści – podobno i tak można znaleźć wszystko. Ponieważ nie rozumiem tego argumentu, nie biorę go pod uwagę.

A. z dziewczęcym zapałem używa tego medium, a też z podziwu godnym szacunkiem dla minionego świata to i owo, a nawet dużo więcej, wycina i gromadzi w wykwinnych teczkach; pod jej wpływem ze dwie takie teuczki założyłem – strach pomyśleć, co jest w środku.

Kiedyś było inaczej, i to jak inaczej! Kiedyś na parapetach, półkach, stołach, szafach i we wszystkich możliwych kątach piętrzyły się sterty wszelkiej maści dzienników, tygodników, miesięczników i czego tam jeszcze – o żadnym czytaniu czy wyszukiwaniu jakichś archiwaliów mowy praktycznie nie było, ale w razie czego, kto wie?

W zamierzonych epokach – gdy w domu w Wiśle paliło się w węglowych piecach – woziliśmy do zapobiegliwej krainy dzieciństwa makulaturę, ale i tak przybór był stokroć obfitszy od ubytku; z czasem zamiast węgla inne paliwa się pojawiły, nawet „wyjazd do Wisły przestał pomagać” – a jest to, w jego dalekości, pełne rozpaczy zdanie.

Jeszcze jakimiś dookólnymi ścieżkami próbowałem sprawę ratować, absurdalne układałem argumenty; kompletnie bezbronny wobec przerośniętych pajęczyną barykad wmaślałem sobie, że ze zbioru tekstów przestoczyliśmy się w zbioru przedmiotów, że z funkcji intelektualnej przeszły do domowej pragmatyki i gacą wątle gomulkowskie ściany i nieszczęsne gierkowskie okna, i dają ciepło – w końcu i to złudzenie pierzchno: zaniechałem pożałowania godnego zbieractwookładactwa; sformułowałem zasadę,

że gazeta nieprzeczytana we wtorek nie służy, by ją trzymać do środy, i jaki taki ład zapanował.

3 STYCZNIA

Jak we wszystkim zdarzają się jednak wyjątki – nie muszę dodawać – arcywyjątki. Noworoczny „Tygodnik Powszechny” z rozmową redaktorów naczelnych – ustępującego księdza Adama Bonieckiego i obejmującego urząd Piotra Mucharskiego – odłożyłem na bardzo dostępne miejsce. Tak piękne i tak harmonijne przekazanie władzy nawet u braci katolików zdarza się rzadko. Poza tym idzie o „Tygodnik”, bez specjalnej uzurpacji mogę powiedzieć: mój „Tygodnik” – 10 spędzonych na Wiślniej lat to było w rozlicznych pasmach nie byle co. Ale uporządkujmy doznania.

Do wszystkich redakcji, w których pracowałem – sprawiedliwiej będzie powiedzieć: w których drukowałem – w żadnej firmie na politykę redakcyjną nie miałem wpływu najmniejszego – do wszystkich tedy redakcji, na łamach których odpowiednio długo i odpowiednio regularnie występowałem, mam wielki sentyment, specjalną czułość i liczne uczucia. Pierwszym z tych uczuć jest, rzecz jasna, zdumienie, że po moim odejściu redakcje te nadal działały, a gdy (jak „Echo Krakowa” czy dwutygodnik „Student”) przestawały, to nie z powodu mojej absencji. Jakże to tak? Mnie nie ma, a wy sobie hulacie. Nawet „Polityka” jak gdyby nigdy nic nie tylko nadal wychodzi, ale wręcz króluje na rynku. Jak możliwa jest taka niemożliwość? „Dziennik” trochę poprawia mi komfort wewnętrzny, bo niby jest, a jakoby go nie było, ale i ten quasi-byt – jak wszystko, co quasi – nie syci całkowicie.

4 STYCZNIA

Całkowicie sycił „Tygodnik”. Piotr Mucharski ma wielką szansę, niemałe możliwości i liczne umiejętności, by z „Tygodnikiem” stan pełnego nasycenia osiągnąć. Nie mówię o żadnym „przywracaniu świetności”; za Bonieckiego pismo nie upadło ani się nie stoczyło; jak były kryzysy, to był to „tygodnikowy” constans;

w tym sensie moje dziesięciolecie w red. było szkołą hartu i dystansu: człowiek nie do ekipy, która „upadała” praktycznie dzień, a w porywach codziennie – z tej strofalnej monotonii osobliwa stabilność wylaniała; jeśli jednak ktoś przez „nasyt” rozumie „świetność”, wolno mu.

Przywracać niczego się nie da, bo Tur nie żyje. Pszon też nie. Andrzej Bardecki. Staszek Musiał też nie. Jan Paweł II. w redakcji był rzadziej nawet ode – też nie.

Daruj, Piotrze, banał, ale na razie nie powiem i nie stara, i świat nie zna, i pewnie teraz do rozpacz Ci wbijaną formułę i ja w jej do cna zgram się powtórzyć: otóż pamiętając i czując o Założycieli, trzeba pójść własną drogą.

5 STYCZNIA

Turowicz oczywiście tak. Turowicz – oczekiwanie powiem coś o sobie – jak bardziej tak. Do dziś trwam w może nie kowitym urojeniu, że żywił do mnie nie słabość, list od niego oparłem w ramki żona przezeń anegdota o samobójstwie tego z moich polemistów krąży tu i ów same frajdy; ale Szeff był jednak postacią charyzmatyczną, że z lekka widmowa domo było, że do jego – na końcu kory – gabinetu można było wejść zawsze i w tej sprawie. Nikt jednak tego przyzwyczajenie nadużywał. Chyba że nie do końca dome kaskaderki. Kiedyś jedna z nich w tam jak bomba i z lekka tylko podniesione głosem zapytała: – Jest tu Bereś? – Niestety – odparł z lekka osłupiały Naczelny na chwilę zamilkła, potem zaś karząc się dając na tolerującego nieobecność pracowników przełożonego, dała niepozbowioną zygności kwestię uniwersalniejszą: – A kurwa, w ogóle pracuje? I obróciła się i wyszła.

Turowicz więc tak, jak najbardziej. W pewnych jednak elementarnych sedyntach, szybko uczy się techniki. Rodzice jednak starają się ją zniechęcić. Wysyłają Alexandrę na historię sztuki i malarstwo. Przez blisko dekade dziewczyna maluje. Kiedy na przełomie lat 80. i 90. historia Europy nagle przyspiesza, Boulat nie wytrzymuje, niszczy swoje obrazy i postanawia zostać fotoreporterką. Pierwsze poważne zlecenie to wyjazd na Bałkany. Alexandra ma zrobić reportaż o codziennym życiu w wieloletniej Jugosławii. Gdy rozpoczynają się pierwsze walki między Chorwatami a Serbami, decyduje się zostać na miej-

Wojna na miękko

Koledzy mówili o niej „ninja z nikonem” – nie dlatego, że była agresywna, tylko dlatego, że potrafiła doskonale wtopić się w tło

KUBA DĄBROWSKI



FOT. Alexandra Boulat/VII/Corbis

scu, choć agencja tego od niej nie oczekuje. Interesuje ją ludzki wymiar konfliktu. Serbowie, których parę dni wcześniej fotografowała przy pracy na roli, dziś stoją na check pointach z kaskadami. W zdjęciach Boulat nie ma jednak testosteronu. Czuje za to gigantyczne pokłady empatii. Fotografka odwraca obiektyw od krwawego sedna wydarzeń. Szuka małych historii mówiących o szerszej sytuacji. – Można pokazać wojnę, nie pokazując karabinu – mówi. Zdjęcia z Jugosławii sprzedają się w śmiech, a wojna uzależnia. Boulat jeździ po świecie: Czeczenia, Irak, Afganistan... Fotografuje dla najważniejszych magazynów, jest na reporterskim szczycie.

Po kilku latach orientuje się, że jej sposób pracy zaczyna niebezpiecznie przypominać

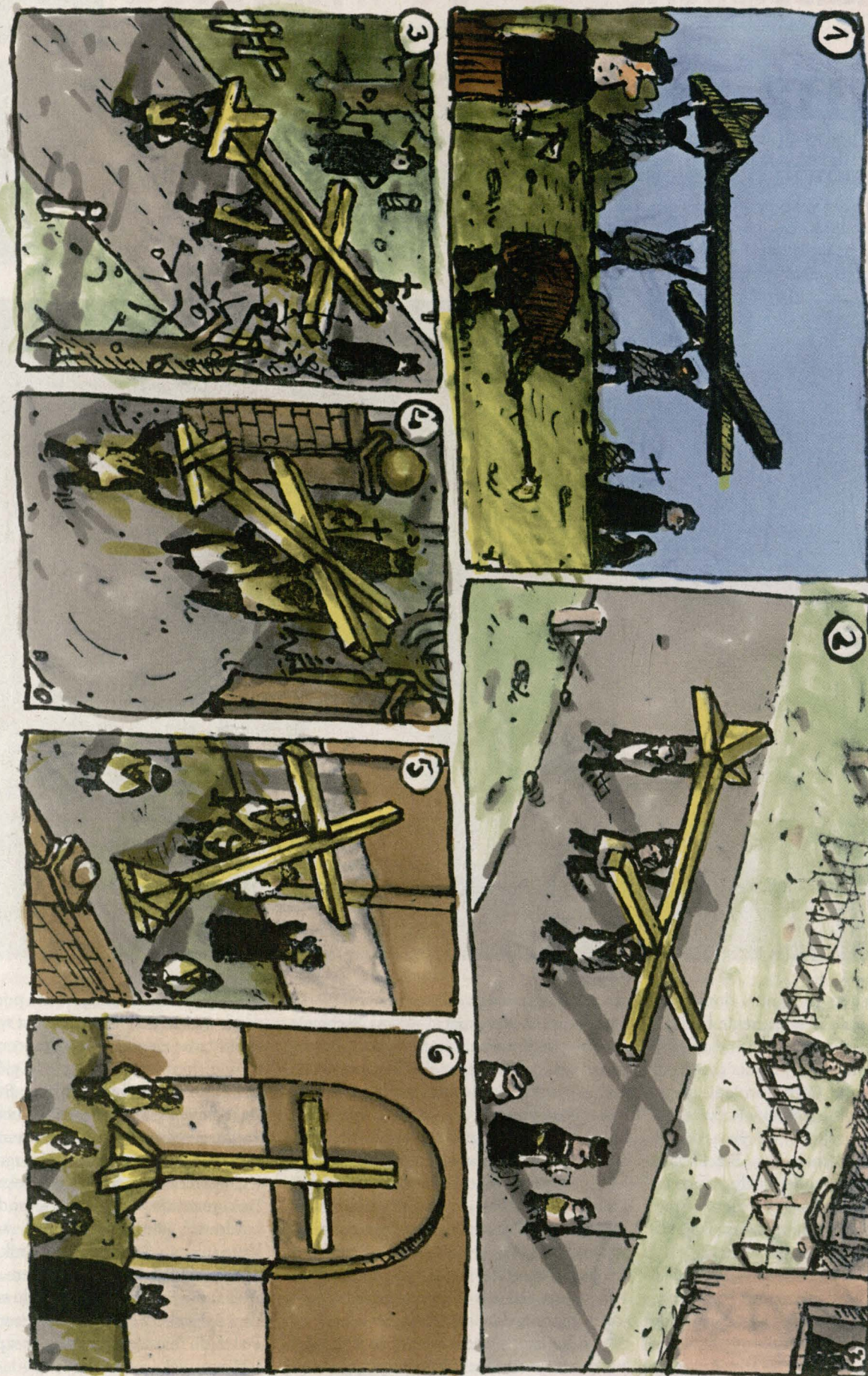
scu, choć agencja tego od niej nie oczekuje. Interesuje ją ludzki wymiar konfliktu. Serbowie, których parę dni wcześniej fotografowała przy pracy na roli, dziś stoją na check pointach z kaskadami. W zdjęciach Boulat nie ma jednak testosteronu. Czuje za to gigantyczne pokłady empatii. Fotografka odwraca obiektyw od krwawego sedna wydarzeń. Szuka małych historii mówiących o szerszej sytuacji. – Można pokazać wojnę, nie pokazując karabinu – mówi. Zdjęcia z Jugosławii sprzedają się w śmiech, a wojna uzależnia. Boulat jeździ po świecie: Czeczenia, Irak, Afganistan... Fotografuje dla najważniejszych magazynów, jest na reporterskim szczycie.

Po kilku latach orientuje się, że jej sposób pracy zaczyna niebezpiecznie przypominać

metody działania kolegów. Na początku nowego wieku fotografka zaczyna więc odrzucać intratne zlecenia, chce skoncentrować się na pogłębionych projektach. Jej głównym obszarem zainteresowań staje się Strefa Gazy. Zakochuje się w miejscowym filmowcu Issie Freiju. Zamieszkuje z nim w Ramallah. Palestyńską codzienność Boulat fotografuje z odległości niedostępnej dla człowieka Zachodu. Dokumentuje zarówno życie podczas bombardowań, jak i palestyńskich raperów czy klasę średnią. 22 czerwca 2007 roku, podczas apogeum walk między Hamasem a Fatahem, Alexandra Boulat dostaje zawału serca. Zapada w śpiączkę, z której nigdy się nie wybudza. Po trzech miesiącach umiera w szpitalu. Freij jest przy niej.

MAGAZYN LUDZI WYJĄTKOWYCH

Szukaj w kioskach



Ponadto w tytule:

Szczygiel • Wojciechowska • Bohosiewicz • Janowski • Środa • Witkowski • Polak • Zagrobelny • Wachowicz • Rudnicki



ARKADIA APARTAMENTY

Nowy Rok, Lepsza Cena!
już od 11.000zł m²



Apartamenty Arkadia to najwyższej jakości oferta na Mokotowie. Położony w zieleni kompleks nowoczesnych willi miejskich wykonanych w najwyższym standardzie, tworzących luksusowe, kameralne osiedle to oferta dla najbardziej wymagających. Rozległe przestrzenie rekreacyjne w sąsiedztwie "Królikarni", niewielka odległość od stacji metra Wilanowska oraz centrum Warszawy to niezaprzeczalne atuty inwestycji. Przestronne apartamenty w ciszy i zieleni pozwolą odpocząć od gwaru miasta i cieszyć się spokojem w centrum Warszawy.

Metraż od 49m² do 169 m²

Wymarzone miejsce na Mokotowie



biuro sprzedaży: Al. KEN 48 lok. 8 (stacja Metra Natolin) tel. 22 436 84 30

www.apartamentyarkadia.pl